



Anne Herries



*Rodzinną
tajemnicą*

Prolog

David Middleton wszedł do klubu i rozejrzał się po zgromadzonej tam kompanii, grającej w karty i uprzyjemniającej sobie czas dobrymi napitkami. Ujrawszy dżentelmena, którego nie lubił, zawahał się, czy nie zawrócić. Co prawda, sir Frederick Collingwood pochodził z dobrej rodziny, jednak był pozbawionym zasad łajdakiem, którego, zdaniem Davida, nie należało tolerować w przyzwoitym towarzystwie. Jeśli krążące o nim plotki były prawdziwe, należała mu się solidna lekcja. Inni jednak wciąż przyjmowali Collingwooda, więc David musiał pogodzić się z jego obecnością.

- Middleton! Chodźże do nas! - rozległo się wołanie.

David Middleton zmarszczył czoło. Sir Henry James był jego przyjacielem, a co więcej, przegrał do niego kilka dni temu dwa tysiące gwinei, odrzucenie zaproszenia stanowiłoby więc nietakt, trzeba było bowiem dać mu szansę rewanżu. Oznaczało to, że David będzie jednak musiał usiąść przy jednym stole z Collingwoodem, czego wolałby uniknąć, ale z uwagi na okoliczności nie pozostało mu nic innego.

Podszedł więc do grupki mężczyzn z postanowieniem, że zagra kilka rozdań i znajdzie pretekst, żeby się oddalić.

Gdy zajął miejsce, Collingwood skwitował to skinieniem głowy i zaczął rozdawać karty. Ktoś podpowiedział Davidowi, który sięgnął po karty, że stawka wynosi sto gwinei.

- Ma pan niezwykle piękny pierścień, Middleton - zauważył Collingwood. - Chyba wolałby pan nie stawiać go w grze?

- Istotnie nie. To podarunek. - Wbrew najlepszym chęciom David nie potrafił stłumić emocji, co gorsza, zauważył, że Collingwood nie spuszcza z niego kpiącego spojrzenia. Zdawało się, że już wie.

- Od damy zapewne?

- To moja sprawa.

- A więc jest mężatką - zawyrokował Collingwood.

- Idź pan do diabła, nie chcę słyszeć więcej na ten temat! - David gwałtownie odsunął krzesło i wstał, gotów do odejścia.

- Siadaj, Middleton - polecił sir Henry. - Nie możesz wyjść, skoro karty zostały rozdane. Collingwood nie miał nic złego na myśli. To zwykły żart.

Przez chwilę David mierzył się na spojrzenia z Collingwoodem. Instynkt podpowiadał mu, że mimo wszystko powinien natychmiast opuścić salę, ale przyjaciel przypominał, iż należy dać mu szansę odrobienia strat. David zrozumiał, że za późno na rejteradę. Musiał zagrać, chociaż szósty zmysł ostrzegał go, iż napyta sobie kłopotów.

Rozdział pierwszy

Jack Harcourt, czasem występujący jako kapitan Manton lub inny dżentelmen, ostatnio w służbie dragonów Jego Królewskiej Mości, przez kilka lat tajny agent i adiutant Wellingtona, siedział w bibliotece londyńskiego domu i wpatrywał się posepnie w pusty kieliszek po winie. Czyżby życie nie miało mu już nic więcej do zaoferowania poza pełną butelką?

Jako kapitan Manton pomógł zwyciężyć Napoleona Bonapartego, zwalczał szpiegów i wrogów państwa, ale z tym zgorzknieniem, które owładnęło nim ostatnio, nie umiał sobie poradzić. Był parem, miał dość majątku jak na swoje potrzeby, zdrowie mu dopisywało, nadal był atrakcyjny jako mężczyzna. Obsypano go pochwałami i zaszczytami, regent udzielił mu prywatnej audiencji, podczas której nazwał go podporą Anglii i człowiekiem, którego uścisk dłoni jest zaszczytem. Jednak i to nie złagodziło głębokiego przygnębienia Jacka. Zbyt wiele spotkało go rozczarowań.

- Czemu nie byłem na miejscu, kiedy mnie potrzebowałeś, Davidzie? - wypowiedział głośno najbardziej dręczącą myśl.

- Dlaczego nie wiedziałem, że samotnie umierasz w rowie od śmiertelnej rany?

Prawdziwych przyjaciół można w życiu policzyć na palcach jednej ręki. Jack miał ich jeszcze mimo tej straty, był jednak szczególny powód, dla którego śmierć Davida Middletona tak głęboko go poruszyła. Okrutny los wydał Davida na pastwę zbójców, którzy go obrabowali i zostawili umierającego przy drodze. O tej tragedii Jack dowiedział się z kilkumiesięcznym opóźnieniem, po powrocie do kraju z Francji. Właśnie świadomość własnej bezsilności ogromnie go przygnębiała. Sięgnął właśnie po karafkę z winem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść - burknął.

W progu stanął kamerdyner.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie, ale chciałbym przekazać list.

- O tej porze? - Jack bardzo się zdziwił. - Kto go przyniósł?

- Nie wiem, milordzie. Wręczono go na ulicy służącej Rose, kiedy poszła kupić jajka.

- Rozumiem. Możesz odejść, Henshaw. - Jack skinieniem dłoni oddalił kamerdynera. - Później przeczytam list

- Rose powiedziała, że to pilna sprawa, milordzie.

- Czyżby? - Jack wziął przesyłkę zamkniętą woskiem, lecz bez śladu sygnetu. Z marsem na czole przełamał wosk i rozłożył kartkę, po czym szybko przebiegł wzrokiem tekst. - Wielkie nieba! - wykrzyknął.

Zerwał się z miejsca i podbiegł do okna, jednak na słabo oświetlonej ulicy nie sposób było niczego zobaczyć poza plamą światła, rozlewającą się przed domem. Jack zwrócił się do kamerdynera, który zdezorientowany nadal stał w drzwiach. - Przyślij mi tu szybko Rose. Chcę dowiedzieć się więcej o posłańcu.

Kamerdyner znikł, a tymczasem Jack, marszcząc czoło, ponownie przeczytał list.

Z pewnością nie mogę liczyć na osobiste przyjęcie w pańskim domu, wiem jednak, że David Middleton zaliczał się do pańskich przyjaciół. Jeśli interesuje pana, kto go zamordował, nie trzeba szukać daleko, wystarczy przyjrzeć się sir Frederickowi Collingwoodowi. To szuler, a Middleton go zdemaskował wtedy, kiedy przegrał. Tyle jest pewne i powszechnie wiadome. Nie mam, niestety, żadnego dowodu, chociaż wina Collingwooda wydaje mi się niepodważalna. Sprawa może być bardziej skomplikowana, a motyw nie taki oczywisty, tymczasem jednak wiem tylko, że sprawcą morderstwa jest Collingwood. Reszta należy do pana, Harcourt. Ostrzega pana ktoś, kto kiedyś był dumny, że może go pan zaliczać w poczet przyjaciół.

List nie był podpisany i mógł być przejawem czyjejś złej woli, Jack czuł jednak, że autor miał szczerą intencję. Znał Davida dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że gdyby przyłapał on kogoś na oszustwie, nie przeszedłby nad tym do porządku, lecz publicznie ujawnił nieuczciwość. Bardzo możliwe, że zamordowano go, aby tego nie zrobił.

Co więcej, w liście sugerowano jeszcze bardziej ponure motywy zbrodni. Jack nie zdołał pogodzić się ze śmiercią przyjaciela, a wiadomość, jaką otrzymał, potwierdziła zasadność jego podejrzeń.

Poczuł nagły przypływ energii. Pojął, że jego powinnością jest odnalezienie mordercy i dopilnowanie, aby wymierzono mu sprawiedliwość. Najpierw należy poznać prawdę o śmierci przyjaciela, a potem odkryć autora tajemniczego listu...

- Mamo! Dostałaś list. - Lucy Horne wbiegła do salonu, gdzie jej matka razem z cioteczną babką siedziały nad tamborkami. - To od Marianne!

- Spodziewałam się, że napisze.

Pani Horne z czułością spojrzała na najmłodszą córkę. Lucy skończyła osiemnaście lat, wyrosła na piękną i pełną wdzięku pannę, która nie miała wielkich wymagań, i nade wszystko ceniła życie rodzinne. Matka wzięła od niej

list i złamała wspaniałą pieczęć, do której jej najstarsza córka zyskała prawo, stając się markizą Marlbeck. Zerknęła na krótką wiadomość i się uśmiechnęła.

- Tak przypuszczałam, Lucy. Twoja siostra zgadza się ze mną całkowicie, że nadszedł czas, abyś zadebiutowała w towarzystwie. Proponuje, abyśmy przyjechały do niej i Drew na chrzciny ich córki, a potem wszyscy razem wybrali się do Londynu i tam zatrzymali na kilka tygodni.

- Cudownie, mammo! - rozpromieniła się Lucy. - Tyle czasu minęło, odkąd ostatnio widziałam siostry.

- Wiesz przecież, że po porodzie Marianne wołała nie podróżować - przypomniała pani Horne. - Byliśmy u niej pół roku temu, a Jo wyjechała od nas zaledwie pięć tygodni temu.

- Och, zdawało mi się, że dużo dawniej. - Lucy cmoknęła mamę w policzek. Cieszyła się, że mieszka z nią i ciotką Berthą, miała też wiele przyjaciółek, z którymi często się widywała, ale największą radość czerpała z obcowania z siostrami. - To miło ze strony Marianne, że o tym pomyślała.

Pani Horne skinęła głową.

- Poprosiłam ją o radę, myśląc o Bath, ale Marianne uważa, że to musi być Londyn.

Lucy była raz czy dwa w Bath z mamą i ciotką Berthą, ale nie tańczyła w miejscach publicznych, jedynie podczas prywatnych przyjęć wydawanych przez przyjaciół. Chociaż więc nauczyła się zachowywać w takich sytuacjach, to na oficjalny debiut nadal czekała. Wahala się jednak, wiedziała bowiem, że sezon zwykle jest traktowany jako okazja do znalezienia męża przez panny na wydaniu.

- Będzie o wiele lepiej, jeśli Marianne zechce nam towarzyszyć.

Lucy podeszła do okna. O tej porze roku ogród wyglądał bardzo malowniczo, liczne rabaty kwiatowe właśnie zaczynały przybierać różne barwy.

- Musimy zająć się przygotowaniem dla ciebie garderoby - stwierdziła pani Horne. - Chociaż może lepiej poczekać z tym na Marianne. Zna się na modzie i na pewno wie, co przystoi młodym pannom w tym sezonie.

Wprawdzie Lucy lubiła piękne stroje, ale najbardziej przywiązywała się do rzeczy, które, zdaniem mamy, należało już wyrzucić. Wciąż miała peliszkę z niebieskiego aksamitu, którą Jo uszyła dla niej, zanim opuściły plebanię, i nie rozstałaby się z nią za nic.

Nagle przypomniała sobie kapitana Harcourta, którego poznała trzy lata temu na ślubie Marianne. Niecierpliwym gestem odsunęła z twarzy gęste jasne pasma w odcieniu bardziej srebrne niż złote, co wyróżniało ją spośród rówieśniczek. Cerę miała mleczną, oczy lazurowe jak niebo, czasem ciemniejące od troski lub gniewu. Nieczęsto wpadała w złość, co sprawiało, że ludzie mieli fałszywe wyobrażenie o jej charakterze. Wydawała się subtelną marzycielką, na pierwszy rzut oka nieco nudną. Całkiem mijало się to jednak z prawdą, Lucy cechował bowiem niemały temperament.

- Po namyśle doszłam do wniosku, że chciałabym mieć żółtą jedwabną suknię, mamó - powiedziała z uśmiechem. - Widziałam bardzo ładny materiał, który znakomicie nadaje się na suknię balową.

- Będziesz potrzebowała wielu sukni, Lucy - odrzekła pani Horne. - Dzięki ciotce i siostrze sprawisz sobie takie stroje, na jakie zasługujesz.

Jack wszedł do domu, na stojak w sieni cisnął rękawiczki oraz kapelusz. Nawet nie zauważył, że nakrycie głowy ześlizgnęło się na podłogę, nie odnotował też wyrazu twarzy lokaja, który podniósł je z ziemi. Marszcząc czoło, wziął z tacy dwa listy i udał się z nimi do biblioteki.

Jeden z nich przysłała lady Staunton, jedyna siostra Jacka imieniem Amelia, mieszkająca w Hampshire. Szybko przeczytał kilka zdań. Dowiedział się, że wróciła do Anglii miesiąc temu, ponieważ jej syn David źle znosił tropikalny klimat. Nie wspominała ani słowem o swojej zgrzocie, ale z tonu listu Jack wywnioskował, że nic się nie zmieniło. Staunton pozwolił żonie

wrócić samotnie do Anglii wyłącznie dlatego, że obawiał się utraty dziedzica. Jack zmełł przekleństwo pod nosem i cisnął kartkę na stół. Gdyby udało mu się postawić na swoim, Amelia rozstałaby się ze Stauntonem na dobre - ten człowiek był brutalem. Jack wiedział jednak, że to pociągnęłoby za sobą liczne komplikacje. Gdyby istniała sprawiedliwość, Amelia mogłaby się rozwieść, zachowując syna i miejsce w społeczeństwie, ale prawo stało jednoznacznie po stronie jej męża.

Oprócz niej i jej rodziny Jack nie miał więcej krewnych. Lubił siostrę, ale jej problemy nie wzbudziły jego większego zainteresowania. Usilnie szukał sir Fredericka Collingwooda. Niestety, nie znalazł go w Londynie. Tego ranka się okazało, że prawdopodobnie Collingwood pojechał do Newmarket. Jack się zastanawiał, czy wyruszyć za nim i załatwić sprawę od razu, czy dać sobie trochę czasu do namysłu. Tymczasem otworzył drugi list, w którym Drew Marlbeck zapraszał go na chrzciny swojej córki Andrei.

Na twarzy Jacka pojawił się uśmiech, Drew należał do nielicznych szanowanych przezeń ludzi. Jako jeden z najbogatszych ludzi w Anglii, legitymujący się tytułem, mógłby okazać rozczarowanie tym, że jego pierwsze dziecko jest płci żeńskiej, tymczasem on nie krył uwielbienia dla córki i żony.

Jack zachował bardzo miłe wspomnienia ze ślubu Drew i z kilku wizyt, które złożył po uroczystości. Nie były tak częste, jak mógłby sobie życzyć, do niedawna bowiem pochłaniały go głównie sprawy wagi państwowej, ostatnio zaś nie mógł otrząsnąć się z przygnębienia po śmierci Davida. Należało pomyśleć o odpowiednim prezencie dla Andrei. Postanowił, że kupi również podarki dla Marianne i Drew. Przecież nie brakowało mu pieniędzy, a nie miał na kogo ich wydawać.

Lucy stała w pięknym starym kościele, gdzie jej ojciec kiedyś był proboszczem, i przyglądała się chrzcinom. Marianne promieniała. Andrea miała już dziesięć miesięcy, urosły jej włoski w kolorze miodu, a niebieskie oczy

zdumiewały bystrością. Lucy poczytywała sobie za wielkie wyróżnienie, że wybrano ją na matkę chrzestną.

- Jakie grzeczne dziecko - szepnęła Jo, siostra Lucy, która wyszła za mąż za Hala Beverleya. Właśnie opuszczali kościół po ceremonii. - Prawie nie płakała podczas nabożeństwa.

- To prawda - przyznała Lucy, idąc za siostrą do czekających na dworze powozów.

Wielki dom Marlbecków był pełen gości; Lucy czuła się trochę zagubiona wśród tylu nieznajomych. Przyjaciele Drew Marlbecka wydawali się w większości bardzo zamożni, wykształceni i dobrze wychowani, co wprawiało ją w niemalże zakłopotanie. Wprawdzie wszyscy byli dla niej bardzo mili, zwłaszcza niektórzy dżentelmeni prawiący jej komplementy, ale mimo to brakowało jej pewności siebie. Co więcej, zaczęła się niepokoić myślą o londyńskim sezonie. Czy przypadkiem nie będzie kopciuszkiem wśród modnych i wyrafinowanych dam?

Po powrocie gości do Marlbeck rozpoczęło się przyjęcie. Lucy skorzystała z pierwszej okazji, by się wymknąć. Dom był imponujący, Lucy znacznie bardziej lubiła jednak jego otoczenie, zwłaszcza w takie pogodne popołudnia. Udała się do rozległego parku. Rosły tu wspaniałe stare drzewa z rozłożystymi konarami. Szybko odkryła, że łatwo może się wspiąć na wielki dąb i obserwować, co się dzieje poniżej, nie będąc widzianą z dołu. Pilnując, by nie rozedrzeć muślinowej sukni, zajęła miejsce na grubym konarze, w zielonej koronie.

Miała stąd dobry widok na tył domu. Jakieś damy wyszły na taras, osłaniając się od słońca koronkowymi parasolkami. Lucy nieustannie była karcona za wychodzenie na dwór bez kapelusika, mama powtarzała jej bowiem, że piegi nie dodają urody, ale i tak znowu go nie włożyła. Pani Horne walczyła z piegami córki, stosując mikstury, i nawet kupiła jakiś duński środek u aptekarza,

ale to nic nie dało. Wyglądało na to, że latem piegi muszą pojawić się na twarzy Lucy.

Trwała pogrążona w świecie własnych myśli, póki pod drzewem nie rozległo się groźne ujadanie. Zirytowana zerknęła w dół i ujrzała wielkiego czarnego psa, który tymczasem oparł przednie łapy na pniu i zaczął warczeć.

- Wynoś się! - rozkazała Lucy. - Nie charcz tak, ohydny potworze. Nie wiem, skąd się tu wziąłeś, ale to nie twoje miejsce. Zmykaj!

Pies zaczął jeszcze bardziej się rzucać. Szczrzył zęby, kłapał i wydawał z siebie naprawdę przerażające odgłosy. Lucy wiedziała, że nie odważy się zejść z drzewa, póki ta bestia znajduje się na dole.

- Lucy, gdzie jesteś? - Na tarasie pojawiła się Jo. - Mama cię prosi!

Jo zawróciła, najwyraźniej uznawszy, że w ogrodzie nie ma czego szukać. Lucy ostrożnie się poruszyła i pies jeszcze bardziej się rozszczękał.

- Uciekaj, ty bestio! Chcę zejść!

- Może pani zejść. Brutus nie zrobi krzywdy - rozległ się męski głos. Lucy rozejrzała się i spostrzegła dżentelmena na koniu, który przystanął w pobliżu drzewa. - Chodź tu, piesku! Siad!

Pies natychmiast zareagował. Siedząc, odwrócił łeb w stronę Lucy i bacznie śledził każdy jej ruch podczas schodzenia z drzewa, ale nawet nie szczeknął.

- Przestraszyłam się - wyjaśniła, wygładzając spódnicę. Zgroza przejęła ją na myśl o tym, jakich widoków dostarczyła mężczyźnie. Nie była pewna, czy nie dostrzegł nawet którejs z koronkowych podwiązek, podtrzymujących białe jedwabne pończochy. - On bardzo groźnie wygląda.

- Obawiam się, że jego wygląd rzeczywiście nie budzi zaufania - przyznał mężczyzna z uśmiechem, niewątpliwie zadowolony z atrakcyjnego pokazu. - Słowo daję, że jest łagodny jak cieleń. Został wyćwiczony do aportowania ustrzelonej zwierzyny i nie ma zwyczaju traktować dam po grubiańsku.

Najwidoczniej doszedł do wniosku, że pani coś knuje. - Spojrzał na konar, na którym przed chwilą siedziała Lucy.

- Musi pani przyznać, że nie jest to typowe miejsce, w którym ogląda się dobrze wychowane młode damy.

- To prawda. - Zarumieniła się po korzonki włosów. - Mama zgałaby mnie surowo, gdyby się dowiedziała. Wyraźnie zapowiedziano mi, że mam przestać chodzić po drzewach, chociaż w dzieciństwie robiłam to bardzo często. Podobno już nie jestem w wieku, kiedy takie szaleństwa przystoją.

- Doprawdy? A ile pani ma lat? Szesnaście?

- Dwa tygodnie temu skończyłam osiemnaście. - Lucy nieśmiało zerknęła na mężczyznę. - Niedługo mama zabiera mnie na kilka tygodni do Londynu, na mój pierwszy sezon.

- To dla mnie zaskoczenie, sądziłem, że jest pani młodsza. Jeśli ma pani zostać wprowadzona do londyńskiego towarzystwa, to rzeczywiście musi ograniczyć tęsknoty za skakaniem po drzewach. Londyńskie matrony tego by nie zniosły, a pani zasługuje na to, żeby odnieść sukces na salonach. - Odwrócił się do psa i rzucił: - Brutus, za mną!

Odjechał w kierunku stajni, znajdujących się w pewnym oddaleniu po prawej stronie głównego budynku. Lucy odetchnęła z ulgą, ponieważ pies posłusznie odbiegł śladem mężczyzny, mogła więc bezpiecznie wrócić do domu.

Była niemal pewna, że poznała tego dżentelmena, choć nie widziała go od dnia wesela Marianne. Nie przypuszczała, że lord Harcourt pojawi się na chrzcinach. Naturalnie wiedziała, że należy do najlepszych przyjaciół Drew, jednak nigdy wcześniej go tu nie spotkała, nie sądziła więc, że ma zwyczaj przyjeżdżać w odwiedziny.

Dlaczego akurat on musiał odkryć jej obecność na drzewie?!

Lucy ogarnęła złość na myśl o tym, że incydent rozbawił Harcourta. Co on sobie musiał o niej pomyśleć! Zawstydzona uciekła na górę do pokoju, aby

przed pojawieniem się wśród ludzi sprawdzić, czy nie pobrudziła sukni. Obawiała się jednak, że szkoda i tak się stała.

Lorda Harcourta zobaczyła ponownie przy kolacji. Przebrał się we wspaniały czarny surdut, koszula lśniła nieskazitelną bielą, podobnie jak fular, zawiązany w kunsztowny węzeł. Lucy była ciekawa, czy Harcourt osobiście wykonał to dzieło, wiedziała bowiem, że przybył sam. Dopuszczała też możliwość, że jego osobisty służący przyjechał nieco później z bagażem.

Poczula się nieswojo, gdy spojrzał w jej stronę, nie dała jednak po sobie poznać, że już się spotkali. Stał w tej chwili razem z Drew i Marianne i widać było, że pozostają w dobrej komitywie.

- O, jesteś, moja droga. - Pani Horne przesłała jej uśmiech. - Czy poznałaś już lorda Harcourta? Niestety, spóźnił się na nabożeństwo, ale Marianne mówi, że wykazał się wielką szczodrością. Przywiózł cudowne perły dla Andrei, do wręczenia w dniu jej szesnastych urodzin, a dla Marianne piękne srebro. Czy to nie miło z jego strony?

- Owszem - przyznała Lucy, coraz bardziej zakłopotana.

Tymczasem Harcourt oddalił się od gospodarzy i zaczął rozmawiać z innymi gośćmi. Okazało się, że pamięć spletała jej figła, zatrzymała bowiem obraz wyjątkowo przystojnego mężczyzny, niezupełnie zgodny z rzeczywistością. Harcourt był wysoki i mocno zbudowany, ciemne, krótko obcięte włosy układały się nad czołem w falkę. Rysy miał klasyczne, dość surowe, nos arystokratyczny. Drew Marlbeck i Hal Beverley byli zdecydowanie przystojniejsi, a mimo to wcale nie bardziej atrakcyjni. Lucy nie mogła zrozumieć, co jej się w nim tak podoba, dopóki nie spojrzał na nią szarymi oczami pełnymi powagi.

- Masz rację, mamo, bardzo miło - powiedziała.

- Chodź, z pewnością nie należy cię przed nim chować. Drew ma o nim bardzo wysokie mniemanie.

- Dobrze, mamó. Pamiętam, że w swoim czasie okazał wiele pomocy Drew i Halowi. - Od sióstr wiedziała, że kapitan Manton, bo pod takim nazwiskiem występował wówczas, jest bardzo dzielny i rozważnym człowiekiem.

Z drżeniem serca Lucy podeszła wraz z matką do niedużej grupki. Stojące tam damy pięknie się uśmiechały do Harcourta. Panna Angela Tremaine, rudowłosa piękność z szansami na wielki spadek, wydawała się szczególnie zainteresowana lordem Harcourtem.

- Panna Lucy Horne? - Lord Harcourt uśmiechnął się, podczas gdy pani Horne dopełniła formalności. - Mam wrażenie, że spotkaliśmy się już na ślubie Drew. O ile pamiętam, przyniosła mi pani kawałek weselnego tortu, a potem sama go zjadła.

Lucy splonęła rumieńcem, ale nie straciła rezonu.

- To pan powiedział, żebym go zjadła, bo sam nie lubi słodczy.

- Tak było - przyznał ze śmiechem lord Harcourt. - Czy wciąż lubi pani podwójne porcje tortu? Jeśli tak, to nie rozumiem, co się z nimi dzieje, bo ma pani figurę sylfidy i urodę jak z obrazka.

Lucy się uśmiechnęła, słysząc komplement, ale miała świadomość, że tak przemawiają do młodych kuzynek poczciwi wujkowie. Wynikało z tego, że Harcourt wciąż traktuje ją jak dziecko, a nie jak młodą damę tuż przed debiutem w towarzystwie. Owszem, był od niej o kilka lat starszy, ale to nie usprawiedliwiało takiego zachowania, nawet jeśli zastał ją na drzewie!

Na szczęście dla niej właśnie w tej chwili rozległ się gong wzywający na kolację i lord Harcourt podał ramię pannie Tremaine. Lucy poszła do jadalni z mamą, cierpiąc z zazdrości na widok względów okazywanych pannie Tremaine przez Harcourta.

Przydzielono jej miejsce naprzeciwko tej pary, między dwoma starszymi dżentelmenami bardzo zaprzyjaźnionymi z Drew. Obaj starali się zabawić Lucy zajmującą konwersacją, więc po kilku minutach wśród śmiechów i docinków

udało jej się nabrać pewności siebie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ładnie wygląda, gdy się śmieje, i jak dokładnie widzi ją ze swego miejsca lord Harcourt.

Słyszając naprzeciwko głośny wybuch śmiechu, Jack zatrzymał wzrok na twarzy Lucy. Wcześniej widział w niej zawstydzone dziecko, teraz jednak promieniejąca panna, pochłonięta ożywioną konwersacją, wydała mu się urocza. Przypominała trochę jego siostrę z dawnych lat. Ta myśl z kolei go zasmuciła, Amelia bowiem zatraciła radość życia na skutek nieszczęśliwego małżeństwa.

Lucy, która akurat na niego zerknęła, dostrzegła na jego twarzy wyraz niezadowolenia. Zrobiło jej się przykro. Czymże sobie zasłużyła na takie spojrzenie? Przecież na weselu Marianne odnosił się do niej bardzo miło, a teraz wydawał się wręcz zły. To chyba nie miało nic wspólnego z jej wspinaczką na drzewo? Na wszelki wypadek dumnie się wyprostowała i spytała sąsiada o jego opinię na temat ostatniego wiersza lorda Byrona. O lordzie Harcourcie postanowiła więcej nie myśleć, skoro okazał się wyniosły.

Długo nie mogła zasnąć. W końcu uznała, że rozsądniej będzie trochę pochodzić. Wstała, nałożyła ciężki jedwabny szlafrok i wzięła pantofelki z miękkiej skórki, po czym trzymając w ręku lichtarz, zeszła do saloniku, w którym w ciągu dnia spędziła trochę czasu z siostrą i mamą. Zostawiła tam książkę, miała więc nadzieję, że lektura wprawi ją w senny nastrój.

Po wejściu do pokoju poczuła chłodny podmuch. Okazało się, że przeszklone drzwi są otwarte. Dziwne, służba zazwyczaj zamykała je przed położeniem się spać. Postanowiła zrobić to sama, nagle jednak podskoczyła jak oparzona. Z mroku wyłonił się mężczyzna.

- Lord Harcourt! - wykrzyknęła, gdy zorientowała się, kogo ma przed sobą. - Cieszę się, że to pan. Już myślałam, że wpadłam na włamywacza.

- Co pani tu robi o tej porze, panno Horne? - spytał, obrzucając ją baczny spojrzeniem. - Wydawało mi się, że już dawno udała się pani na spoczynek.

- Owszem. Nie mogłam jednak zasnąć, więc przyszłam po książkę.

- To znaczy, że oboje mamy kłopoty z zasypianiem. Zaszedłem tu, aby zapalić cygaro. - Zatrzymał zamyślane spojrzenie na twarzy Lucy. - Miała pani szczęście, że to ja odkryłem jej nocną wyprawę. W innym przypadku mogłaby ona stać się źródłem poważnych kłopotów.

- Ojej... - Właśnie uświadomiła sobie, że zachowuje się bardzo niestosownie, rozmawiając w nocnym stroju z dżentelmenem. - Muszę wracać do pokoju. Mam nadzieję, że będzie panu łatwiej zasnąć po przechadzce. - Odwróciła się i przyciskając książkę do piersi, rzuciła się do drzwi.

- Dobranoc, Lucy - dobiegł ją jeszcze głos Harcourta. Znów odniosła wrażenie, że pokazała mu się z jak najgorszej strony.

Jack Harcourt z marsem na czole szukał swojego pokoju. Chwilę wcześniej wziął świecę z sieni, nie zważając na śpiącego nocnego stróża, i głęboko zadumany ruszył po schodach na górę. Zastanawiał się, czy nie zachował się wobec panny Horne nieco zbyt szorstko. Rozgrzeszył się jednak myślą, że naprawdę nie powinna chodzić o tej porze po domu w mocno niekompletnym stroju. Ktoś mógłby uznać, że idzie na schadzki.

Lucy mogła sobie nie zdawać z tego sprawy, ale miała niezaprzeczalny urok, a jej smukłe nogi, które przypadkiem obejrzał wcześniej, były niezwykle zgrabne. Była przy tym ucieleśnieniem niewinności. Znów przypomniała mu się Amelia, jego siostra bowiem kiedyś wyglądała podobnie.

Odsunął od siebie te myśli. Odkąd dostał tajemniczy list związany ze śmiercią Davida, niczemu innemu nie mógł poświęcać szczególnej uwagi. David był dla niego kimś wyjątkowym, razem dorastali, przeżyli razem przygody i mieli wspólne marzenia, bardziej jak bracia niż przyjaciele. Zdążył się dowiedzieć, że ostatnio David wpadł w szpony grających o wysokie stawki hazardzistów. Jeśli chcieli go oskubać, na pewno nie poddał się bez walki. Któryś z tych ludzi mógł go zabić i porzucić jego ciało w rejonie Heath. Collingwood niewątpliwie należał do podejrzanych, tymczasem nie było jednak

dowodu, że miał cokolwiek wspólnego ze zbrodnią. Według wciąż podtrzymywanej oficjalnej wersji Davida napadli i obrabowali zbójcy.

Przeczenie mówiło mu, że jest w tej sprawie drugie dno, a kłótnia przy karcianym stole to jedynie zasłona dymna. Z dalszymi dociekaniem musiał jednak poczekać, aż wróci do Londynu. Obiecał Marianne i Drew zostać u nich trzy dni i zamierzał dotrzymać słowa.

Lucy wstała wcześniej. Po powrocie do pokoju zasnęła, ale nie na długo, bo wpadające przez okno promienie słońca obudziły ją i zachęciły do spaceru. Lubiła przechadzać się po ogrodzie, gdy nikogo jeszcze tam nie było. Doszła aż nad lśniąca tafle stawu, intrygującą i tajemniczą. Pośrodku widać było wysepkę ze świątynią dumania rodem z baśni i Lucy spojrzała na nią tęsknie, chętnie bowiem obejrzałyby ją z bliska. Tak naprawdę nie sądziła, żeby niewielka budowla kryła sekrety, ale wyobraźnia podsuwała jej najrozmaitsze pomysły.

Być może Lucy odważyłaby się na wyprawę, gdyby w pobliżu znajdowała się łódka. Niestety, łódki dla bezpieczeństwa trzymano w szopie, a o tak wczesnej porze nie należało zwracać głowy służbie, mającej i tak pełne ręce pracy. Z westchnieniem odwróciła się ku domowi i wtedy zobaczyła lorda Harcourta. Stał o kilka kroków od niej i w zadumie wpatrywał się w toń stawu.

- Dzień dobry - powiedziała, ruszając w jego kierunku. - Chyba będzie bardzo ciepło. Czy nie sądzi pan, że to doskonały dzień, aby popłynąć na wysepkę?

- Może. - Jack skupił wzrok na Lucy. - Ta woda rzeczywiście jest kusząca, tym bardziej że wkrótce pewnie zacznie doskwierać nam upał. U siebie na pewno poszedłbym się wykapać.

- Wspaniały pomysł - ucieszyła się Lucy. - Przy naszym domu też jest zatoczka, nad którą chodzę. Pływać nie umiem, ale chętnie chlapię się na płyciźnie. - Uśmiechnęła się wstydliwie. - Wysepka wygląda jak zaczarowana. Może śpiąca królewna albo królewicz czekają tam na ratunek. Ktoś musi przybyć i przerwać zły czar, nie sądzi pan?

- Oj, dziecko - odparł pobłaźliwie. - Widzę, że naczytała się pani wiele bajek. Obawiam się, panno Horne, że życie układa się zupełnie inaczej, i wkrótce pani to odkryje. Czy na pewno skończyła pani osiemnaście lat? Pani mama powinna się dobrze zastanowić, zanim wprowadzi ją na salony. Wydaje mi się pani zbyt niewinna, aby przestawać z łajdakami, jakich można tam spotkać.

- Wiem, że życie nie zawsze bywa wesołe - odparła z godnością Lucy. - Pomagałam wielokrotnie przy kwestach na rzecz ubogich nie tylko w naszym kraju, lecz również za granicą. Papa nauczył nas myśleć o ludziach, którym los nie sprzyjał tak jak nam, dlatego nie jestem ślepa na zło związane z biedą.

- Nie myślałem o trudnym położeniu ubogich - odrzekł Jack. W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć wprost, o co naprawdę mu chodziło. Nie należało zarażać młodej osóbkę zgorzknieniem. Był przekonany, że mama udzieli jej surowego ostrzeżenia przed mężczyznami, którzy wodzą niewinne panny na pokuszenie. - Naturalnie wrażliwość na los ubogich stawia panią w jak najlepszym świetle. - Wyraźnie złagodniał. - Chodźmy do domu. O ile wiem, pani siostra pisała bajki dla dzieci, prawda?

- O, tak - odparła z entuzjazmem Lucy. - Jo wymyślała je dla mnie, bo zawsze lubiłam różne historie, a potem Hal kazał je wydrukować i dał je Jo w prezencie ślubnym. Ostatnio Jo nie ma zbyt wiele czasu, bo oboje z mężem nieustannie podejmują przyjaciół.

- Skoro o życiu towarzyskim mowa, to dziś wieczorem, zdaje się, czeka nas bal. Czy będzie pani obecna?

- Naturalnie - odrzekła z błyskiem w oku Lucy. - Marianne urządziła go specjalnie dla mnie, uznała bowiem, że mój pierwszy bal powinien odbyć się w znajomym otoczeniu. Bywałam już na wieczorkach, ale jeszcze nie uczestniczyłam w balu.

- W takim razie musi pani wyczekiwać go z niecierpliwością. - Jack wbrew sobie uległ urokowi chwili. Ta panna, mimo swej dziecięcej naiwności,

miała mnóstwo wdzięku. - Proszę mi powiedzieć, w jakim kolorze jest pani suknia, chyba że to sekret.

Lucy splonęła rumieńcem, dostrzegłszy jego rozbawioną minę. Lord Harcourt wydawał się tego rana dużo bardziej przystępny. Nie wiedziała, co spowodowało tę zmianę, i dlaczego znikł mu z twarzy zacięty wyraz, który widziała u niego wieczorem.

- Jest biała, zdobiona srebrnymi cekinami - odparła. - Mama pożyczyła mi do niej perły, chociaż mam też własny naszyjnik z pereł i brylantów, który dostałam na urodziny od Drew.

- Będzie w nich pani wyglądać uroczo - zapewnił Jack, notując w pamięci, aby przesłać jej bukiet białych kwiatów, a jeszcze lepiej różowych z białymi wstążkami. - Myślę, panno Horne, że powinniśmy teraz udać się do pokoju śniadaniowego.

Lucy skinęła głową, znów bardzo zawstydzona. Zwykle czekała ze śniadaniem na mamę, ale nie chciała tego powiedzieć lordowi Harcourtowi. Nie wydawało jej się zresztą, żeby było coś niewłaściwego w przyłączeniu się do wcześniej wstających gości zainteresowanych zjedzeniem śniadania. Podniosła głowę, zdecydowana nie pokazać po sobie, że jest zaniepokojona, bo przecież mama i siostry jeszcze zapewne nie zeszły na dół.

Rozdział drugi

Tego ranka bardzo z siebie zadowolona Lucy wróciła na górę nieco później niż zwykle. Wcale nie czuła się nie na swoim miejscu, a wręcz przeciwnie, spotkała się z licznymi względami dżentelmenów, którzy zdecydowali się na wczesne śniadanie. Nie pozwolono jej nawet nałożyć czegokolwiek na talerz, pewien starszy dżentelmen, który mówił do niej per „moja miła”, częstował ją mnóstwem smakowitych kąsków z podgrzewanych półmisek. Inny nalewał kawę, jeszcze inny podsunął jej krzesło.

Bardzo jej się podobało, że budzi zainteresowanie, do chwili, gdy dostrzegła wyraźną dezaprobatę w oczach lorda Harcourta, który jednak nie powiedział ani słowa na ten temat. W rozmowie padła propozycja urządzenia pikniku na wyspie, co uznano za dobry pomysł. Zanim do pokoju weszła Marianne, wszystko było niemal uzgodnione.

- Znakomicie - pochwaliła pani domu, gdy zapoznano ją z pomysłem. - Wyspa nie jest duża, ale miło tam pospacerować w upalne popołudnie, bo jest zadrzewiona i można usiąść w świątyni dumania. Każę przygotować prowiant na piknik nad wodą, a ci, którzy będą chcieli powiosłować, będą mieli do dyspozycji łodzie.

- Och, wspaniale! - ucieszyła się Lucy. - Odkąd tu przyjechałam, marzę o obejrzeniu wyspy.

- Trzeba było powiedzieć, moja droga - zauważyła Marianne. - Drew zawiózłby cię tam z przyjemnością. Zanim tu zamieszkaliśmy, staw był zwykłą sadzawką. Drew kazał ją powiększyć, a wyspa powstała jako dodatkowa atrakcja.

- Czy przyjmie mnie pani do łodzi, panno Lucy? - spytał generał Rawlings. - Chętnie zwiedziłbym wyspę w pani towarzystwie, moja miła.

- Naturalnie - odparła Lucy, generalnie zachowywał się bowiem wobec niej z wielką uprzejmością. - Przypuszczam jednak, że wszyscy będą chcieli tam popłynąć.

- To zaklęte miejsce - powiedział Jack, zaskakując tym i siebie, i Lucy. - Może znajdziemy uśpionego księcia albo elfy i wróżki?

Lucy popatrzyła na niego zdziwiona, przekonana, że z niej kpi, ale dostrzegła w jego oczach przekorne błyski i serce zabiło jej mocniej.

- Nie pan pierwszy snuje takie przypuszczenia - powiedziała ze śmiechem Marianne. - Podczas Wielkanocy na wyspie urządzamy dzieciom poszukiwanie skarbów i aż trudno uwierzyć, co one wtedy opowiadają.

Rozmowa zeszła na sprawy majątku i problemy związane z edukowaniem dzieci robotników.

Marianne założyła ostatnio szkołę dla dzieci rodziców, których nie stać na opłacanie nauki, i chętnie zaglądała tam od czasu do czasu, aby sprawdzić, jak radzi sobie nauczycielka. Lucy słuchała tego w milczeniu całkiem nieświadoma, że od kilku minut lord Harcourt w skupieniu jej się przygląda. Wreszcie Harcourt wstał, podziękował za towarzystwo i odszedł. Lucy została i podniosła się od stołu dopiero wtedy, gdy nadeszła pani Horne, która szepnęła jej do ucha, że Jo czuje się niezbyt dobrze i postanowiła dłużej poleżeć, ale prosiła, by ją odwiedzić.

Lucy zapukała więc do drzwi pokoju siostry i zastała ją wspartą na stercie poduch. Obok na stoliku stała taca z prawie nietkniętym śniadaniem, a na łóżku leżały nieotwarte listy.

- Jak się czujesz, najmilsza? - spytała Lucy, nieco przestraszona bladością siostry.

- To nic takiego, zwykła poranna niedyspozycja - wyjaśniła Ja - Nie mogłam patrzeć na śniadanie i Hal namówił mnie, żebym do południa została w łóżku. Nie chcę mu się sprzeciwiać, bo wiem, jak ważne dla niego i dla lorda Beverleya jest to dziecko.

- Czy Hal będzie niezadowolony, jeśli się okaże, że to nie chłopiec?

- On twierdzi, że zależy mu tylko na moim i dziecka zdrowiu. Wiem jednak, że lordowi Beverleyowi marzy się dziedzic, więc mam nadzieję, że urodzę synka. Wprawdzie córeczka Marianne jest śliczna i chciałabym mieć także dziewczynkę, ale lord Beverley jest słabego zdrowia, a wnuczki już się doczekał.

- Owszem - przyznała Lucy. - Lord Beverley rozpieszcza

Ellen i małego Mattie, ale na pewno spodziewa się wnuka po tobie i Halu.

- Mnie jest wszystko jedno, bo zamierzam mieć kilkoro dzieci.

- Pewnie tak będzie - przyznała Lucy, która znała upór siostry. - Po południu idziemy nad staw, a ja chcę obejrzyć wyspę. Wybierzesz się z nami?

- Zostanę raczej na brzegu i popatrzę na was z jakiegoś wygodnego miejsca do siedzenia - odrzekła Jo. - Możesz zjeść moje herbatniki.

Lucy się roześmiała, przypomniała sobie bowiem, jak za dawnych czasów podkradała siostrze śniadanie.

- Dziękuję, droga Jo, ale nie dam rady. Jadłam śniadanie na dole i generał Rawlings nałożył mi stanowczo za dużą porcję. Nie chciałam okazać się niegrzeczna, więc nie zostawiłam ani kęska.

- Generał Rawlings? - Jo wiedziała, że generał, który niedawno pochował drugą żonę, rozgląda się za jej następczynią. - Uważaj, najmilsza. On jest dla ciebie stanowczo za stary, a poza tym ma pięcioro dzieci z poprzednimi dwiema żonami.

Lucy popatrzyła ze zdziwieniem na siostrę.

- Och, Jo, nie sądzisz chyba... Biedny generał Rawlings! Jestem dla niego o wiele za młoda.

- Niektórzy dżentelmeni lubią bardzo młode damy - ostrzegła ją Jo. - Pilnuj się, żebyś nie znalazła się z nim w kompromitującej sytuacji, Lucy. Nie wydaje się mi, byś mogła być z nim szczęśliwa, a powinnaś dbać o reputację. -

Jo nieznacznie się zaczerwieniła. - Wiem, że sama zachowałam się dość niefrasobliwie, gdy uciekłam z Halem, ale te sytuacje są nieporównywalne.

- Przecież kochałaś Hala. Dziękuję za ostrzeżenie, Jo. Wydawało mi się, że generał po prostu chce być miły, ale teraz wiem, że muszę zachować czujność. Dopilnuję, żebyśmy nie popłynęli na wyspę tylko we dwoje.

Lucy istotnie pamiętała o przestrodze siostry, więc gdy łódź odbijała od brzegu, oprócz generała Rawlingsa miała za towarzyszy podróży pannę Tremaine, lorda Harcourta i jeszcze jedną damę. Na miejscu cała grupka ruszyła razem ścieżką między drzewami i krzewami do świątyni dumania.

Panna Tremaine zaborczo ujęła lorda Harcourta pod ramię, Lucy szła więc za nimi z generałem Rawlingsem, a potem gdy łódź wróciła z następnymi pasażerami, inni także ruszyli ich śladem.

Rododendrony właśnie kwitły, podobnie jak część azalii i kamelii, więc zieleń urozmaicały plamy czerwieni, pomarańczy i różu. Lucy z entuzjazmem rozglądała się dookoła, a gdy spomiędzy zarośli wyłoniła się świątynia, wydała okrzyk zachwytu i pobięła obejrzyć ją z bliska.

Budowlę wzniesiono z marmuru na podobieństwo świątyń greckich, była odsłonięta ze wszystkich stron, a pod dachem ustawiono ławeczki, na których można było przysiąść. Lucy skorzystała z tej możliwości i wtedy podszedł do niej lord Harcourt.

- Obawiam się, że jest pani rozczarowana, panno Horne - powiedział. - Nie ma kogo budzić i nawet nie widać elfów.

- Ale i tak miejsce jest zaklęte - sprzeciwiła się Lucy. - Nie sądzi pan?

- Może dla niektórych - przyznał Jack. - Myślę, że najważniejsze jest towarzystwo, w jakim człowiek się znajduje. - Odwrócił głowę ku rudowłosej piękności, która do nich podeszła, choć nie usiadła na marmurowej ławeczce. - Czy podoba się pani wyspa, panno Tremaine?

- Och, jest całkiem ładna - odrzekła z wyrazem znużenia na twarzy i zakręciła kolorową parasolką. - Widziałam już inne, równie interesujące, a może nawet bardziej. O ile wiem, pan także kształtował tereny w swojej posiadłości, lordzie Harcourt. Czy ma pan staw?

- Tak, ale bez wyspy. Jest za to dużo lasów - odparł. Na chwilę się zasepił, przypomniał sobie bowiem chatę drwala, która odegrała niemałą rolę w jego wspólnych zabawach z Davidem.

- Słyszałam, że zainstalował pan wspaniałe urządzenia wodne, wzorowane na tych, które można zobaczyć w Wersalu...

- Och, daleko im do nich, chociaż wydaje mi się, że akurat do mojej posiadłości pasują lepiej niż wersalskie - powiedział Jack. - Mam też dziki ogród, czy po prostu dzicz, jak mawia mój główny ogrodnik.

- To bardzo ciekawe - zauważyła panna Tremaine. - Wrócimy już, milordzie? Obejrzałam wyspę.

Jack podał jej ramię i ruszyli w kierunku przystani. Druga dama z towarzyszącym jej dżentelmenem odeszli chwilę wcześniej, nagle więc Lucy się zorientowała, że została sam na sam z generałem.

- Wreszcie mamy to urocze miejsce tylko dla siebie, moja miła - powiedział, mierząc Lucy spojrzeniem, które bardzo ją zakłopotало. Wstała, by dołączyć do reszty grupki, ale generał chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie. - Nie uciekaj, moja śliczna.

- Myślę, że powinniśmy dołączyć do reszty - zaproponowała Lucy, bardzo zaniepokojona. Wcześniej generał wydawał jej się nieszkodliwym starszym panem, teraz nie była już taka pewna tej opinii. - Inaczej łódka będzie musiała po nas wrócić.

- A niech wraca - rzekł, głaszcząc ją po obnażonym ramieniu. - Musi pani zdawać sobie sprawę z tego, że mnie bardzo pociąga. W istocie, panno Lucy, myślałem nawet o...

- Panno Horne! - rozległ się głos lorda Harcourta. - Płyniemy na brzeg, panna Tremaine chciałaby już wrócić.

- Naturalnie! - zawołała Lucy i wyswobodziła się z uścisku generała.

Na brzegu przesłała Harcourtowi wdzięczny uśmiech, ze zdziwieniem stwierdziła jednak, że wygląda na zagniewanego. Widocznie nie miał zrozumienia dla jej braku rozsądku. Nic dziwnego, sama była sobą dość rozczarowana, bo przecież Jo ją ostrzegała. Chciało jej się płakać, ale za nic nie pokazałaby po sobie, jak bardzo zabolą ją dezaprobata lorda Harcourta.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedziała pani Horne, gdy córka wyłoniła się z sypialni w wieczór balu. - Kto przysłał ci ten uroczy bukietek?

- Lord Harcourt. Pasuje mi do opaski na włosy, prawda? - Otrzymawszy różowe róże zdobione białymi wstążkami, Lucy związała włosy wstążką w różowe groszki.

- To bardzo miły gest - uznała pani Horne. Była dumna z córki, wiedziała bowiem, że Lucy jest rozsądna, i taki drobiazg z pewnością nie zawróciłby jej w głowie. - Zejdziemy na dół?

- Tak, mam. - Lucy spojrzała na nią z uwagą. - Czy dobrze słyszałam, że mogę zatańczyć walca i będzie to całkiem stosowne?

- Na balu twojej siostry naturalnie tak - odparła pani Horne. - Natomiast gdy w przyszłym miesiącu wybierzemy się do Almacka, musisz poczekać, aż otrzymasz pozwolenie od jednej z patronek. W każdym razie, kochanie, już prawie wszędzie się uważa, że w walcu nie ma niczego niestosownego.

Lucy skinęła głową. Zadała sobie w duchu pytanie, czy lord Harcourt poprosi ją do tańca. A gdyby poprosił ją do walca... Nie należało jednak robić sobie zbyt wielkich nadziei. Dobrze wiedziała, że lord Harcourt widzi w niej duże dziecko i jest zainteresowany panną Tremaine, która korzystała z każdej okazji, aby zmonopolizować jego uwagę. Lucy uznała, że nie może rywalizować z taką pięknnością.

Sala balowa była pełna, gdy pojawiły się Lucy i pani Horne. Marianne i Drew od kilku minut witali licznych gości. Do grona tych, którzy na czas uroczystości zamieszkali w rezydencji Marlbecków, dołączyło około dwudziestu par. Przez pewien czas pani Horne przedstawiała córkę znajomym.

Jednak gdy muzycy zaczęli grać, Lucy natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania i wkrótce miała zapelniony cały karnet. Pierwszy zgłosił się generał Rawlings. Szczęście jej dopisało, bo w tańcu ludowym często zmieniano się partnerów. Wcześniej powzięła mocne postanowienie, że na pewno nie zatańczy z generałem walca, nawet jeśli ją o to poprosi.

Lord Harcourt zatańczył dwa razy z panną Tremaine, a potem podszedł do Lucy, która właśnie stała obok pani Horne, i spytał o następny taniec. Niestety, Lucy już go komuś obiecała.

- Obawiam się, że mam wolny jedynie ostatni taniec przed kolacją - powiedziała, spoglądając na niego nieśmiało. - Może...

- Trzeba było się pospieszyć - stwierdził pod swoim adresem Harcourt. - W każdym razie ostatni taniec przed kolacją na pewno mi odpowiada. To zapewne będzie walc, co szczególnie mnie cieszy.

Lucy zapewniła lorda Harcourta, że rezerwuje dla niego walca, i znów została porwana na parkiet. Za partnerów miała poczciwych, starzejących się dżentelmenów, od wielu lat żonaty, ale także czterech kawalerów mniej więcej w jej wieku, którzy na cały wieczór utworzyli coś w rodzaju jej dworu. Kiedy akurat nie tańczyła, zgadywali na wyścigi jej życzenia i opowiadali śmieszne historie. Lucy bawiła się dużo lepiej, niż oczekiwała, więc gdy Marianne ją o to spytała, mogła odpowiedzieć całkowicie szczerze. Jednak w miarę zbliżania się kolacji odczuwała coraz większy niepokój. Wreszcie podszedł do niej lord Harcourt.

- To chyba mój taniec, panno Horne.

- To prawda - przyznała i podała mu rękę.

Gdy prowadził ją na parkiet, mocno biło jej serce. Miała nadzieję, że nie zdradza się ze swymi uczuciami, bo nie chciała, żeby lord się zorientował, jak wielkie wywiera na niej wrażenie. Uniosła głowę i całkiem nieświadomie przybrała dumną minę, a tymczasem rozległy się pierwsze takty walca.

Taniec z Jackiem Harcourtem okazał się spełnieniem marzeń Lucy. Jeszcze nigdy nie doznała niczego podobnego. Odniosła wrażenie, że unosi się w powietrzu, że leci ku czarodziejskiemu miejscu. I nie była to magia z jej dziecięcych marzeń. Lucy instynktownie wiedziała, że właśnie takim uczuciem darzy się mężczyznę, którego chce się mieć za męża. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby walc trwał bez końca, ale muzyka wkrótce ucichła i goście zaczęli zmierzać ku sali jadalnej, gdzie podano kolację.

- Może chciałaby pani coś zjeść, panno Lucy? - zapytał Jack, ale właśnie w tej chwili podeszła do nich pani Horne.

- Cieszę się, kochanie, że tak dobrze się bawisz - powiedziała. - Chodź, pomożesz mi wybrać coś spośród tych wszystkich wybornych dań, które przygotowała dla nas Marianne.

Lucy przesłała partnerowi spojrzenie pełne żalu. Wolałaby zjeść kolację w jego towarzystwie, nie mogła jednak sprzeciwić się życzeniu mamy. Lord Harcourt skłonił głowę, jakby chciał powiedzieć, że rozumie sytuację. W sali jadalnej do swojego stołu zaprosili Lucy młodzi ludzie, z którymi tańczyła, i pani Horne pozwoliła jej z nimi usiąść.

Lucy nie posiadała się ze zdumienia. Dlaczego mama zażyczyła sobie jej towarzystwa i niemal natychmiast z niego zrezygnowała? Usiadła z młodymi ludźmi, mając nadzieję, że lord Harcourt nie poczuje się urażony. Kilka minut później zauważyła go przy bufecie z panną Tremaine. Śmiał się z jakiegoś jej żartu, a Lucy poczuła bolesne ukłucie w sercu. Stanowczo wolałaby być na miejscu panny Tremaine.

- Czy coś się stało, panno Horne?

Lucy odwróciła się do siedzącego obok młodego człowieka. Miał około dwudziestu lat, był jasnowłosy i przystojny.

- Nie, ale dziękuję za troskę, panie Tristram. Zamyśliłam się, nic więcej. - Spojrzała na niego z uwagą. - Czy pan dobrze się bawi dziś wieczorem?

- Tak - przyznał, a na policzki wystąpił mu lekki rumieniec. - Wcale tego się nie spodziewałem. Tańce ludowe często bywają nudne, jak wiadomo, ale dzisiaj jest tu pani.

- To miłe, że pan tak mówi. - Lucy poczuła, że palą ją policzki. - Prawdę mówiąc, nie rozumiem jednak, w jaki sposób moja obecność może mieć na to jakiś wpływ.

- Nie rozumie pani? - Uśmiechnął się. - Pewnie rzeczywiście nie. Sądzę, że nie zdaje sobie pani sprawy z tego, jaka jest piękna.

- Piękna... - Lucy roześmiała się dźwięcznie. - Chyba pan żartuje. Owszem, mówiono mi, że jestem ładna, ale piękna... - Spojrzała na pannę Tremaine. - To jest piękna panna.

John Tristram popatrzył we wskazany kierunek i nieco zmarszczył czoło.

- Zwraca uwagę - przyznał. - Jednak ten rodzaj piękna jest bardzo powierzchowny, a panna wydaje mi się dość płytka, podczas gdy pani... - Urwał i wyraźnie się zmieszał, widząc jej minę. - Mam nadzieję, że pani nie obraziłem.

- Nie, skądże - odrzekła Lucy i uroczo zmarszczyła nosek.

- Wydaje mi się jednak, że pańska krytyka jest zbyt daleko idąca, panie Tristram.

- Możliwe, zresztą w ogóle nie powinienem był z nią występować - uznał. - Moim zdaniem, panna Tremaine nawet się do pani nie umywa.

- Och, dziękuję. - Lucy przesłała mu promienny uśmiech.

- Prawdę mówiąc, czuję się dość niezręcznie w jej obecności, bo wydaje się bystra i pełna życia.

- Bystra jest - potwierdził - lecz czasem kosztem innych, a to wydaje mi się okrutne. Pani nigdy nie byłaby nieżyczliwa dla innych.

Wyraz jego twarzy zdradzał uczucia bliskie uwielbienia, więc Lucy kolejny raz spłonęła rumieńcem i odwróciła głowę. Pan Tristram wydawał jej się sympatyczny, a jego komplementy bardzo ją podbudowały, wiedziała jednak, że nigdy nie poczuje do niego niczego więcej niż przyjaźń.

- Czy pan poluje, panie Tristram? - spytała, ponieważ był to temat, który zwykle odwracał uwagę dżentelmenów. Nie omyliła się w swych rachubach. Przez następne minuty pan Tristram częstował ją opowieściami o swoich myśliwskich doświadczeniach, a potem konwersacja zeszła na tematy ogólne.

Wkrótce kolacja dobiegła końca. Niektórzy z dalej mieszkających gości wyruszyli w drogę powrotną, inni jednak, a wśród nich Lucy, wciąż się bawili. Lucy poprosił do tańca Drew, a potem Hal, w każdym razie salę balową opuściła w gronie ostatnich gości. Gdy wreszcie wróciła na górę, zauważyła, że lord Harcourt z panną Tremaine poszli do oranżerii i jej dobry nastrój uleciał w jednej chwili.

Lucy tłumaczyła sobie, że niedorzecznością jest odczuwać irytację z powodu człowieka, ledwo zdającego sobie sprawę z jej istnienia. Owszem, traktował ją uprzejmie, ale uważał za dziecko. Dlaczego miałoby być inaczej, skoro mógł zalecać się do panny Tremaine, której wyraźnie na tym zależało.

Tej nocy Lucy spała jak zabita. Jack Harcourt nie miał tyle szczęścia. Poszedł z panną Tremaine do oranżerii, aby szukać zgubionego tam przez nią kolczyka, gdy jednak cenny drobiazg okazał się nie do znalezienia, dostrzegł w jej oczach wyraz oczekiwania.

- Pewnie zgubiłam go gdzie indziej - powiedziała skruszonym tonem i popatrzyła na niego, nieznacznie rozchylając wargi. - Jak głupio z mojej strony...

- Może wcale nie zginął - odparł Jack. - Pewnie znajdzie go pani później w swoim pokoju, a może przyczepił się do ubrania.

- Tak pan sądzi? - Zaczęła obmacywać dekolt. - Myśli pan, że mógł tutaj wpaść?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Jack, zorientowawszy się poniewczasie, że względy okazywane przez niego tego wieczoru pannie Tremaine obudziły u niej zupełnie konkretne oczekiwania. - Musi pani poprosić mamę o pomoc albo poszukać samodzielnie w swoim pokoju. Nie mnie snuć takie domysły, panno Tremaine.

- Nie prosiłabym w tej sytuacji o pomoc obcego dżentelmena - wyjaśniła, lecz popatrzyła na niego z nieukrywanym zaproszeniem w oczach. - Co do pana... nie poczytałabym tego za obrazę.

- Jednak to obrażałoby moje poczucie przyzwoitości wobec szlachetnie urodzonej damy - odparł szorstko Jack. - Nawet gdybyśmy byli po słowie, a przecież nie jesteśmy, to z takimi poufałościami poczekałbym do ślubu. Ponieważ tymczasem nie zamierzam się żenić, powinniśmy zakończyć tę rozmowę, panno Tremaine,

Przesadził z bezpośredniością. Zarumieniła się i szybko opuściła oranżerię. Nawet żałował, że tak niezręcznie dobrał słowa, bo nie zamierzał jej obrazić. Prawdę mówiąc, kiedy myślał o małżeństwie, rozważał właśnie poślubienie kogoś podobnego do panny Tremaine, wydawało mu się bowiem, że taką osobę niełatwo urazić. Debiut miała za sobą przed czterema sezonami i do tej pory nie wyszła za mąż. Nie miał pojęcia dlaczego, ponieważ panna była ładna i dysponowała pewnym majątkiem, co powinno było zapewnić jej licznych adoratorów. Albo odrzucała wszystkie oświadczyzny, albo z jakiegoś powodu konkurenci nie decydowali się na ostateczny krok.

Jack poszedł do ogrodu zapalić ostatnie cygaro. Spoglądając w zadumie na księżyc, wspominał z wątplym uśmiechem na wargach walca z panną Horne. Nie ulegało wątpliwości, że to urocza dziewczyna, choć dla niego o wiele za młoda.

Poza tym jej matka bez wątpienia słyszała te przekłete plotki, inaczej nie przeszkodziłaby mu w zaproszeniu Lucy na kolację. Matka troszczyła się o córkę i nie mógł jej za to winić. Wiedział, jakie niebezpieczeństwa czyhają na naiwne panny, których nie pilnują rodzice. Pani Horne należałoby poświęcić nieco uwagi, gdyby zamierzał ją przekonać, że wypada mu zalecać się do jej córki. Mógł naturalnie uciszyć jej niepokój, ale tymczasem nie chciał tego robić - sekret nie był jego, więc należało go dotrzymać. Zresztą wcale nie planował zalotów do panny Horne.

Został na balu, bo obiecał to Drew i Marianne, ale teraz nic go tutaj nie zatrzymuje. Postanowił pożegnać gospodarzy i wyjechać z samego rana. W Londynie czekały na niego ważne sprawy.

Następnego ranka Lucy zbudziła się dopiero po dziewiątej. Gdy odciągnęła zasłony i spojrzała na ogród, słońce stało już całkiem wysoko na niebie. Otworzyła okno i do pokoju wpadł kwietny aromat.

Wiedziała, że mimo tej pory mama, ciotka Bertha i Jo jeszcze nie opuściły swoich pokojów. Marianne może już wstała, zawsze bowiem lubiła wczesne spacerować. Lucy uznała, że ubierze się sama, nie dzwoniąc na służącą, i zejdzie na dół. Miała dość wody w dzbanku, by obmyć ręce i twarz.

W muślinowej sukni wyszła do ogrodu. Przystanąła, by powąchać różę o niezwykłym ciemnoczerwonym odcieniu, gdy ujrzała zbliżającą się Marianne z przewieszonym przez ramię koszykiem pełnym ciętych kwiatów.

- Już jesteś na nogach? - zdziwiła się siostra. - Mama zapowiadała, że możesz dłużej pospać. Pewnie myślała, że do południa nie podniesiesz się z łóżka.

- Lubię wczesne wstawanie tak jak ty - odparła Lucy.

- Jak ci się podobał wczorajszy wieczór, moja droga? Chyba nie przesiadziłaś ani jednego tańca?

- Owszem - odrzekła z wyraźnym zadowoleniem Lucy. - Wszyscy byli dla mnie wyjątkowo mili, choć nie wiem, czy nie ze względu na ciebie.

- Jestem przekonana, że nie - odparła Marianne. - Jesteś uroczym stworzeniem.

- Pan Tristram powiedział mi coś podobnego - stwierdziła, lekko się rumieniąc. - A walca przed kolacją tańczyłam z lordem Harcourtem. - Uśmiechnęła się mimo woli na wspomnienie najważniejszego tańca wieczoru.

- Wiem. - Marianne nieco spochmurniała. - On wyjechał z samego rana. Obawiam się, że obraził pannę Tremaine. Widziałam wczoraj wieczorem, jak rozstawała się z nim bardzo wzburzona.

- Naprawdę? - Lucy się zawahała. - A mnie się zdawało, że on zamierza jej zaproponować... że są po słowie.

- Jej też mogło się tak wydawać - odrzekła Marianne. - Jack czasem zachowuje się nierozważnie, a ona mu się dość natrętnie narzucała, choć muszę przyznać, że nie zrobił niczego, by ją zniechęcić. On zresztą lubi flirtować. Słyszałam nawet, jak ludzie zarzucają mu skłonność do rozpusty, choć tu nie jestem pewna, czy słusznie. Naturalnie ma swoje, hm, znajomości, ale to dotyczy wielu nieżonatych mężczyzn. Co do niego, jest jakaś historia, o której ludzie szepczą, nawet chciałam o nią spytać Drew, wiedziałam jednak, że i tak by mi nie powiedział. - Pokręciła głową. - To zresztą nie ma znaczenia. Lubię lorda Harcourta, a on zawsze jest niezwykle szczodry.

- Mnie też wydał się życzliwym człowiekiem - przyznała Lucy. - Żałuję, że wyjechał. Nie miałam okazji się z nim pożegnać.

- Masz szansę spotkać go w Londynie, kiedy za tydzień pojedziesz tam z mamą - powiedziała Marianne. - O ile wiem, spędza w mieście dużo czasu, chociaż ma bardzo piękny dom na wsi, bo jest przecież zamożnym właścicielem ziemskim z pięknym tytułem. Myślę, że właśnie to zainteresowało pannę Tremaine. Ona od dłuższego czasu poluje na tytuł, ale dotąd nikt nie wpadł w jej sidła.

- Ach, to dlatego jeszcze nie wyszła za mąż? - Lucy spojrzała zamyślona.
- Rozumiem, że można kochać mężczyznę, ale wcale nie jest to takie ważne, czy tak, Marianne?

- Kiedy zakochałam się w Drew, nie wiedziałam, że ma tytuł ani że jest bogaty. - Marianne uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Udawał niejakiego pana Becka, a jego buty wyglądały zupełnie niestosownie. Co gorsza, zdarza mi się dalej w nich chodzić, chociaż jego osobistego służącego doprowadza to do rozpaczki, a Drew ma przynajmniej dziesięć par nowych.

- Drew to Drew - oświadczyła Lucy, dźwięcznie się śmiejąc. - Nie ma drugiego takiego człowieka, Marianne. Hal jest bardzo miły, ale Drew jest wspaniały. Bardzo się cieszę, że go pokochałaś, bo dzięki temu jesteś szczęśliwa. Andrea jest po prostu cudowna.

- Też tak myślę - ożywiła się Marianne. - Pójdziemy do pokoju dziecięcego sprawdzić, czy mała się zbudziła. Ranek to najlepszy czas, żeby się z nią pobawić.

Reszta pobytu Lucy w domu Marianne i Drew minęła jak z bicza strzelił. Zdarzało jej się myśleć o lordzie Harcourcie, starała się jednak nie zaprzętać sobie nim głowy. Ostatniego popołudnia w Marlbeck do Lucy przyjechał John Tristram i przed podwieczorkiem odbyli półgodzinną przechadzkę w ogrodzie. Początkowo rozmowa toczyła się wokół błahostek, wspominali bal, wymieniali uwagi o pogodzie. W pewnej chwili pan Tristram przystanął i spojrzał na nią w skupieniu.

- Jutro wyjeżdża pani do Londynu, panno Lucy?

- Tak, z samego rana. Podróż zajmie nam zapewne dwa dni i będziemy musiały się zatrzymać po drodze w gospodzie. Mówię o sobie i mamie, bo ciotka Bertha postanowiła zostać tutaj, a potem wrócić do swojego domu w Kornwalii. Marianne i Drew mają za kilka dni ruszyć naszym śladem, więc przez większą część mojego pobytu w Londynie będziemy razem.

- Zdobędzie pani nowe, ciekawe doświadczenia - powiedział John Tristram. - Czy mógłbym panią za kilka dni odwiedzić? - zapytał. - Postanowiłem wybrać się do Londynu i zatrzymać u mojego wuja, sir Michaela Gerarda.

- Będzie mi bardzo miło - odparła Lucy trochę onieśmielona jego poważnym spojrzeniem. - Ojej, słyszałam gong. To chyba na podwieczorek

Ulżyło jej, że skończyło się ich sam na sam, obawiała się bowiem, że John Tristram powie coś, co wprawi ją w zakłopotanie. Bardzo go polubiła, ale wolała, żeby jej się nie oświadczał.

- Ma pani rację - przyznał, sprawiając takie wrażenie, jakby i jemu ulżyło. - Powinniśmy chyba wracać do domu.

Kilkoro spośród gości Marianne przyszło na podwieczorek, choć większość już odjechała. Wyjazdu pozostałych należało spodziewać się jeszcze tego wieczoru. Do tych ostatnich należał generał Rawlings, który obrzucił Lucy wyraźnie niechętnym wzrokiem, gdy weszła na salę jadalną w towarzystwie Johna Tristrama. Od czasu epizodu na wyspie Lucy bardzo uważała, żeby nie zostać z generałem tylko we dwoje, i licząc na to, że całkowicie rozwiała jego nadzieje.

- O, jest pani, moja droga - powiedział generał, gdy za Lucy weszła do pokoju panna Tremaine. Wstał i podszedł do rudowłosej piękności z szerokim uśmiechem. - Czy mam pani pozwolenie, by wyjawić nasz sekret?

- Naturalnie, Henry - odrzekła z uśmiechem, który wydał się Lucy cokolwiek wymuszony. - Chyba nawet pan powinien.

- Panna Tremaine... Angela... wyświadczyła mi wielki zaszczyt i zgodziła się zostać moją żoną - oznajmił w ciszy, która nagle zapadła. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, nigdy nie sądziłem, że przyjmie moje oświadczenia.

Lucy starała się zachować spokój, aby nie okazać zdumienia nowiną. Była przekonana, że panna Tremaine chce usidlić lorda Harcourta, i nie mogła pojąć

skąd to nagle obniżenie wymagań. Generał Rawlings był dżentelmenem i miał całkiem wysoką pozycję oraz odpowiedni do tego majątek, ale nie był arystokratą i pod żadnym względem nie mógł równać się z Harcourtem.

Po chwili zgromadzeni w sali się ożywili, podchodzili do generała i jego wybranki, spiesząc z gratulacjami. Lucy przyłączyła się do innych, choć nie przestała się dziwić. Wybór panny Tremaine nie był jednak jej sprawą, więc swoimi wątpliwościami z nikim się nie podzieliła.

Po podwieczorku goście zaczęli odchodzić na górę, aby przebrać się do kolacji. Lucy nagle się zorientowała, że została w sali jadalnej tylko z panną Tremaine.

- Pewnie pani się zastanawia, dlaczego przyjechałam oświadczyć generała - odezwała się, zaskakując Lucy bezpośrednio. - Myślałam o oddaniu ręki Harcourtowi, ale mama słyszała na jego temat nieciekawe plotki, uznałam więc, że wolę poślubić człowieka cieszącego się dobrą opinią.

Lucy najchętniej schowałaby się w myśią dziurę, ale przecież nie wypadało uciekać.

- Ale ja wcale nie...

- Odniosłam wrażenie, że Harcourt pani się podoba, uznałam więc, że powinnam wystąpić z ostrzeżeniem. To nie jest mężczyzna godzien zaufania. Mama słyszała z pewnego źródła, że oddaje się rozpuście i... - rozejrzała się dookoła

- ...i że jest jeszcze coś gorszego. Nie wiem, czy powinnam pani o tym mówić...

- Proszę tego nie robić! - przerwała jej Lucy. - Dziękuję za ostrzeżenie, ale nie chcę słuchać plotek. - Okręciła się na pięcie i chwilę potem była już na schodach. Nagle przestało mieć dla niej znaczenie, co pomyśli sobie panna Tremaine.

Zamknawszy się w pokoju, Lucy stwierdziła, że aż ją trzęsie ze złości. Jak panna Tremaine śmiała opowiadać takie rzeczy?! To było wyjątkowo

niestosowne, zwłaszcza że lord Harcourt jako nieobecny nie mógł niczego sprostować. A w dodatku panna Tremaine wcześniej wyraźnie mu się narzucała!

Gdyby Lucy miała inny charakter, nabrałaby podejrzeń, że przez pannę Tremaine przemawia zazdrość. Jednak uznała tylko, że musiała ona czuć się głęboko urażona. W każdym razie Lucy i tak nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek zatruwał jej umysł i nastawiał ją przeciwko lordowi Harcourtowi.

Wątpliwości po krótkiej wymianie zdań z panną Tremaine nie dawały jednak Lucy spokoju, spytała więc Jo, co sądzi o zaręczynach generała Rawlingsa. Siostra przyszła do jej pokoju z drobnym podarunkiem i życzeniami udanego pierwszego sezonu w Londynie.

- Nie wiem tego na pewno - odrzekła Jo - wydaje mi się jednak, że po kilku sezonach w Londynie panna Tremaine jest dość rozczarowana. Jej mama wiązała z nią wielkie nadzieje, ale z jakiegoś powodu nic z tego nie wyszło. O ile pamiętam, podczas pierwszego sezonu kilku kawalerów prosiło ją o rękę, ale wszystkich odrzuciła, a potem... - Jo pokręciła głową. - Może to sprawa jej ostrego języka i nieżyczliwych uwag. W każdym razie generałowi Rawlingsowi wyboru żony nie zazdroszczę, bo nie potrafię sobie wyobrazić, jak panna Tremaine będzie serdecznie odnosiła się do dzieci innej kobiety.

- Rzeczywiście. - Lucy skinęła głową. - Pan Tristram też twierdzi, że ona nie grzeszy życzliwością.

- Cokolwiek powiemy, panna Tremaine wybrała. Mam wrażenie, że popadła w desperację, bo wcześniej liczyła na lorda Harcourta.

- Wydawało mi się, że nie bez podstaw. Jo, czy uważasz, że lord Harcourt jest typem, który lubi flirtować? - spytała Lucy.

- Bez wątplenia. Słyszałam pogłoski o jego upodobaniu do rozpusty, ale nie wiem, ile w tym prawdy. Drew go lubi, Hal też, a ja mam zaufanie do ich opinii.

- Prawdę mówiąc, myślałam dokładnie tak samo. Jeśli Drew go lubi, nie może być z nim tak źle.

Lucy uśmiechnęła się i razem z siostrą zeszła na dół na ich ostatni wspólny posiłek. Jo nazajutrz wyjeżdżała, a następne kilka miesięcy zamierzała spędzić w domowym zaciszu, oczekując przyjścia na świat dziecka.

Panna Tremaine nie była obecna tego wieczoru podczas kolacji. Razem z mamą i generałem Rawlingsem wyjechała po południu, więc w Marlbeck pozostała tylko rodzina. Lucy bardzo lubiła posiłki w gronie najbliższych, choć naturalnie bardzo się cieszyła, że mogła poznać przyjaciół Marianne.

Do łóżka kładła się w bardzo dobrym nastroju, chociaż odczuwała lekki niepokój. Wiedziała, że powinna przestać rozmyślać o lordzie Harcourcie. Był od niej dużo starszy, miał złą opinię i uważał ją za duże dziecko. Nadmierne angażując się w tę znajomość, wykazałaby brak rozsądku. Lucy uznała, że najlepiej poszukać kogoś innego, kogo mogłaby obdarzyć uczuciem.

Jack wszedł do niecieszącego się najlepszą opinią klubu nocnego. Odwiedzali go młodzi hulacy i panie wątpliwej kondyty, choć niekiedy szlachetnego urodzenia. Jack przystanął, aby przyjrzeć się kobiecie z obficie pokrytymi różem policzkami, która usiłowała za pomocą rzutu kośćmi zaplanować nad losem. Wiedział, że dama ma już swoje lata, pochowała trzech mężów i nosi nazwisko, które w swoim czasie budziło niemały szacunek. Towarzyszyli jej mężczyźni mający solidnie w czubie i zachęcający ją do jeszcze bardziej ryzykownej gry. Jack przymrużył oczy, zorientował się bowiem, że w otoczeniu kobiety znajduje się poszukiwany przez niego człowiek, sir Frederick Collingwood.

Przesunął się nieco w stronę grupki mężczyzn. Najchętniej sprowokowałby otwartą konfrontację, ale Collingwood należał do ludzi zręcznie zacierających za sobą ślady. Najpierw potrzebny był dowód, że właśnie on stoi za śmiercią Davida Middletona. Wprawdzie grali przy jednym stole tego wieczoru, gdy Middleton rozstał się życiem, ale to niewiele znaczyło. Kilka osób wspominało o kłótni Collingwooda z Middletonem, jednak nie sposób było stwierdzić, czy chodziło wyłącznie o karty.

Collingwood zerknął na niego nieufnie, jakby coś przeczuwał. Jack Harcourt rzadko odwiedzał takie lokale, więc nie należało się dziwić, że kogoś zastanawia jego obecność, a już zwłaszcza kogoś z nieczystym sumieniem.

- Dobry wieczór, Collingwood - uprzejmie zagaił Jack. - Nie przypuszczałem, że lubi pan grać w kości.

- Nie lubię - przyznał, podnosząc monokl do oka, by lepiej przyjrzeć się Jackowi. - A ja nie sądziłem, że pan lubi odwiedzać takie miejsca.

- Nie lubię - odparł Jack, z trudem powstrzymując się przed wygarnięciem temu typowi, co o nim myśli. - Zdarzają się jednak sytuacje, kiedy człowiek chce sobie trochę ubarwić życie czymś ryzykownym.

- Istotnie. - Jako nałogowy gracz Collingwood wykazywał zrozumienie dla takiej potrzeby. - Co pana tu interesuje?

- Chcę pograć w pikietę - odrzekł Jack, wiedział bowiem, że była to ulubiona gra Davida. - Na razie jednak trudno mi znaleźć partnera. Zdaje się, że za często wygrywam.

Collingwood przyjrzał mu się i skinął głową. Niewątpliwie został wyzwany, a takiej pokusie nie potrafił się oprzeć, nawet jeśli za wyzwaniem kryło się coś więcej.

- Dziś wieczorem mam tu swoje zobowiązania - powiedział. - Z radością jednak zmierzę się z panem w przyjemniejszym otoczeniu.

- Dobrze. Może jutro u White'a?

- Zgoda - odparł z wilczym uśmiechem Collingwood. Był hulaką najgorszego gatunku, człowiekiem, przed którym damy chronią swoje córki za wszelką cenę, zwłaszcza że wyglądem mógł łatwo oczarować każdą kobietę. Podobały się jego czarne włosy i ciemne oczy, choć sam Collingwood odnosił się do kobiet z pogardą. - Jutro o dziewiątej, Harcourt. Chce pan może teraz postawić coś na rzut kośćmi?

Jack zdążył już zauważyć pewną prawidłowość w wynikach rzutów. Sięgnął po kości, wrzucił je do kubka, chuchnął i postawił sto gwinei na szóstki.

Dwa sześcianiki przetoczyły się po stole i zatrzymały, pokazując ścianki z sześcioma punktami. Jack uśmiechnął się do pochłoniętej grą damy, która teraz z radosną miną zbierała wygraną. Przez chwilę przyglądał się młodemu szulerom, którzy mieli nadzieję oskubać kobietę, potem skierował się do wyjścia i opuścił klub, wiedząc, że śledzą go spojrzenia ludzi, którzy nie życzą mu najlepiej.

Lucy rozglądała się dookoła z wielkim zainteresowaniem, powóz bowiem, podskakując na wybojach, toczył się ulicami Londynu. Wczesnym rankiem nie było tłoku. Zobaczyła mleczarkę, dźwigającą w nosidle bańki, krzykliwie zachwalającą swój towar. Stojący obok przekupień sprzedawał świeże małże i ostrygi. Był też wóz piwowara ciągnięty przez parę koni w uprzężach pobrząkujących lśniąco mosiężnymi dzwonkami.

Poprzedniego wieczoru stanęli w znajdującej tuż przy rogatek gospodzie, więc rankiem dojazd zajął im niewiele czasu.

Podeksytowana Lucy wystawiła głowę przez okno, aby obejrzeć londyński dom markiza Marlbecka, przed którym właśnie powóz się zatrzymał. Drew i Marianne nalegali na jak najszybszy wyjazd do Londynu, aby łatwiej było skompletować dla Lucy odpowiednią garderobę przed jej debiutem w towarzystwie.

Lucy bardzo cieszyła się na rychły przyjazd Marianne, która miała w Londynie mnóstwo znajomych i przyjaciół. Liczyła, że pozna przynajmniej część tych osób. Tymczasem wysiadła z powozu i ku swemu zdziwieniu rozpoznała pierwszego człowieka, którego ujrzała na ulicy. Twarzy nie widziała, ale sylwetka była bardzo charakterystyczna. Zainteresowało ją, czy lord Harcourt dopiero wraca do domu po długiej nocy, czy raczej wyszedł na wczesny spacer. Skarciła się jednak w duchu za wścibstwo. Nie była to jej sprawa, nawet jeśli przez całą noc grał w karty albo spędził czas z kochanką. Ta ostatnia myśl przyprawiła ją o rumieniec.

Otworzył im drzwi dostojny i sztywny, ubrany w czerń kamerdyner. Zaprosił ich do domu w sposób, który Lucy wydał się niezwykle oschły, ale gdy

weszła do środka, młody lokaj puścił do niej oko. Odpowiedziała mu uśmiechem i od razu poczuła się rażniej.

Powitała je gospodyni, pani Williams, która w pierwszych słowach przeprosiła panią Horne, że pojawiła się dopiero teraz i nie czekała na ich przyjazd przed domem.

- Pokoje dla pań są gotowe - powiadomiła. - Bardzo proszę za mną na górę, lokaje zajmą się bagażami, a jeśli chcą panie coś zjeść, to zaraz podam śniadanie. Służba zajmie się rozpakowaniem bagaży.

- Przywiozłyśmy bardzo niewiele rzeczy - wyjaśniła pani Horne. - Zamierzam kupić córce modne stroje w Londynie.

- To bardzo rozsądna decyzja, jeśli wolno mi tak powiedzieć - orzekła gospodyni. - Czy życzy sobie pani, żebym posłała po wybraną przez nią krawcową? Będzie wtedy można robić wszystkie przymiarki na miejscu.

- To znakomity pomysł - ucieszyła się pani Horne. - Markiza Marlbeck dała mi adres swojej krawcowej. Napiszę do niej liścik z prośbą, żeby jutro przyszła, jeśli termin jej odpowiada.

- Na pewno nie będzie z tym kłopotu - uznała pani Williams. - Markiza to bardzo elegancka dama, więc z jej życzeniami ludzie się liczą.

- Tak przypuszczałam.

Pani Horne w zamyśleniu przyglądała się Lucy. Najmłodsza córka urodą nie ustępowała siostrze, a w dodatku mogła teraz korzystać z protekcji markizy Marlbeck. To było gwarancją, że zostanie zauważona. Poza tym obaj szwagrowie obiecali jej suty posag, co oznaczało, że do ślubu nie będzie szła z pustymi rękami. Pani Horne nie zamierzała jednak szczególnie naciskać na szybkie małżeństwo. Lucy była młoda i mogła wybierać. Pani Horne miała nadzieję, że córka dokona mądrego wyboru.

Korzystając z tego, że mama rozmawia z gospodynią, Lucy rozejrzała się wokół. Z zewnątrz dom wydawał się mniejszy, ponieważ był wkomponowany w zabudowę szeregową z ubiegłego stulecia. Wnętrze okazało się jednak bardzo

przestronne. Dom miał trzy piętra, przy czym na najwyższym znajdowały się sypialnie służby, a w piwnicy kuchnie.

Szerokie schody przykrywał perski dywan w intensywnym niebieskim kolorze. Na ścianach wisiały obrazy w złożonych ramach, a na podeście pierwszego piętra, gdzie znajdowały się pokoje, w których przyjmowano gości, ustawiono złożone stoliki z krzesłami. Do korytarza, z którego wchodziło się do sypialni gościnnych, trzeba było wspiąć się jeszcze piętro wyżej.

Lucy zajęła swój pokój pierwsza. Pani Horne poprosiła, by nieco się uporządziła i zeszła na dół, gdzie za kwadrans miano podać śniadanie. Oględziny pokoju wzbudziły niemałe zdziwienie Lucy, wystrój bowiem bardzo różnił się od tego w Marlbeck Manor, gdzie wszystko było majestatyczne i oficjalne, mimo że Marianne stopniowo starała się to zmieniać. Tu umeblowanie wyglądało bardziej nowocześnie, a jasne drewno dawało wrażenie lekkości, wzmacniane jeszcze przez pastelowe różowe zasłony na łóżku i w oknach. Kombinacja różowego z kremowym i domieszką karmazynowego bardzo podobała się Lucy.

Od pierwszej chwili poczuła się w tym pokoju jak u siebie. Zdejmując kapelusik, podeszła do stojącego pod oknem ślicznego sekretarzyka. Mebel miał lekko pochyły blat obity skórą i szufladki na papier, pióra, atrament i wosk. Właśnie oglądała różne inne ciekawe przedmioty, pozostawione do jej użytku, gdy odniosła wrażenie, że ktoś jej się przygląda. Wyjrzała przez okno i na ulicy dostrzegła młodego człowieka. Na jej widok zdjął kapelusz i zamiótł nim w efektownym ukłonie, szeroko się przy tym uśmiechając.

Lucy splonęła rumieńcem. To spojrzenie było stanowczo zbyt poufałe, wręcz natrętne. Szybko cofnęła się w głąb pokoju. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, że gdy stoi przy oknie, widać ją z ulicy. Była przyzwyczajona do domów na wsi, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby wpatrywać się w cudze okna. Uświadomiła sobie, że w Londynie czeka ją wiele nowych doświadczeń.

Śladem kapelusika zdjęła również podróżną narzutkę. Suknia trochę jej się pogniotła, ale zadowolona się wygładzeniem największych zagnieceń. Wiedziała, że nie zdąży się przebrać, bo musi zejść do pokoju śniadaniowego.

Usiadła na stołeczku przed toaletką i przeczesała włosy, które natychmiast po wydostaniu się spod kapelusika zaczęły jej się plątać, ponieważ były niesłychanie miękkie i delikatne. Niektórzy dżentelmeni spośród gości Marianne porównywali je do surowego jedwabiu i mówili, że mają księżycowy odcień.

Lucy się skrzywiła. Zazdrościła Jo rudych loków, które na wietrze same zakręcały się w pierścionki. Zwykle siostra zaczesywała te niesforne pukle, jednak gdy chciała sprawić przyjemność Halowi, tylko związywała je wstążką.

Lucy również najczęściej korzystała ze wstążki, ponieważ delikatne włosy trudno kunsztownie ufryzować, ale z Jo nie mogła się równać. Pani Horne zapowiedziała, że w Londynie zatrudni fryzjerkę, która ułoży włosy córki w sposób nieco bardziej odpowiadający współczesnej modzie. Lucy spojrzała w lustro i westchnęła. Zrobiłaby wiele, byle tylko wyglądać na odrobinę starszą.

Rozdział trzeci

- Ślicznie wyglądasz - pochwaliła Marianne, wchodząc do pokoju w wieczór pierwszego balu Lucy.

Nowa suknia z połyskującego białego jedwabiu została ozdobiona wierzchnią spódnicą z gazy poprzetykaną cekinami. Włosy jakimś cudem udało się ułożyć tak, żeby jeden pierścionek kusząco opadał jej na lewe ramię. Były spięte szpilkami z perłowymi i brylantowymi główkami, które Lucy dostała w prezencie od rodziny, podobnie jak brylantowe kolczyki i naszyjnik z brylantowym wisiorkiem.

- Wiedziałam, że w rękach madame Suzanne jesteś bezpieczna - dodała Marianne. - Wspaniała kreacja.

- Cudowna - przyznała podekscytowana Lucy. - Bardzo dobrze się w niej czuję. Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że mogę tak wyglądać.

- Mama żywiła obawy, czy ta kreacja nie będzie dla ciebie zanadto wyrafinowana, ale udało mi się ją przekonać. Przecież masz już osiemnaście lat i przestałaś być dziewczynką.

- Mamie trudno pogodzić się z tym, że dorastam.

- Na pewno nie chce, żebyś na zawsze pozostała dzieckiem, ale jako najmłodsza córka miałaś wyjątkowo troskliwą opiekę. Bez wątplenia jednak dziś wieczorem będziesz budziła zachwyt i podziw.

- Jeśli nawet, to tylko dzięki tym wszystkim pięknym rzeczom, które dostałam od ciebie, Drew i Jo. - Lucy dotknęła naszyjnika. - To dowód wielkiej szczodrości, bo przecież Drew dał mi już tak wiele.

- Chciał ci go podarować - wyjaśniła Marianne. - Bardzo lubi dawać prezenty, a ja mam już i tak za dużo biżuterii. Powiedz lepiej, czy jesteś gotowa do zejścia na dół? Mama z Drew czekają.

- Naturalnie - odparła Lucy i wzięła do ręki bukiet róż z żółtymi wstążkami, przysłany jej przez szwagra. - Śliczne kwiaty.

- Jestem przekonana, że po dzisiejszym wieczorze będziesz często dostawać kwiaty - zapewniła ją Marianne.

- Drew dopilnował, żebyś nie poszła z pustymi rękami na pierwszy bal.

Razem zeszły po schodach. Marianne włożyła suknię z zielonego jedwabiu, a na ramiona zarzuciła ozdobiony srebrnymi cekinami szal. Wspaniały szmaragdowo-brylantowy naszyjnik zdobił jej szyję, a uszy z tego samego wyrobu kolczyki. Przy zwiewnej, dziewczęcej Lucy sprawiała wrażenie dojrzałej, pełnej życia kobiety.

Drew powitał żonę czułym pocałunkiem, po czym wyraził uznanie dla szwagierki.

- No, no! Lucy, wyglądasz jak anioł. A ponieważ w zastępstwie twojego ojca występuję jako opiekun, więc zadanie na ten wieczór jest jasne: chronić cię przed wilkami.

- Och, Drew! - Lucy się roześmiała. - Czasem mówisz takie zabawne i niemądre rzeczy. Brakuje ci lat, żebyś mógł być moim ojcem.

- Tak czy owak opiekuna potrzebujesz - orzekł Drew. - Jeśli ktokolwiek poprosi cię o rękę, najpierw przyślij go do mnie na rozmowę. Nie chcę, żebyś padła ofiarą hulaki albo drania.

Lucy zachichotała, sądząc, że to zwykle żarty. Drew nie mógł chyba poważnie sądzić, że tego wieczoru ktoś jej się oświadczy.

W sali balowej panował niemały tłok, gdy pojawił się w niej Jack Harcourt. Był bardzo z siebie zadowolony, udało mu się bowiem przekonać na własne oczy, że sir Frederick Collingwood oszukuje. Mógł go zdemaskować już poprzedniego wieczoru, lecz tego nie zrobił. Pozwolił się oskubać z dwóch tysięcy gwinei, uznał to bowiem za niewielką cenę wobec tego, czego zdołał się dowiedzieć. W każdym razie autor tajemniczego listu miał rację co do oszustw przy grze, więc i reszta mogła być prawdą.

W miarę upływu wieczoru Collingwood był coraz bardziej pijany i przez to wyrwało mu się kilka zdań za dużo. Jack usłyszał więc, że w ostatni wieczór

życia David dużo przegrał, a kilka wzmianek dotyczyło jego naiwności. Wciąż jednak Jack nie miał pojęcia, co kryło się za kłótnią Davida z Collingwoodem. Próbował pytać, ale odpowiedzi nie uzyskał, choć miny niektórych dżentelmenów wskazywały na to, że nie poszło tylko o hazard. Może chodziło o kogoś ważnego dla Davida?

Potwierdziła się informacja zawarta w liście, że David opuścił klub z Collingwoodem i że toczyli zażartą kłótnię.

- Dobry wieczór, Harcourt - rozległ się głos za jego plecami. - Nie wiedziałem, że bawisz w Londynie.

Jack odwrócił się i ujrzał Drew Marlbecka.

- Przyjechałem załatwić pewną sprawę, zanim znowu zaszyję się na wsi. Przepraszam, że nie odwiedziłem dotąd ciebie i Marianne, ale naprawdę nie miałem czasu.

- Przyjdź do nas na kolację w przyszłym tygodniu - zaprosił go Drew. - Urządzamy spotkanie, ale w nielicznym gronie. Marianne planuje większe przyjęcie w przyszłym miesiącu.

- Dziękuję, nie omieszkam się stawić. - Jack omiół wzrokiem obszerną salę i zatrzymał go na zwracającej uwagę pannie, otoczonej wianuszkami dżentelmenów. Nie był pewien, czy go oczy nie mylą. - Mój Boże, czyżby tam stała panna Horne?

- Tak. Wspaniale wygląda, prawda? - Drew uśmiechnął się z dumą. - Marianne i jej krawcowa całkiem ją przemieniły. Wprawdzie pani Horne wciąż widzi w najmłodszej córce dziecko, ale każdy motyl w końcu wychodzi z kokonu.

- Jest piękna - rzekł Jack, przyglądając się otoczonej adoratorami Lucy. Dostrzegł, że jest trochę onieśmielona, ale to tylko dodawało jej uroku. - Cóż za odmiana!

- Mówiłem ci, że przez ostatnie kilka dni znajdowała się pod troskliwą opieką Marianne. Przedtem szkodziły jej nieodpowiednie stroje i brak pewności

siebie, a ona przecież ma osiemnaście lat i jest naprawdę urodziwa. Mężczyzna, który zaskarbi sobie jej łaski, będzie szczęściarzem. Lucy ma bardzo dobry charakter, choć jeśli chce, to potrafi postawić na swoim.

- Miło mi to słyszeć. - Jack nie mógł oderwać oczu od pięknej panny. Już poprzednio wydawała mu się czarująca, teraz prezentowała się wprost wspaniale. - Dziękuję, Marlbeck, za zaproszenie na kolację. Nie wykluczam nawet, że zostanę w Londynie nieco dłużej, niż planowałem.

- Powiem Marianne, żeby dodała cię do listy gości zaproszonych na przyjęcie - odrzekł Drew, z trudem ukrywając uśmiech.

Nie uszła jego uwagi słabość szwagierki do Harcourta. Wprawdzie dotarły do niego pogłoski o Jacku, ale nie zwykł dawać posłuchu plotkom. Nawet jeśli przyjaciel miał nieślubne dziecko, była to sprawa przeszłości, a nie bez podstaw mawiano, że nawróceni hulacy są najlepszymi mężami. Pani Horne mogła mieć na ten temat inne zdanie, ale należało przypuszczać, że da się przekonać.

Jack rozstał się z Drew i ruszył w głąb sali, witając po drodze znajomych. Wbrew plotkom był wystarczająco dobrą partią, by matrony patrzyły na niego zachłannie, upatrując w nim przyszłego zięcia. Miał tytuł i majątek, więc grzechy przeszłości można było puścić w niepamięć.

W pewnej chwili Jack zauważył, że do grupki admiratorów Lucy przyłączył się sir Frederick Collingwood. Bardzo zirytowało go, że ten człowiek w dalszym ciągu obraca się w przyzwoitym towarzystwie. Był wszak oszustem i hulaką najgorszego gatunku, a w mniemaniu Jacka również mordercą. Nie można było dopuścić, by Lucy Horne dostała się w jego ręce. Był to jeszcze jeden powód, dla którego należało jak najszybciej zdemaskować postęпки Collingwooda.

- Panno Horne! - powiedział podniesionym głosem, podchodząc do niej tak, by przy okazji odgrodzić ją od kilku eleganckich młodych ludzi. - O ile

pamiętam, to nasz taniec. - Porwał ją, zanim zdążyła zaprotestować, a na parkiecie znaleźli się akurat wtedy, gdy zabrzmiały pierwsze takty walca.

Lucy spojrzała na niego bardzo zdziwiona.

- Obiecałam tego walca panu Batesowi. Musiał pan się pomylić.

- Ależ nie - odparł Jack. - Naturalnie przeproszę, jeśli nie mam racji.

- Myślę, że nie postępuje pan ładnie, kradnąc taniec innemu dżentelmenowi. - Lucy udawała oburzenie, ale na wargach igrał jej uśmiech. - Wybaczam jednak, bo walca tańczy pan bosko.

- Dziękuję, panno Lucy. Mam nadzieję, że znamy się już dostatecznie dobrze, bym zwracał się do pani po imieniu. Mogę przecież powołać się na wcześniejszą przyjaźń, czyż nie?

Lucy stwierdziła, że szermierka na słowa z dżentelmenami sprawia jej przyjemność.

- Nie jestem pewna, czy można to nazwać przyjaźnią, skoro opuścił pan Marlbeck, nawet się ze mną nie żegnając.

- Przyznaję się do zaniedbania. - Jack skłonił głowę. - Postaram się jednak to pani wynagrodzić. Czy pozwoli pani zaprosić się na przejażdżkę po parku jutro po południu?

- Jestem umówiona - odparła Lucy. - Z przyjemnością jednak odbędę z panem przejażdżkę o jedenastej, jeśli to panu odpowiada.

- Czy o tak wczesnej porze nie będzie pani zanadto zmęczona po dzisiejszym wieczorze?

- Na pewno nie - stwierdziła stanowczo Lucy. - Lubię wczesnie wstawać, a mama nie pozwala mi wychodzić w Londynie samej, więc przejażdżka naprawdę bardzo mnie ucieszy.

- Wobec tego z przyjemnością stawię się po panią o jedenastej. - Gdy muzyka ucichła, Jack dodał z niezadowoleniem: - Obawiam się, że muszę panią odprowadzić do przyjaciół, najpierw jednak spytam, czy ma pani jeszcze jakiś wolny taniec?

- Tylko jeden - odparła Lucy. - Powinnam zaproponować go panu Batesowi. Tak będzie sprawiedliwie.

- Może w takim razie pozwoli pani, bym towarzyszył jej podczas kolacji?

- Dziękuję, chętnie. Jest pan bardzo uprzejmy.

Jack odprowadził Lucy do czekających na nią adoratorów, którzy natychmiast otoczyli ją zwartym kołem. Obietnicą walca przed kolacją Lucy ułagodziła pana Batesa, a zaraz potem wróciła na parkiet. Jack Harcourt przyglądał jej się jeszcze chwilę, stojąc z boku, po czym się oddalił. Niektórzy starsi dżentelmeni znaleźli schronienie w pokoju do gry w karty i właśnie tam Jack ponownie zobaczył sir Fredericka Collingwooda, który jednak odpowiedział przeczącym ruchem głowy na jego uniesienie brwi.

- Nie gram dzisiaj, Harcourt. Chętnie jednak dam panu okazję do odegrania się jutro.

- Jutro jestem zajęty - odparł Jack. - Może w przyszły wtorek?

- Niech będzie we wtorek - zgodził się z kpiącym uśmiechem Collingwood. - Co pan sądzi o nowej królowej sali balowej? Nazywają ją sylfidą i wróżką. Rzeczywiście jest urocza. Czy pańskim zdaniem posiada majątek?

- Zdaje się, że tak. Wątpię jednak, czy wystarczający, aby pana zainteresować.

- Szkoda, bo to bardzo kuszący kąsek. Chętnie bym ją sobie przygadał, ale odniosłem wrażenie, że z nią bez uprzednich oświadczeń o niczym nie będzie mowy, a mnie jest potrzebna dziedziczka sporej fortuny.

Jack omal nie spoliczkował tego zuchwalca. Na szczęście w porę przypomniał sobie, że tymczasem niczego nie może Collingwoodowi udowodnić. Pocieszał się, że to wkrótce się zmieni.

- Obawiam się, że jej matka ma inne plany. Jest pan bez szans - powiedział protekcjonalnym tonem Jack.

- Pan też - odciął się urażony Collingwood. - Jeśli prawdą jest to, co o panu opowiadają, nie powinien pan źle mówić o innych.

- Tylko czy jest to prawdą? - odparł tym samym tonem Jack. - Kłopot z plotkami polega na tym, że nigdy nie wiadomo, w co warto wierzyć.

Odwrócił się, zostawiając Collingwooda w jego punkcie obserwacyjnym. Collingwood bez wątpienia próbował wyszukać zdobycz, nadającą się do oskubania przy innej okazji. Jack wrócił do sali balowej i przez kilka minut przyglądał się tańczącej Lucy. Potem podszedł do wdowy, która była jego dobrą znajomą.

- Dobry wieczór, lady West - przywitał się. - Miło panią widzieć. Zatańczy pani?

- Chętnie - odparła z uśmiechem. - Jak pan widzi, zdjęłam żałobę, a życie toczy się dalej.

- To prawda - przyznał, podając jej ramię. Nie mógł pozwolić, by pomyślano, że jest zainteresowany wyłącznie tańcem z Lucy Horne, zwłaszcza gdy na sali znajdował się sir Frederick Collingwood. Należało zachować daleko posuniętą ostrożność.

Nawet w najśmielszych marzeniach Lucy nie spodziewała się, że będzie miała takie powodzenie, więc gdyby była mniej rozsądna, padające z ust mężczyzn liczne komplementy niechybnie zawróciłyby jej w głowie. Wbrew oczekiwaniom trzech dżentelmenów zaproponowało jej małżeństwo; Lucy uznała jednak, że żartowali.

Kiedy podczas wczorajszego balu Jack Harcourt zaprosił ją na kolację, rozległy się okrzyki sprzeciwu, lecz nikt nie spróbował odwieść go od tego zamiaru. Jack cieszył się sławą wyśmienitego strzelca, a i jako przeciwnik w walce na pięści miał wyrobioną renomę.

Jack znalazł wolny stolik przy oknie i obiecał wkrótce wrócić z różnymi smakołykami, a tymczasem Lucy, która poczuła miły, rzeźwiący powiew z zewnątrz, postanowiła wyjść na taras.

- Panno Lucy - wyrwał ją z zamyślenia czyjś głos - ogromnie się cieszę, że jest pani sama.

- Pan Lawrence. - Lucy poznała w młodym człowieku jednego ze swoich partnerów do tańca, zaskoczyło ją jednak, że stanął tak blisko niej, nie słyszała bowiem, jak podchodził.

- Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Muszę wracać, bo lord Harcourt zaraz przyjdzie z kolacją.

- Kto myśli o ziemskich potrawach, kiedy może skosztować nektaru bogów? - spytał głosem, który zdradzał wpływ alkoholu. - Szaleję, kiedy na panią patrzę. Jest pani... boginią stworzoną do miłości...

- Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że nie do końca pan nad sobą panuje. - Lucy spróbowała wyminąć Lawrence'a, chwycił ją jednak za ramię i odwrócił ku sobie. Szarpnęła się i zażądała: - Niech pan mnie puści!

- Najpierw muszę spróbować słodyczy twoich ust...

- Nie chcę pańskich pocałunków. Proszę cofnąć rękę i pozwolić mi wrócić na salę.

- Lepiej niech pan słucha, co do niego mówią, Lawrence - rozległ się głośno brzmiący głos. - Inaczej może pan mieć poważne kłopoty.

Młody człowiek odwrócił się i krew odpłynęła mu z twarzy. Chwilę potem zbiegł ile sił w nogach do ogrodu.

- Może ten epizod nauczy panią, że podczas balów lepiej nie wychodzić samotnie na dwór - powiedział surowo Jack.

- Sądziłem zresztą, że po wycieczce na wyspę jest pani bardziej rozważna.

- Rzeczywiście, zachowałam się nierozsądnie. Chciałam tylko zaczerpnąć kilka łyków świeżego powietrza.

- Na pannę, która tak pięknie wygląda, zawsze będą czyhać drapieżniki. Od tej pory proszę ufać jedynie tym ludziom, co do których jest pani przekonana, że na to zasługują.

- Dziękuję bardzo, będę ostrożniejsza. - Lucy była zanadto zakłopotana, aby spojrzeć Jackowi w oczy. - Przepraszam. Chciałabym poprawić toaletę. - Szybko go wyminęła. Całkiem straciła apetyt, była zresztą przeświadczona, że w towarzystwie Harcourta nie przełknęłaby ani kęsa.

Jack popatrzył za nią z żalem. Przykre przeżycia z przeszłości nie zbladły, jednak uznał, że niepotrzebnie się rozżłościł. Nie wolno mu było winić panny Horne za cudzą nierozwagę. Miał nadzieję, że przynajmniej ich przejażdżka dojdzie do skutku, a poranne przeprosiny okażą się skuteczne.

Lucy wróciła na salę balową kilka minut później zła na siebie, że zachowała się jak dziecko, za jakie miał ją lord Harcourt. Powinna była bronić swego, przecież nie zrobiła niczego nagannego. Pan Lawrence za dużo wypił; takie spotkanie mogło się przytrafić każdej damie, która wyszłaby na taras. Lord Harcourt z pewnością osądził ją zbyt surowo.

Rozejrzała się dookoła, ale go nie dostrzegła. Tego wieczoru nie pojawił się już na sali. Najwidoczniej wyszedł z balu po nieudanej kolacji. Zaczęła się zastanawiać, czy przyjedzie po nią nazajutrz rano, i doszła do wniosku, że tak. Żaden dżentelmen nie odwołuje spotkania z damą, nawet jeśli przydarzyło im się drobne nieporozumienie, a tak należało zakwalifikować ten incydent.

Oboje zareagowali zbyt emocjonalnie, a przecież Lucy naprawdę była Harcourtowi wdzięczna za interwencję podczas jej niefortunnej rozmowy z panem Lawrence'em.

Magia wieczoru nieco się jednak rozwiała, więc gdy Marianne zaproponowała powrót do domu, Lucy chętnie na to przystała. W powozie siedziała zamyślona, choć na pytania siostry zapewniała, że wspaniale się bawiła.

- Nie spodziewałam się aż takiego powodzenia - przyznała. - Musisz wiedzieć, że trzech panów złożyło mi ofertę matrymonialną. Nie wspomniałam o tym Drew, ponieważ nie wydaje mi się, by którakolwiek z nich była poważna.

- Och, Lucy. - Marianne się roześmiała. - To bardzo miłe i zabawne, pamiętaj jednak o ostrożności. Sądzę, że wkrótce otrzymasz poważniejszą propozycję, niż ci się zdaje.

- A ja uważam, że to wszystko tylko żarty. Jak ktoś, kto mnie nie zna, mógłby się oświadczyć? Komplementy są naturalnie bardzo miłe, ale przecież Drew nie zachowywał się wobec ciebie w taki sposób.

Marianne uśmiechnęła się nieznacznie.

- Rzeczywiście o małżeństwie długo nie wspominał.

- Właśnie. Małżeństwo zaproponował ci, kiedy był pewien swoich i twoich uczuć - stwierdziła Lucy. - I tak powinno być. Nie będę słuchać nikogo, kto podejmuje decyzję pod wpływem kaprysu.

Marianne bardzo się zdziwiła, że jej młodzianka siostra o marzycielskim usposobieniu ma takie poważne podejście do małżeństwa. Spodziewała się raczej, że komplementy, jakimi obsypano ją tego wieczoru, uderzą jej do głowy. Może jednak Drew miał rację...

Lucy zasnęła bez trudu, chociaż śniło się jej, że tańczy w chmurach z mężczyzną, którego twarzy nie widziała. Kiedy się zbudziła, na dworze było jeszcze ciemno. Wstała i rozchyliła zasłony, by móc wyjrzeć przez okno na ulicę. Zobaczyła ślady deszczu, który padał w nocy. W oddali zabrzmiał stuk końskich podków, a jakiś chłopak głośno zachwalał jajka, które sprzedawał. Z jednego z domów wyszła do niego służąca.

Lucy wróciła do łóżka, ale spać jej się odechciało. Zaczęła czytać ostatni poemat lorda Byrona, który Marianne kupiła w ramach subskrypcji. Postanowiła, że wkrótce zadzwoni na służącą, chciała bowiem przygotować się na przyjazd lorda Harcourta. Zajęło jej to mniej czasu, niż się spodziewała. Zresztą, nie miała pewności, czy Jack przyjedzie. Za pięć jedenasta usłyszała, że służba otwiera drzwi, i zeszła na dół powitać gościa.

Była ubrana w ciemnoniebieską suknię i słomkowy kapelusik z niebieskimi tasiemkami. Miała też skórkowe rękawiczki i czarne pantofle na

niewysokim obcasie, ozdobione srebrnymi klamrami, a spod spódnicy wystawały jej skrawki białych jedwabnych pończoch. Całości dopełniała koronkowa parasolka, dopasowana kolorystycznie do sukni.

- Jest pani wzorem punktualności - pochwalił ją lord Harcourt. - Niech mi wolno będzie powiedzieć, że pięknie pani wygląda, panno Lucy.

- Dziękuję. - Przesłała mu czarujący uśmiech. - Bardzo miło mi to od pana usłyszeć, tym bardziej że wczoraj wieczorem nie wyraziłam panu należnego podziękowania.

Na zewnątrz służący trzymał wodze pary wspaniałych karoszy. Faeton Harcourta musiał należeć do najelegantszych w mieście.

- To raczej ja zachowałem się zbyt impulsywnie. Bardzo panią przepraszam, ale ten młody człowiek szybko zdobywa sobie jak najgorszą opinię, więc widząc, że panią nagabuje, wpadłem w złość. Z pewnością jednak nie był to powód, bym odniósł się do pani tak szorstko.

- Nie przyszło mi do głowy, że podczas tak eleganckiego balu można narazić się na podobne kłopoty - wyznała Lucy.

- W przyszłości będę jednak ostrożniejsza.

Jack pomógł jej zająć miejsce w powozie, sam usiadł obok, a służącego odprawił.

- Nie potrzebuję cię już dziś przed południem, Ned.

- Rozumiem, milordzie - odrzekł stajenny i dyskretnie się uśmiechnął.

Patrząc za oddalającym się faetonem, pomyślał, że dawno jego pan nie zaprosił żadnej damy na przejażdżkę. Służba czyniła zakłady, kiedy pan zainteresuje się jakąś kobietą. Zobaczywszy pannę Horne, Ned zdecydował się postawić swoje pieniądze na dość rychłą zmianę.

Na szczęście Lucy nie zdawała sobie sprawy z emocji, które mimowolnie obudziła wśród służących lorda Harcourta. Do tej pory bywała na przejażdżkach wyłącznie ze szwagrami, bardzo więc przeżywała to, że może pokazać się w tak eleganckim powozie.

- Ma pan piękne konie - powiedziała ze szczerym podziwem. - Na pewno jest pan z nich dumny.

- Owszem - przyznał Jack. Wielu ludzi uważało go za najlepszego znawcę tych zwierząt w Londynie. - W swoim majątku hoduję konie i najlepsze wystawiam do wyścigów w Newmarket.

- Ojej! - Lucy przesłała mu spojrzenie pełne zachwytu. - Czy któryś z nich kiedyś wygrał?

- Tak, nawet niejeden. Lubi pani konie, Lucy?

- Bardzo, chociaż jeździć nie potrafię. Ciotka Bertha nie ma stajni, papa, póki jeszcze żył, wsadził mnie kiedyś na konia, ale potem już nie miałam okazji.

- Szkoda - rzekł Jack. - Jazda konna to wspaniałe zajęcie, panno Lucy. Zdrowe i przyjemne. Z pewnością powinna pani poświęcić trochę czasu na naukę.

- Może spróbuję, ale na pewno nie w Londynie. - Zawahała się, przyszłość bowiem rysowała się niejasno. Wśród jej nowych znajomych nie było żadnego człowieka, którego widziałaby jako potencjalnego kandydata na męża, miała jednak za sobą dopiero jeden bal. - Na wsi jazda musi być rzeczywiście bardzo przyjemna.

- Może pani nie tylko jeździć wierzchem, ale także nauczyć się powożenia - zauważył Jack. - Nie wiem nawet, czy powożenie nie spodobałoby się pani bardziej. Łatwo sobie wyobrazić, jak jedzie pani swoim zaprzęgiem.

- Czy pan ze mnie nie żartuje? Nie wiedziałam, że damie wypada powozić zaprzęgiem.

- Myślę, że na wsi nie ma w tym nic złego, chociaż naturalnie w mieście ważą się na to tylko te damy, którym najbardziej na tym zależy.

- Hm... Ciekawa jestem, czy Drew zechciałby mnie nauczyć powożenia - zastanowiła się na głos Lucy. - Może gdybym go ładnie poprosiła...

- Jest pani trzpiotką - rzekł ze śmiechem Jack. - Z przyjemnością pozwolę pani popробować na moim zaprzęgu, tylko nie na tym. Te konie są zbyt

narowiste. Mam inne, które bez oporów poddadzą się obcej ręce. Może spróbujemy któregoś ranka objechać park, jeśli się pani odważy.

- Chętnie - zgodziła się natychmiast z błyskiem w oku Lucy. - Skoro nie boi się pan oddać koni w moje ręce, to z przyjemnością spróbuję.

- Wobec tego może umówimy się pojutrze przed południem. Proponuję godzinę dziesiątą, będzie wtedy w parku mniejszy ruch.

- Dobrze - ucieszyła się Lucy. - Już nie mogę się doczekać.

- Prawdę mówiąc, ja też. To powinno być niezapomniane przeżycie.

Lucy nie mogła wiedzieć, że Jack jeszcze nigdy nie dał powozić swoimi końmi nawet mężczyźnie, a co dopiero kobiecie, znany był bowiem z tego, że ma wyjątkowo ogniste zwierzęta. Znał jednak kogoś, kto dysponował potrzebnym mu zaprzęgiem, a kilkaset gwinei powinno wystarczyć, aby zmienił on właściciela. Jack wolał się nie zastanawiać, czy jego reputacja nie ucierpi, jeśli ktoś zobaczy go z takimi szkapami.

Marianne aż się uśmiechnęła na widok Lucy, którą spotkała nieco później. Wiatr wymalował jej na policzkach piękne rumieńce, a oczy lśniły podnieceniem.

- Nawet nie muszę pytać, czy przejażdżka się udała - powiedziała. - Cieszę się, że było tak przyjemnie, moja droga.

- To prawda, świetnie się bawiłam - przyznała. Zastanawiała się, czy wyjawic siostrze, że lord Harcourt obiecał jej naukę powożenia, uznała jednak, że lepiej tymczasem zachować tę nowinę dla siebie. - Jakie mamy plany na popołudnie, Marianne?

- Dzisiaj przyjmuję gości. Przyjdzie kilka osób na podwieczorek, a wieczorem jesteśmy zaproszeni na karty. Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o przymiarce u krawcowej?

- Nie. Następna suknia balowa. Nie bardzo rozumiem, po co mi ich aż tyle?

- To dopiero początek - powiedziała Marianne, spoglądając na siostrę wyrozumiale. - Sama nie mogłam wyjść z podziwu, kiedy Drew przywiózł mnie pierwszy raz do Londynu, ale tu mnóstwo się dzieje, a jedną suknię możesz nosić najwyżej dwa, trzy razy.

- Mnie wydaje się to bardzo rozrzutne - orzekła Lucy, myśląc o tym, ile pieniędzy idzie na stroje. - Za taką jedną suknię balową można by utrzymać rodzinę przez kilka tygodni.

- Rozumiem, co czujesz. Drew wspiera kilka instytucji dobroczynnych. Nawet gdybyś oddała wszystkie swoje piękne suknie, nie nakarmiłabyś wszystkich głodnych dzieci. Drew i ja poświęcamy wiele czasu i pieniędzy, aby pomagać, więc nie miej wyrzutów sumienia, moja droga. Jeśli poślubisz dżentelmena z dużym majątkiem, ty również będziesz mogła dokładać starań, by pomóc innym.

- Masz rację. - Lucy skinęła głową. - Nie myślałam o tym, ale warto zawczasu się zastanowić.

- Czy poznałaś kogoś interesującego? - spytała Marianne.

- Nie... - Lucy zawahała się. - To znaczy tak, ale nie jestem pewna, czy podobam mu się na tyle, by poprosił mnie o rękę.

- Nie ma pośpiechu. To jest twój pierwszy sezon, moja droga. Nawet jeśli nie poznasz nikogo odpowiedniego, zostało ci jeszcze mnóstwo czasu. Nikt nie chce wymuszać na tobie przedwczesnej decyzji. Powinnaś mieć absolutną pewność, zanim powiesz „tak”. Kiedy się zakochasz, opuszczą cię wszelkie wątpliwości.

- Na pewno.

Lucy uśmiechnęła się i poszła na górę zmienić suknię na bardziej oficjalną. Pomyślała, że jej serce zostało nieodwołalnie zajęte, choć nie wydawało się jej, by lord Harcourt był w niej zakochany. Zachowywał się bardzo uprzejmie, czasem z nią żartował, ale nic nie wskazywało na to, że żywi

do niej cokolwiek poza przyjaźnią. Byłaby doprawdy nierozsądna, gdyby obiecywała sobie po tej znajomości zbyt wiele.

Tego popołudnia, gdy Jack wracał do domu, jego wzrok przykuła interesująca scenka. Młody chłopak, który właśnie wyszedł z jego rezydencji, zatrzymał się przy dżentelmenie stojącym w pewnym oddaleniu po drugiej stronie ulicy. Dżentelmen zadał mu pytanie, uzyskał odpowiedź i wręczył młodemu człowiekowi monetę. Chłopak odbiegł, a dżentelmen, zanim zaczął się oddalać sprężystym krokiem, odwrócił się ku Jackowi, który natychmiast go poznał.

Co robił George Garrick przed jego domem? I dlaczego dał chłopakowi złotą monetę? Nagle Jacka olśniło, wszystkie kawałki łamigłówek zaczęły wreszcie pasować do obrazka. Garrick mógł kiedyś zwać się jego przyjacielem, ale ich zażyłość się skończyła. Stoczyli nawet pojedynek na pięści. Jack winił Garricka za smutne położenie Amelii. Roztrząsanie tego nie miało jednak sensu, choć gdyby Amelia poślubiła Garricka, prawdopodobnie byłiby szczęśliwi.

Tymczasem lokaj otworzył przed nim drzwi wejściowe. Gdy Jack wszedł do środka, natychmiast zauważył leżący na stoliku list. Łamiąc pieczęć, wiedział, że intuicja go nie zawiodła.

Otrzymałem dalsze informacje w interesującej nas sprawie. Wciąż jeszcze brak mi dowodów, wkrótce jednak mam nadzieję dowiedzieć się więcej o zamordowaniu Davida Middletona. Ma to związek z dżentelmenem, którego dobrze pan zna - mężem pańskiej siostry. Jeśli się nie mylę, sprawa jest znacznie bardziej ponura, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Napiszę ponownie, kiedy uzyskam potwierdzenie moich domysłów.

Przyjaciel, któremu należałoby wybaczyć.

Gdyby Staunton istotnie uwikłał się w tę sprawę, wyjaśniałoby to niemało. Jack wiedział, że mąż Amelii to brutal, ale czy byłby gotów wejść w spisek z Collingwoodem, żeby zabić człowieka? Chyba że widział w kimś zagrożenie dla swoich interesów...

Jack zaniósł list do biblioteki i schował go do szuflady biurka. Przynajmniej uzyskał niezbitą pewność, że oba listy napisał George Garrick. Czy jednak dodawało to im wiarygodności? Może wręcz przeciwnie? Zastanawiał się, czy nie odszukać dawnego przyjaciela i nie zażądać od niego, by mówił wprost, wtedy jednak prawdopodobnie Garrick by się ulotnił. Chyba lepiej ciągnąć tę grę i przekonać się, dokąd prowadzi. Poza tym najpierw i tak musi zrobić co innego.

Tego wieczoru Lucy na próżno wypatrywała lorda Harcourta wśród grających w karty. Nie mogła wiedzieć o jego zobowiązaniach, bo jej o nich nie wspomniał. Liczyła więc na to, że go spotka. Stopniowo dochodziła jednak do wniosku, iż jej oczekiwania się nie spełnią. Na szczęście gra o małe stawki okazała się bardzo zabawna.

Poznani przez nią na balu dżentelmeni okazywali jej wiele względów. Pomagali dokładać żetony do puli i wspierali ją w grze. Wygrała dwa razy, a przegrała trzy, w sumie jednak straciła zaledwie kilka szylingów, obstawiając, pilnowała bowiem, by zachować rozsądek.

Podczas kolacji znów znalazła się w centrum uwagi. Trzej dżentelmeni utworzyli jej świtę i rywalizowali między sobą o zaszczyt przyniesienia jej szampana i innych specjałów.

- Dziękuję, panie Langham - powiedziała do młodego człowieka, który przyniósł jej kieliszek szampana. - Bardzo pan uprzejmy.

- To dla mnie prawdziwy honor - odrzekł. Jasnowłosy młodzieniec średniego wzrostu wyglądał całkiem atrakcyjnie i był dziedzicem dużego majątku, choć bez tytułu. - Na pewno pani wie, że jestem gotów na wszystko, byle sprawić jej przyjemność.

Lucy spłonęła rumieńcem, ponieważ z jego oczu biła taka uczciwość, że mu uwierzyła. Do tej pory pan Langham nie wystąpił z żadną znaczącą deklaracją, była jednak pewna, że gdyby się oświadczył, to z całkowitą powagą. Sir Hugh, starszy od pana Langhama, choć w żartach, poprosił o jej rękę już trzy

razy i Lucy nie wierzyła w szczerłość jego intencji. Również pan Peter Robinson dawał do zrozumienia, że uważa Lucy za osobę ze wszech miar atrakcyjną, lecz ani słowem nie wspomniał, iż myśli o czymś więcej niż zwykły flirt.

Panowie byli dla niej tak uprzejmi, że Lucy ani przez chwilę nie została sama. Mimo to raz po raz nachodziły ją myśli o lordzie Harcourcie. Nie powinna odczuwać rozczarowania jego nieobecnością, gdy otaczało ją tylu życzliwych kawalerów, a jednak tak było.

Do domu wracała zadumana. Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że żaden z dżentelmenów poznanych w Londynie nie robi na niej takiego wrażenia jak lord Harcourt. Kiedy wchodził do pokoju, zdawało jej się, że nagle pogoda zmieniała się na lepsze. Zaczynała się niepokoić, co będzie, jeśli do końca sezonu lord Harcourt nie zdecyduje się jej oświadczyć.

Tego wieczoru Jack miał inne sprawy na głowie niż przyjęcie, choć i on spędził wieczór na grze w karty. Collingwood przegrał pierwsze rozdanie, potem jednak wygrywał.

Jack obstawiał konsekwentnie, choć niewysoko, a przez cały czas bacznie przyglądał się ruchom przeciwnika, choć udawał, że jest pochłonięty swoimi kartami. Był już pewien, że rozszyfrował metodę, jaką Collingwood wszystkich zwodził, lecz instynktownie wyczuwał, że za wcześnie na ujawnienie oszustwa.

Być może przed natychmiastowym zdemaskowaniem Collingwooda powstrzymał go drugi list od przyjaciela. Jeśli Davida zamordowano tak, by wyglądało to na skutek nieporozumienia przy grze w karty, to Jack chciał najpierw się dowiedzieć, co próbowano w ten sposób zamaskować. Zamiast więc zakończyć sprawę z Collingwoodem już tego wieczoru, pozwolił się ograć z kolejnych dwóch tysięcy trzystu gwinei.

- Jest pan dziś dla mnie za mocny, Collingwood - powiedział w końcu i ziewnął. - Może rewanż przy okazji?

- Kiedy tylko pan sobie życzy - odparł przymilnym tonem Collingwood. Z jego tonu wynikało, że tracił czujność. - Jestem do pańskiej dyspozycji, Harcourt.

- W przyszłym tygodniu? - zaproponował Jack. - Mam wprowadzić dużo zajęć, ale może na przykład dokładnie za tydzień.

- Czemu nie? Jeśli tylko pański portfel to wytrzyma, powinniśmy następnym razem podwyższyć stawki, aby mógł się pan odegrać.

- Czemu nie? - powtórzył Jack z nie mniejszą nonszalancją. Wstał od stolika. - Dobranoc.

Gdy zmierzał do drzwi, podszedł do niego Greaves.

- Odprowadzę pana kawalek, Harcourt.

- Proszę bardzo, Greaves. Będzie mi miło w pańskim towarzystwie.

Na dworze zerknął kątem oka na swego towarzysza. Choć nie byli przyjaciółmi, znali się nieźle, a Jack uważał Greavesa za uczciwego człowieka. Widział w nim dżentelmena starej daty, bardzo wyczulonego na punkcie honoru.

- Chcę pana ostrzec, Harcourt - odezwał się Greaves. - Collingwood oszukuje, a do tego jest niebezpieczny.

- Powiem panu, że to było konieczne, ale bardzo proszę, aby zachował pan tę wiedzę tylko dla siebie.

- Ach, tak... - Greaves skinął głową. - Podejrzewałem, że tak się rzeczy mają. Najwyższy czas, żeby Collingwood dostał nauczkę. Jeśli potrzebuje pan świadka, służę uprzejmie. Są też inni, którzy przez niego wycierpieli.

- Niech pan przyjdzie za tydzień. Mogłem zdemaskować go dzisiaj, ale wolałem poczekać. W przyszłym tygodniu nie będzie już takiej konieczności.

- To dobrze. - Greaves był wyraźnie usatysfakcjonowany. - Będę pilnował, aby nikt nie stanął panu za plecami.

Jack skłonił głowę.

- Dziękuję. Moim zdaniem Collingwood ma na sumieniu znacznie więcej niż tylko karciane oszustwa, ale udowodnienie tego może okazać się

niemożliwe. Wystarczy jednak go skompromitować, żeby znalazł się poza nawiasem przyzwoitego towarzystwa.

- Domyślam się, że mówi pan o Davidzie Middletonie - stwierdził z powagą Greaves. - Widziałem tę grę, Harcourt.

Middleton wstał od stołu wściekły, chociaż nie wiem, jakie słowa między nimi padły. Collingwood wyszedł wkrótce potem. Słyszano, że się kłócili. Sam się nad tym zastanawiałem. Być może ktoś wie coś na ten temat. Chyba nie chodziło wyłącznie o karty.

- Jestem przekonany, że nie, natomiast udowodnienie tego to zupełnie inna sprawa.

- Czasem sprawiedliwości nie może stać się zadość, ale kompromitacja Collingwooda powinna wystarczyć jako zadośćuczynienie.

- Może. - Jack wiedział, że jemu nie wystarczy, choć jeśli nie zdoła znaleźć dowodu winy Collingwooda, niczego więcej nie zdoła.

Rozstał się z Greavesem i zamyślony ruszył dalej. W swoim czasie zastanawiał się, czy nie sprowokować Collingwooda do kłótni i nie rzucić mu wyzwania, ale ostatecznie odstąpił od tego pomysłu. Wiedział, że strzela dużo lepiej od potencjalnego przeciwnika, lecz taki pojedynek miałby wiele ze zwykłego morderstwa, a zło uczynione przez kogoś nie usprawiedliwia odpłacenia mu tą samą monetą.

Tak, musiał zadowolić się zdemaskowaniem oszustw Collingwooda. Zresztą pojedynek zagrażałby innym jego celom. Na jego wargach pojawił się nikły uśmiech. Prawdę mówiąc, niecierpliwie czekał na pierwszą lekcję powożenia z panną Lucy Horne, gdy tylko będzie dysponował odpowiednim zaprzęgiem. W tym celu zaś musiał rano wyruszyć w krótką podróż.

Rozdział czwarty

Wieczorek tańczący nazajutrz był znacznie skromniejszy od balu, podczas którego Lucy tak dobrze bawiła się w ubiegłym tygodniu, ale pojawiła się większość poznanych przez nią wcześniej dżentelmenów. Niestety, lord Harcourt nie przybył.

Tańczyła z wieloma młodymi ludźmi, między innymi z panem Tristramem, który wyraźnie okazywał jej względy. Pomna poprzedniego niefortunnego wydarzenia, Lucy bardzo uważała, żeby nie znaleźć się samotnie na tarasie, mimo że w sali tanecznej panowała nieznośna duchota. Wśród gości znajdował się też pan Lawrence i spostrzegła, że przygląda jej się z daleka. Na szczęście do tańca jej nie zaprosił, a w pewnym momencie opuścił salę taneczną.

Lawrence przeszedł do pokoju na zapleczu, gdzie rozstawiono stoły do gry w karty dla dżentelmenów niezainteresowanych tańcem.

- Skąd u ciebie ta ponura mina? - spytał go sir Frederick Collingwood, gdy wyszli razem na dwór zapalić cygaro. -

Czyżbyś znowu był pod kreską? Ile tym razem? Parę setek możesz dostać, jeśli potrzebujesz.

- Dziękuję - odparł młodzieniec. Wuj nieraz spłacał jego długie karciane, zwykle jednak życzył sobie coś w zamian. Jedną z tych przysług wciąż śniła się Lawrence'owi po nocach. Wprawdzie to nie on pociągnął za spust, ale pomagał zacierać ślady. - Tym razem rzecz nie w pieniądzu. Fortuna ostatnio mi sprzyja.

- Czyżby więc chodziło o kobietę? - Collingwood uniósł brwi. - Zapomnij o niej, kimkolwiek jest. Żadna kobieta nie jest warta zachodu. Znajdź sobie płątną dziewczkę, a tamtą wybij sobie z głowy.

- Zakochałem się, ale ona mnie nie lubi. W dodatku ją spłoszyłem.

- Pewnie miałaś w czubie - rzekł pogardliwie Collingwood. - Czy ona przynajmniej ma godzien uwagi majątek? Jeśli tak, radzę ci ją uwieść. Pokaż jej, że wiesz, czego chcesz. Po nocy spędzonej z tobą w łożu, szybko da się określić wokół małego palca, to ci gwarantuję.

- Nie mógłbym tak postąpić - odrzekł Lawrence. - To jest prawdziwy anioł, wcielona niewinność. Niektórzy wyceniają ją w przyszłości na dziesięć tysięcy.

- Turkaweczka Rainhamów ma tyle rocznie - zauważył Collingwood. - Bierz jej majątek i nie przejmuj się tym, że z twarzy przypomina konia. Kiedy zabezpieczysz pieniądze, będziesz miał dość urodziwych panienek na każde skinienie. Sam ożeniłbym się z panną Rainham, ale jej ojciec mnie nie chce. Ostrzegał mnie nawet, żebym trzymał się od jego córki z daleka i nie próbował żadnych sztuczek, bo nie wyłudzę ani pensa. Tobie może się jednak udać.

- Ożenić się z tym zakalcem?! Wolałbym wstąpić do marynarki. Nie. Ja zdecydowanie chcę Lucy Horne. O kimś takim zawsze marzyłem.

- Masz niewłaściwe podejście - powiedział kpiąco Collingwood. - Szczerze mówiąc, wątpię, czy ona zechce na ciebie spojrzeć, ale może zmieniłaby zdanie, gdybyś skorzystał z mojej rady.

- Kłopot w tym, że ona mnie nie znosi. Równie dobrze mógłbym spróbować szczęścia z córką Rainhamów. Ta przynajmniej ma pieniądze.

Lawrence odszedł z ponurą miną, pozostawiając Collingwooda w zadumie. Zauważył on już, że Harcourt bardzo interesuje się tą małą Horne. Byłoby zabawne, gdyby ktoś sprzątnął mu ją sprzed nosa, uznał. Szkoda, że Lawrence nie był zainteresowany uwiedzeniem tego niewiniątka, zapewne jednak znalazłoby się kilku innych młodych ludzi, którym wyda się to świetnym kawałem. Warto byłoby się nad tym zastanowić. Tymczasem jednak musi przepompować do swojej kieszeni jeszcze trochę pieniędzy Harcourta.

Wkładając następnego ranka niebieską suknię, Lucy odczuwała przyjemne podekscytowanie. Głowę przykryła zawadiacko przekrzywionym

kapelusikiem i z zadowoleniem oceniła osiągnięty efekt. W miarę pobytu w Londynie nabierała coraz więcej pewności siebie. Kilka propozycji małżeńskich i popularność, jaką zyskała, uświadomiły jej, że jest atrakcyjna. Wciąż miała więc nadzieję, że zauważy to również lord Harcourt.

Tym razem przyjechał punktualnie. Gdy wyszli przed dom, czekała już na nich lekka kariolka. Lucy miała słabe rozeznanie w tych sprawach, natychmiast zorientowała się jednak, że takimi powozikami dżentelmeni zazwyczaj nie jeżdżą. Pojazd sprawiał wrażenie zbyt delikatnego, a konie zbyt potulnych. Spojrzała pytająco na Harcourta.

- Panno Lucy - powiedział - to jest damski zaprzęg. Konie są nauczone słuchać kobiecej ręki.

- Czy wynajął go pan specjalnie dla mnie? - zainteresowała się.

- Powiedzmy, że pożyczyłem go od przyjaciela - odrzekł. - Jeździła nim jego żona, teraz jednak jest przy nadziei, więc na razie zrezygnowała z eskapad. Zawarliśmy umowę. Może pani korzystać z tego zaprzęgu tak często, jak tylko sobie pani życzy.

- To bardzo miłe z pańskiej strony, że zadał pan sobie dla mnie tyle trudu - podziękowała Lucy. - Nie spodziewałam się tego.

- Moje konie nie nadają się dla niewprawnego powożącego, takie próby byłyby zbyt niebezpieczne. Te są łagodne, więc jeśli zachowa pani ostrożność, konie będą jej we wszystkim słuchać.

- Czy mogę spróbować od razu? - spytała podekscytowana Lucy.

- Najpierw musimy dotrzeć do parku. Prowadzenie lekcji na ulicy nie byłoby właściwe. Proszę pozwolić, że przez chwilę ja będę powoził - odrzekł Harcourt, mając nadzieję, że żaden dżentelmen nie zobaczy go w tym zaprzęgu.

- Pomogę pani wsiąść.

Lucy zajęła miejsce na koźle i wyruszyli. Nie potrafiła pozbyć się lekkiego niepokoju. Kątem oka zerknęła na jego profil. Ależ jest atrakcyjnym mężczyzną! Mimo że Drew z pewnością udzieliliby jej lekcji, gdyby tylko go

poprosiła, to lordowi Harcourtowi poczytywała tę przysługę za wyjątkową uprzejmość. Powożenie takim zaprzęgiem na pewno nie mogło mu sprawiać przyjemności.

- Nie widziałam pana przez ostatnie dwa wieczory.

- To prawda. Miałem liczne obowiązki. Będę dzisiaj na wieczorku muzycznym lady West. Pani też, zdaje się, została zaproszona.

- Owszem, lady West przyjaźni się z Marianne.

- My również jesteśmy przyjaciółmi - powiedział zadowolony Jack. - Na pewno więc jeszcze dziś się spotkamy.

Lucy uśmiechnęła się promiennie. Wiedziała już, że może się podobać, lecz jeszcze nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, jakie wrażenie wywiera na mężczyznach.

Po południu Jack wybrał się do klubu szermierczego. Szpadą posługiwał się nie gorzej niż pistoletem, sprawiało mu więc przyjemność, kiedy mógł skrzyżować klingi z właścicielem i kilkoma przychodzącymi tam przyjaciółmi. Tym razem jednak po wejściu skrzywił się z niechęcią, zobaczył bowiem kuzyna Collingwooda, Toby'ego Lawrence'a, który przyszedł razem z gromadą znajomych. Na szczęście byli również przyjaciele Jacka, więc mógł poćwiczyć, potem zaś przeszedł do pomieszczenia dla klientów, chcących przed wyjściem nieco się odświeżyć. Właśnie wycierał się ręcznikiem, gdy przez otwarte okno dobiegł go głośny śmiech.

- Podoba mi się ten pomysł - powiedział jakiś młody człowiek. - Twój wuj ma rację, To zwykła flirciara i należy jej się nauczka.

- Nie mów tak o niej - odparł Lawrence. - Jest boska, to anioł w kobiecej skórze. Dlaczego nie chce spojrzeć na żadnego z nas? Widziałem ją na przejażdżce z Harcourtem. Sama powoziła, lecz to nie był jego zaprzęg. Widocznie specjalnie dla niej go kupił. Skoro zaś interesuje się nią Harcourt, nic dziwnego, że się nie liczymy.

- Do diabła z nim! - krzyknął inny młodzieniec. - Myślę, że powinniśmy iść za radą twojego wuja i ją uwieść. Kiedy będzie nasza, z musu wybierze jednego z nas.

- Nie bądź głupcem - odezwał się inny młody mężczyzna. - Jeśli Harcourt jej chce, to ciebie po prostu zabije!

- Niech spróbuje. Wiem, że szpada posługuje się znakomicie, ale w strzelaniu z pistoletu mogę dorównać każdemu.

- Nie byłeś w Manton. Widziałem go tam, jak z perfekcyjną dokładnością dziurawi kara w karcie.

- Daj spokój, skąd miałby się dowiedzieć? Przyłączasz się, Lawrence?

- Jeśli musicie, to tak - padła odpowiedź po dłuższej chwili - ale jako pierwszy dostaję szansę, by ją obłaskawić.

- W porządku, lecz jeśli ci odmówi, jest moja.

- Kiedy spróbujemy?

- W piątek wieczorem na balu maskowym. Na pewno tam będzie.

Wywabimy ją na dwór i dopadniemy.

Głosy powoli się oddalały i cichły. Jack z wielkim trudem pohamował wściekłość. Trudno mu było uwierzyć, że ludzie uważający się za dżentelmenów spiskują po to, żeby uwieść pannę z dobrej rodziny, wiedział jednak, że takie historie się zdarzają. Do niego należało się upewnić, że nic podobnego nie spotka Lucy Horne. Niedoczekanie tych chłystków! Postanowił zawnoczu porozmawiać o podsłuchanej rozmowie z Drew Marlbeckiem. Lepiej, żeby obaj zdawali sobie sprawę z tego, co się święci, i odpowiednio się przygotowali.

Nie zamierzał wspomnieć o tym Lucy, żeby niepotrzebnie jej nie niepokoić. Nie chciał podkopać jej pewności siebie. Mógł tylko liczyć na jej rozsądek i mieć nadzieję, że nie pozwoli wywabić się na dwór z jakiegoś wieczorku przed piątkiem.

Na szczęście Lucy nie zdawała sobie sprawy z zamiarów perfidnych młodych ludzi. Tydzień wypełniły obowiązki towarzyskie; przenosiła się z przyjęcia na wieczorek, z wieczorku na bal, ciesząc się, że za każdym razem znajduje się w centrum uwagi. Oświadczyło jej się pięciu kolejnych dżentelmenów, których ledwie znała. Wszyscy jednak wydali jej się lekko pijani, więc tylko ze śmiechem kręciła głową.

Lucy nie mogła wiedzieć, że dwaj spośród nich mówili poważnie i chcieli po prostu ubiec Toby'ego Lawrence'a. Zirytowani odrzuceniem przez nią oświadczyń, dołączyli do chóru plotkarzy łączących nazwisko panny Horne z lordem

Harcourtem, z którym trzykrotnie widziano ją na przejażdżce w parku. Dodatkowo podsycił te spekulacje fakt, że panna Horne powoziła kariolką, do której w innych okolicznościach Harcourt nie wsiadłby za żadne skarby.

Toby Lawrence zdążył tymczasem pożałować, że wyjawił przyjaciółom radę wuja. Był w Lucy zakochany po uszy, a zdawał sobie sprawę z tego, że po wcieleniu takiego planu w życie panna Horne znienawidzi go ostatecznie i nieodwołalnie. Nawet gdyby udało mu się ją skompromitować i zmusić do małżeństwa, pogardzałaby nim do końca życia.

Gdyby mógł cofnąć to, co się stało, skwapliwie skorzystałby z tej możliwości, ale domysły na temat lorda Harcourta ubodły jego dumę. W dodatku przyjaciele zapalili się do pomysłu, który traktowali jako przedni kawał. Postanowili udać się na bal przebrani jednakowo za szesnastowiecznych piratów, różniących się jedynie kolorami masek.

- Ona z tobą za nic nie wyjdzie na dwór - uznał Philip Markham. - Ze mną natomiast chętnie tańczy, więc może mi zaufa.

- Ona z nikim nie wychodzi - rzekł ponuro Toby Lawrence. - Raz ją spłoszyłem i najwyraźniej Harcourt jej wytłumaczył, co może się stać.

- Wobec tego musimy obmyślić jakąś sztuczkę, żeby ją wywabić. Gdybym zatańczył z nią pierwszy, moglibyśmy się potem zamienić na maski i

ty wyprowadziłbyś ją na dwór. W ogrodzie odsłoniłbyś twarz, powiedział jej, że cię urzekła i chcesz ją poślubić. Jeśli odmówi, wyjdziemy z ukrycia, za-
ciągniemy ją w głąb parku i damy jej szkołę.

- A gdybym tak uratował ją z waszych rąk i w ten sposób zaskarbił sobie jej wdzięczność? - spytał Lawrence. - Inaczej panna Horne znienawidzi mnie na dobre.

- Jeśli tchórzysz, ja to zrobię - powiedział szybko Markham. - Wtedy jestem pierwszy w kolejce. Nie odmówi mi, gdy ją wezmę.

- Idź do diabła! - burknął Lawrence, wściekły na przyjaciela, że wyraża się o panie Horne z takim lekceważeniem.

- Ciebie ona nic nie obchodzi, a ja ją kocham.

Przyjaciele gromko się roześmiali. Lawrence spiekł raka i szybko się odwrócił. Łatwo byłoby przerwać tę nedorzeczność, pomyślał. Wystarczyłoby powiadomić markiza Marlbecka, ten porozmawiałby z ojcem Markhama i na tym zakończyłaby się cała sprawa. Wiedział jednak, że jeśli nie spróbuje czegoś zrobić, panna Horne ponad wszelką wątpliwość poślubi Harcourta. Popadł w rozterkę. Z jednej strony, chciał wziąć to, czego pożądał, z drugiej - obawiał się, że straci wtedy to, czego pragnie naprawdę.

- Czy mogę spytać, jak zamierza pani przebrać się dziś wieczorem, czy to sekret? - spytał Jack, gdy przybył, żeby wziąć Lucy na przejażdżkę w piątkowy poranek.

- Będę Marią Antoniną. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan wiedział, jak będę ubrana, lordzie Harcourt.

- Czy mogłaby pani zrezygnować z „lorda”? Chyba wolno mi rościć sobie prawo do bycia kimś więcej niż tylko okazjonalnym znajomym.

- Może rzeczywiście... - przyznała Lucy i przesłała mu nieśmiałe spojrzenie. - Prawdę mówiąc, myślę o panu jak o przyjacielu już od dawna.

- Tak? To wspaniale.

Jack kątem oka dostrzegł lekki rumieniec na twarzy Lucy i zaczął się zastanawiać, czy propozycją nauki powożenia przypadkiem nie obudził w niej nadziei na oświadczyzny. Z pomysłem wystąpił spontanicznie i, o dziwo, nawet tego nie żałował, bo okazało się, że panna ma wrodzony talent do koni. W parku mógł powierzyć jej wodze bez obaw, sam zaś w spokoju oddawał się rozmyślaniom i obserwacjom.

Jak na tak kruchą istotę radziła sobie z końmi z zadziwiającą łatwością. Naturalnie ta para była przyzwyczajona do damskiej ręki, ale mimo to szybkość postępów w nauce wydała mu się zaskakująca. Odczuwał dumę, gdy ludzie, widząc ich, się odwracali, Lucy na koźle przyciągała bowiem wzrok bez wątpienia.

Naturalnie zdawał sobie sprawę, że opowieści o ich przejażdżkach krążą po klubach i salonach w całym Londynie, i to go trochę niepokoiło. Nie wiedział, czy przypadkiem sam nie sprowokował tych chłystków. Zdażył już porozmawiać z Drew i wspólnie przygotowali plan. Postanowili złapać sprawców na gorącym uczynku i dać im solidną nauczkę.

- Nie możemy pozwolić, żeby działy się takie rzeczy! - Drew był oburzony. - Gdyby ich plan się powiódł, na wszystkie panny padłby bład strach.

- O tym nawet nie ma mowy - zapewnił go Jack. - Znam ich i będę miał na nich oko, ale co dwie głowy, to nie jedna, więc liczę na ciebie.

- Jestem ci wdzięczny za okazane zaufanie, ale dowiedzieliśmy się o wszystkim całkiem przypadkiem. Gdyby nie to... - Pokręcił głowę. - Niechybnie odwiedzę potem ich ojców.

- Rób, co uważasz za stosowne. Ja mam swoje pomysły, najważniejsze jednak, żeby Lucy była bezpieczna.

Rozstali się w nastroju pełnego zrozumienia po przeanalizowaniu najrozmaitszych możliwości rozwoju sytuacji. Młodzi spiskowcy nie

spodziewali się, że zostali podsłuchani, więc nie należało się po nich spodziewać szczególnej czujności.

- Drew powiedział mi kiedyś, że mogę korzystać z koni w stajniach Marlbeck Manor, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota - przerwała panujące milczenie Lucy. - Gdyby pan nie zaczął mnie uczyć powożenia, mogłabym nigdy nie wpaść na taki pomysł. Dlatego jestem panu bardzo wdzięczna, bo to bardzo przyjemne zajęcie.

Jack zerknął na nią ukradkiem. Zdziwił się, że jeszcze niedawno w tej pięknej młodej kobiecie widział dziecko. Teraz nie ulegało dlań wątpliwości, że Lucy jest dorosła. Młoda i niewinna, lecz zdecydowanie dorosła.

- Cieszę się, że mogłem w czymś pani pomóc. Mam nadzieję, że zarezerwuje pani dla mnie dziś wieczorem przynajmniej trzy tańce.

- Oczywiście, jeśli tego pan sobie życzy - odpowiedziała, wyczuwając, że stało się coś ważnego. Odniosła wrażenie, że lord Harcourt jeszcze nigdy nie patrzył na nią w ten sposób.

- To będzie wspaniały bal, prawda?

- Też tak myślę - przyznał z uśmiechem Jack, chociaż nie odczuwał radości. W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że jest dla Lucy za stary. Być może przyjęłaby jego oświadczyzny, ale czy miał prawo wystąpić z taką propozycją?

Gdy zakończyli przejażdżkę pod domem Marlbecka, Jack przekazał wodze służącemu, a sam podał rękę Lucy. Zrobił to akurat w porę, bo zsiadając, potknęła się o rąbek sukni i padła mu prosto w ramiona. Aż krzyknęła zaskoczona tym niespodziewanym obrotem sprawy. Jack trzymał ją mocno; gdyby nie byli w publicznym miejscu, z pewnością zacząłby ją całować.

- Bardzo przepraszam za tę niezręczność - powiedziała. - Sama nie wiem, jak to się stało, że się potknęłam.

- O to nietrudno. - Jack z trudem oparł się pokusie i nie pocałował Lucy. -
Przepraszam panią. Muszę jechać, bo jestem umówiony. Do zobaczenia
wieczorem.

- Naturalnie, Harcourt. Dziękuję za wszystko. - Uśmiechnęła się tak
czarująco, że Jack pocałował ją w rękę.

- A więc do widzenia.

- Tak... - Lucy odprowadziła go wzrokiem do kariatki. - Do widzenia -
powtórzyła szeptem.

Serce wciąż jej biło dużo szybciej niż zwykle, a na wierzchu dłoni czuła
miłe mrowienie. Żałowała, że lord Harcourt nie pocałował jej w usta.

- Lucy, najdroższa, chcę zamienić z tobą słowo - powiedziała pani Horne,
gdy córka zeszła na dół, przebrawszy się po przejazdźce. - Chodźmy do salonu.
Będziemy same, bo Marianne dokądś pojechała.

- Czy coś się stało, mamó? - spytała Lucy, widząc jej poważną minę. -
Mam nadzieję, że nie jesteś chora.

- Nic mi nie jest, ale napisała do mnie ciotka Bertha. Podobno nie czuje
się najlepiej. Chyba powinnam wrócić do domu. Należy jej się zainteresowanie
z mojej strony po tym wszystkim, co dla nas zrobiła. Jeśli o ciebie chodzi, nie
musisz ze mną jechać, a Marianne i Drew zapewnią ci wystarczającą opiekę,
kochanie. Wiem, że zostawiam cię w dobrych rękach.

- Dziękuję, mamó. - Lucy była jej naprawdę wdzięczna, bo nie chciałaby
w tej chwili opuścić Londynu. Wydawało się jej, że Harcourt wreszcie zaczął ją
zauważać. - Bardzo mi przykro z powodu ciotki.

- Mnie też - przyznała pani Horne. - Ciotka wyjątkowo dba o rodzinę.
Dlatego pojedę do niej niezwłocznie. Wierzę, że będziesz zachowywać się jak
należy i nie sprawisz kłopotów siostrze. Muszę coś ci powiedzieć.

- Słucham, mamó.

- Dotyczy to lorda Harcourta. Nie wątpię, że jest dżentelmenem i że w
jego towarzystwie nic ci nie grozi, bo inaczej nie pozwoliłabym ci na

przejażdżki. Słyszałam jednak na jego temat bardzo przykrą plotkę. Nie wspomniałabym o tym, ale w tej sytuacji uważam, że powinnaś o czymś wiedzieć...

- Dlaczego robisz zmartwioną minę, mamó?

- Słyszałam, że ma nieślubne dziecko - odparła pani Horne.

Lucy wydała stłumiony okrzyk.

- Nie wiem, czy to prawda - ciągnęła pani Horne. - Zresztą zasadniczo nie widzę w tym niczego niezwykłego, inni dżentelmeni mają podobne sekrety. Słyszałam jednak, że on nadal przyjaźni się z kobietą uważaną za matkę jego dziecka. Nie jest to osoba z naszej sfery.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mamó? - spytała wstrząśnięta Lucy.

- On ma kochankę. Możliwe, że zrezygnuje z niej po ślubie. Jednak należy liczyć się z tym, że nadal będzie chciał ją odwiedzać.

- Rozumiem. Jeśli będzie kochał żonę, to na pewno zerwie tamtą znajomość.

- Tego nie wiem. - Pani Horne wydawała się zatroskana. - Nie twierdzę, że odrzucam go z góry jako kandydata na twojego męża, ale będę nalegała na długi okres narzeczeństwa.

- On mi się nie oświadczył, mamó - powiedziała, rumieniąc się, Lucy.

- Domyśliłam się, bo jeśli miałby taki zamiar, prawdopodobnie przyszedłby najpierw porozmawiać ze mną albo z Drew. Jednak gdyby zdecydował się na to już po moim wyjeździe, pamiętaj, że nie udzielę zgody, póki go lepiej nie poznam.

- Dobrze, mamó. Może jednak te plotki są nieprawdziwe. Poza tym, jeśli on ma dziecko, to wcale nie oznacza, że nadal jest związany z jego matką.

- To prawda - przyznała pani Horne, która nie chciała przysparzać córce niepotrzebnych strapiień. Podjęła ten temat wyłącznie dlatego, że zauważyła jej wyraźne zainteresowanie lordem Harcourtem. - Nie zabraniam ci się z nim

widywać, nie jestem też uprzedzona do waszego małżeństwa, kochanie. Chcę tylko, abyś w pełni zdawała sobie sprawę z sytuacji.

- To wspaniale, że rozmawiasz ze mną w ten sposób, mamó. Dziękuję. - Lucy doceniała uczciwe postawienie sprawy. Niejedna matka po prostu zabroniłaby przejażdżek. Z drugiej strony, przed kilkoma laty lord Harcourt okazał wiele pomocy rodzinie, pani Horne miała więc dystans wobec plotek. - Moim zdaniem słusznie ufasz lordowi Harcourtowni, który zachowuje się wobec mnie jak prawdziwy dżentelmen. Nie powiedział mi niczego, co spotkałoby się z twoją dezaprobatą.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło - zapewniła pani Horne. - Martwię się jednak o ciebie, córeczko. Znam twoje czułe serce i nie chcę, abyś cierpiała niepotrzebnie.

- Jestem przekonana, że do tego nie dojdzie - stwierdziła stanowczo Lucy. - Nie będę udawać, że lord Harcourt mnie nie pociąga, rozumiem jednak, że twoja rada jest rozsądna. Zresztą ja też chciałabym poznać go lepiej, zanim zdecydowałabym się na ślub. To dotyczy wszystkich kandydatów.

- Wobec tego uważam temat za zakończony - podsumowała z ulgą pani Horne. - Zostawiam cię z lekkim sercem pod opieką siostry. Wyjeżdżam jeszcze dzisiaj, więc nie będzie mnie na wieczornym balu, ale jestem spokojna, że Marianne i Drew dobrze się tobą zaopiekują.

Lucy uściskała matkę.

Miała teraz o czym rozmyślać. Ewentualne dziecko lorda Harcourta nie przeszkadzało jej ani trochę, jednak gdyby w dalszym ciągu trwał romans z jego matką, spojrzalaby na sprawę zgoła inaczej. Wytłumaczyła sobie jednak, że lord Harcourt jeszcze się nie oświadczył. Dlatego na wieczornym balu maskowym mogła zachowywać się tak, jakby w ogóle nic nie zaszło.

- Wspaniale wyglądasz - ucieszyła się Marianne, widząc siostrę przebraną na wieczorny bal maskowy. Lucy miała na sobie jasnoniebieską jedwabną suknię z obszernymi spódnicami i turniurą. Z zakręconych i wysoko upiętych

włosów wymykał się pierścionek, kusząco opadający jej na lewe ramię. Czarna srebrzona maseczka zakrywała górną połowę twarzy. - Ten kostium dodaje ci lat, wyglądasz w nim jak najprawdziwsza dama. Może dobrze się stało, że mama go nie widziała, bo mogłaby uznać, że jest niestosowny.

Lucy spojrzała w lustro i przeżyła niemałe zaskoczenie. Marianne miała rację, głęboko wycięty dekolt sukni odsłaniał bowiem znacznie więcej ciała niż zwykle. Jednak najbardziej do jej zmienionego wyglądu przyczyniła się nowa fryzura. Mogła w niej uchodzić za kurtyzanę z dworu króla Francji, a nie niewinną pannę Lucy Horne.

- Uważasz, że powinnam trochę przykryć dekolt? - spytała siostry. - Nie chcę wydać się rozwiązła.

- Moim zdaniem, jest dobrze - odparła Marianne. - Nie jesteś już dzieckiem. Jeśli będziesz zachowywać się tak jak zawsze, czyli skromnie, to nawet najsurowsza przyzwoitka nie będzie mogła niczego tej sukni zarzucić. Wiele dam przyjdzie w dużo śmielszych kostiumach.

- Pewnie masz rację. - Lucy wzięła do ręki wachlarz. - To będzie niezwykle bal. Ciekawa jestem, czy uda mi się wszystkich rozpoznać.

- Ja zwykle poznaję ludzi podczas rozmowy. Zabawniej jest jednak zgadywać, zanim się z kimś zamieni zdanie. - Marianne się uśmiechnęła. Obie z Jo uważały, że Lucy, kiedy dorośnie, bezdyskusyjnie prześcignie je urodą, i tego wieczoru ich przewidywania wreszcie się spełniły. - W każdym razie na dzisiejszym balu nie unikniesz opędzania się od dżentelmenów. Nie martw się, będziemy z Drew na posterunku, żeby wszystko odbyło się jak trzeba.

Marianne nie okazywałaby tyle zadowolenia, gdyby wiedziała to co Jack Harcourt i jej mąż, ci jednak jej nie wtajemniczyli. Drew liczył wcześniej na obecność pani Horne, ponieważ jednak niespodziewanie wyjechała, musieli wykazać z Jackiem zdwojoną czujność.

Jack przybył jako jeden z pierwszych gości. Los sprawił, że zamówił kostium siedemnastowiecznego dżentelmena, i w granatowym aksamitnym

fraku oraz obszernych spodniach do kolan z jaśniejszego jedwabiu okazał się znakomitą parą dla Lucy. Jej widok zaparł mu dech w piersiach i natychmiast przypomnieli mu się ci młodzi dranie. Chętnie rozplaszczyłby na ziemi każdego, kto ważyłby się tknąć pannę Horne.

Lucy natychmiast została otoczona wianuszkiem adoratorów, pragnących choć raz z nią zatańczyć. Jack pamiętał, że zarezerwował sobie trzy tańce, więc uzbroił się w cierpliwość.

Gdy wreszcie stanął obok Lucy, spojrzała na niego niepewnie.

- Czy to pan, lordzie Harcourt?

- Ta, Wasza Wysokość - odrzekł i elegancko się skłonił, podając jej rękę.

- Gdzie podziwiała się król?

Lucy się roześmiała.

- Myślę, że może nim być właśnie pan - odrzekła. - Pamiętałam o zamówionych trzech tańcach.

- Zatańczymy więc?

Gdy ją obejmował, Lucy pomyślała, że właśnie poznała, co to pożądanie. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. Wirowała w rytm walca, myśląc o tym, jak pociągająco wygląda Harcourt, kiedy wydaje się całkiem swobodny. Niestety, taniec wkrótce się skończył i na parkiet zaprowadził ją kolejny partner.

Wszyscy bez wyjątku dżentelmeni udawali, że nie wiedzą, kim jest Lucy, i przekomarzali się z nią, zgadując całkiem bez sensu, choć podejrzewała, że natychmiast ją poznali, zresztą tak samo jak ona ich. W każdym razie bawiła się znakomicie i bez chwili odpoczynku, bo jeden adorator porywał ją drugiemu.

W połowie wieczoru znów zatańczyła z lordem Harcourtem, ale tym razem w trakcie tańca zmieniali się partnerzy, więc nie mogła się nim nacieszyć. Zarezerwowała jednak dla niego walca przed kolacją, który znów stał się urzekającym doświadczeniem. Zanim się skończył, Lucy uzyskała absolutną

pewność, że jej serce jest nieodwołalnie zajęte i że jeśli Harcourt nie poprosi jej o rękę, to nigdy nie wyjdzie za mąż.

Mimo że taki sposób myślenia wcale nie wydawał jej się rozsądny, nie potrafiła zapanować nad emocjami.

- Czy mogę zaprosić panią na kolację? - spytał Jack, gdy taniec dobiegł końca.

- Naturalnie, potrzebuję jednak kilku minut, aby się odświeżyć - wyjawiała nagle onieśmielona. - Proszę zająć stolik, a ja wkrótce do pana dołączę. Nie jestem zresztą bardzo głodna, może ograniczę się do deseru.

- Życzenie Waszej Wysokości jest dla mnie rozkazem - zapewnił Jack. - Będę więc na panią czekał.

Gdy opuściła salę, podszedł do Drew, pełniącego straż przy drzwiach tarasowych.

- Lucy poszła się odświeżyć. Zauważyłeś coś podejrzanego?

- Na razie nic. Ci trzej stoją tam. - Drew wskazał młodych ludzi dyskretnym ruchem głowy. - Wyglądają jednak tak, jakby coś knuli. Idź do ogrodu, Jack. Ja poczekam, aż Lucy wróci, i zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby na nic im nie pozwolić, bo jeśli chcą urzeczywistnić swój plan, z pewnością zrobią to wkrótce.

- Dobrze, będę na tarasie - odrzekł Jack.

Przeszedł do sali jadalnej, z której dżentelmeni i damy chętnie wychodzili na taras, aby przed posiłkiem zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Jack stanął w zaciemnionym miejscu, z dala od ludzi. Miał nadzieję, że trójka spiskowców nie zrezygnowała ze swojego zamiaru, trzeba ich bowiem było złapać na gorącym uczynku.

Lucy wróciła na salę kilka minut później. W garderobie spędziła nieco więcej czasu, niż zamierzała, spotkała tam bowiem siostrę.

Marianne zaproponowała wspólną kolację, a Lucy przystała na ten pomysł. Teraz jednak nie mogła nigdzie znaleźć lorda Harcourta i to ją trochę zdziwiło. Kiedy stanęła przy bufecie, podeszła do niej panna Amy Robinson.

- Panno Horne - powiedziała. - Dostałam wiadomość, którą mam pani przekazać. Ktoś czeka na panią z kolacją na tarasie.

- Kto prosił o przekazanie tej wiadomości? - spytała nieufnie Lucy.

- Nie pytałam, kim jest ten człowiek, ale był ubrany w kostium z tej samej epoki, co pani.

- Rozumiem, dziękuję. W takim razie chodzi na pewno o lorda Harcourta. Zaraz do niego pójde.

Najwidoczniej w sali jadalnej było zbyt tłoczno i Harcourt uznał, że lepiej przenieść się na dwór. Pomysł kolacji na świeżym powietrzu bardzo spodobał się Lucy, dziarsko ruszyła więc na taras.

Tam jednak spotkało ją rozczarowanie. Oba kute stoliki były zajęte, natomiast lorda Harcourta nigdzie nie dostrzegła. Po chwili wahania zeszła po schodkach do ogrodu, stopniowo oddalając się od światła, rozlewającego się z wnętrza domu.

Dwaj młodzi ludzie próbowali podążyć jej śladem, ale w drzwiach na taras zastawił im drogę Drew. Zsunął z twarzy maskę i groźnie spojrzał na piratów.

- Panowie, chciałbym zamienić z wami kilka zdań, jeśli można - powiedział.

- Jesteśmy zajęci - odparł Philip Markham, a usta wykrzywił mu pogardliwy uśmiezek. - Może innym razem.

- Nie wydaje mi się, żeby moja sprawa mogła czekać - odrzekł Drew. - Chyba że panowie wolą, abym omówił ją z ich ojcami.

- On wie - powiedział Peter Robinson i ściągnął maskę. Groźba Drew zrobiła na nim duże wrażenie, ponieważ ojciec już wcześniej zapowiedział, że w

razie nieodpowiedniego zachowania odbierze mu pensję. - Daj spokój, Markham. To naprawdę był kiepski pomysł.

- Zamknij się, głupcze - burknął Markham. - Masz za długi jeźor. - Zdjął maskę. - Ten pomysł wyszedł od Lawrence'a, ja umywam ręce.

- Bardzo rozsądnie - przyznał Drew niezmiennie uprzejmym tonem, od którego jednak młodym ludziom ciarki przeszły po plecach. - W innym przypadku niezadowolenie ojców zdecydowanie byłoby dla panów drobnym problemem. Wierście mi, panowie, że nie chcielibyście mnie widzieć w złości.

- To miał być zwykły kawał - wyjaśnił Peter Robinson. Skulił się, widząc minę Drew. - Niech pan posłucha, Marlbeck. Przepraszam. Przede wszystkim wcale nie chciałem się w to angażować.

- Tchórz - parsknął pogardliwie Markham. - Nie boję się pana, Marlbeck, ale pomysł rzeczywiście wyszedł od Lawrence'a, a nam wydał się zabawny. Nie wydaje mi się jednak, żebyśmy mieli wprowadzić go w życie.

- Może pan mieć pewność, że nie będzie ku temu okazji - odparł Drew. - A gdyby w przyszłości coś się stało pannie

Horne, bez trudu odszukam sprawców. - Skłonił głowę, wydało mu się bowiem, że na dworze usłyszał stłumiony krzyk. - Przepraszam panów, ale mam ważną sprawę...

Drew wyszedł na taras. Zdążył jeszcze zobaczyć dwóch mężczyzn, toczących walkę obok fontanny, znajdującej się poza kręgiem światła. Pojął, że Toby Lawrence istotnie podjął jakąś próbę, mimo że koledzy go opuścili. Siłował się z nim Jack i właśnie w tej chwili trafił młodego człowieka pięścią w szczękę, posyłając go na ziemię. Lucy podbiegła do walczących.

- Drew! - krzyknęła. - Wyszłam poszukać lorda Harcourta i wtedy ktoś próbował wciągnąć mnie w zarośla. Na szczęście lord Harcourt powstrzymał tego człowieka.

- Czy nic ci się nie stało?

- Nie, tylko się przestraszyłam, ale już wszystko w porządku. To stało się tak nagle! On mnie chwycił i wtedy rzucił się na niego lord Harcourt.

- Pilnowaliśmy cię. Trzech młodych durniów chciało cię porwać i zmusić, abyś poślubiła jednego z nich. Jack się o tym dowiedział i zastawiliśmy pułapkę. Musieliśmy im pozwolić spróbować, bo inaczej nigdy nie byłabyś bezpieczna. Teraz już po wszystkim. Ja zrobiłem porządek z dwoma, a z młodym Lawrence'em Jack poradzi sobie bez trudu.

- Wiedziałaś, że coś takiego się stanie? - nie dowierzała Lucy. Zdążyła ochłonąć z zaskoczenia, a jej złość rosła z każdą chwilą. - Nie uważałaś za stosowne wspomnieć mi o tym ani słowem? - Popatrzyła na Drew oburzona i zawróciwszy do sali jadalnej, odnalazła Marianne.

- Co się stało, najdroższa? - spytała ją siostra, bardzo zaniepokojona wyrazem twarzy Lucy, zwłaszcza że i suknia była naddarta. - Czy ktoś próbował cię skrzywdzić?

- Raczej zrobić mi głupi dowcip - odparła Lucy. - W każdym razie Drew i lord Harcourt o wszystkim wiedzieli. Już się zajmują sprawcą.

- Och, moja kochana! - Marianne wyczuła, że siostra przejęła się tą sytuacją bardziej, niż była gotowa pokazać. - Może chcesz wrócić do domu?

- Tak zrobię - zdecydowała Lucy. Była wściekła na Drew i lorda Harcourta, więc wolała tymczasem uważać, by nie spotkać się z nimi w miejscu publicznym. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, skądże - odparła Marianne. - Idź odebrać swoje okrycie, a ja zadbam o swoje i powiem Drew, że jedziemy do domu.

Lucy skinęła głową i odeszła. Nie patrząc na nikogo, weszła po schodach. Była bardzo zła, że pozwoliła się nabrać. Uwierzyła pannie Robinson, bo sądziła, że chodzi o lorda Harcourta. A on z Drew postanowili zrobić z niej przynętę!

Rozsądek podpowiadał jej, że Harcourt i Drew działali w jej dobrze pojętym interesie. Gdyby intryga się powiodła, mogłoby się zdarzyć, że dla

ratowania reputacji musiałyby wybrać któregoś z tych młodych ludzi na męża. Mimo to czuła się upokorzona.

Znalazłszy się z powrotem na dole, Lucy nadal gotowała się ze złości, zdołała jednak nad sobą zapanować, gdy Drew spytał ją, czy źle się czuje.

- Doskonale, dziękuję za zainteresowanie - odparła. - Wolę jednak wrócić do domu. Proszę podziękować lordowi Harcourtowi za to, co zrobił, chociaż gdyby mnie uprzedził, jego interwencja nie byłaby konieczna.

- Tak, ale oni mogliby nie zrezygnować ze swoich planów, tylko wprowadzić jej w czyn wtedy, gdy nie będzie nas w pobliżu - odparł Drew, wyczuwając, że godność Lucy została poważnie urażona. - Nie było nam łatwo, możesz mi wierzyć.

Lucy lubiła męża siostry i darzyła go zaufaniem, nagle zaczęła też pojmować, że być może wybawił ją wraz z Harcourtem ze sporego kłopotu.

- Rozumiem, ale i tak należało mnie uprzedzić, Drew. Nie jestem dzieckiem, jak niektórym się wydaje.

Odeszła z dumną miną. Drew spojrział na żonę.

- Obawiam się, kochanie, że bardzo naraziliśmy się Lucy. Ona nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, jakich konsekwencji uniknęliśmy. Ten głupiec Lawrence wyzwał Jacka na pojedynek.

- Och, Drew! - Zaniepokojona Marianne spojrzała na męża. - To przerażające. Cieszę się, że przynajmniej mamy tutaj nie ma, bo na pewno bardzo by się przejęła.

- Według mojej oceny uda się całą sprawę zamieść pod dywan - powiedział Drew. - Jack strzeli w powietrze, a o przyczynach różnicy zdań będziemy starali się milczeć.

- Mam nadzieję, że tak się stanie, choćby ze względu na Lucy. Naprawdę nie chciałabym, aby jej dobre imię zostało narażone na szwank. - Marianne zrobiła krok ku wyjściu.

- Ona na mnie czeka. Porozmawiamy później, kochanie, kiedy będziesz w domu.

- Muszę zostać tutaj z Jackiem. Mianował mnie na swojego sekundanta.

- Czy naprawdę pojedynek jest nieunikniony?

- Obawiam się, że tak. Jack przewrócił go na ziemię, ale to Lawrence rzucił wyzwanie. Chyba nie chciałabyś, żeby Jack odmówił jego przyjęcia?

Marianne westchnęła.

- Powiesz mi, jak sprawa się zakończyła?

- Naturalnie. - Drew uśmiechnął się do żony. - Nie martw się. Za kilka dni nikt o niczym nie będzie pamiętał.

- Modłę się, żebyś miał rację, bo inaczej mama nigdy nam nie wybaczy!

W drodze do Marlbeck House Lucy nieco się uspokoiła. W odpowiedzi na pytanie Marianne, czy czegoś jej nie potrzeba, zapewniła, że czuje się doskonale i nie chce ziółek na sen. Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzała zasnąć, musiała bowiem zastanowić się nad tym, co zaszło.

Gdy służąca pomogła jej zdjąć kostium i odeszła, Lucy usiadła w milczeniu przy toalecie. Wiedziała, że jej suknia była tego wieczoru śmielsza niż zwykle. Skoro jednak Drew i Harcourt powzięli plan z góry, znaczyło to, że jej strój nie miał żadnego znaczenia. Nie przypominała sobie też, by choćby w najmniejszym stopniu dopuściła się nieskromnego zachowania. Dlaczego więc ci młodzi ludzie wybrali ją sobie na ofiarę?

Czy to naprawdę miał być głupi dowcip? Jakoś trudno jej było w to uwierzyć. Czym więc mogła ich sprowokować? Im bardziej jednak nad tym się zastanawiała, tym trudniej było jej wymyślić wiarygodne wyjaśnienie. W końcu dotarło do niej, że napastnicy musieli sobie to wszystko wykalkulować, i poczuła się bardzo niepewnie. Groziło jej znacznie większe niebezpieczeństwo, niż dotąd sądziła. To wcale nie był wybryk pijanego młodzieńca.

Zrobiło jej się zimno, kiedy pojęła, że zamiast bezpiecznie siedzieć w swojej sypialni, mogła teraz znajdować się Bóg raczy wiedzieć gdzie z

nieodwracalnie zszarganą reputacją. Nagle do oczu napłynęły jej łzy. Położyła się na łóżku i otuliła kocem, jakby to mogło w czymś pomóc. Postanowiła rano podziękować Drew, a przy najbliższej okazji również lordowi Harcourtowi, choć miała nadzieję, że nastąpi to dopiero za kilka dni, tak bardzo obecnie czuła się zażenowana.

Jack spojrzął na przeciwnika w szarawym świetle przedświtu. Obaj wraz z sekundantami spotkali się w umówionym miejscu o wyznaczonej godzinie. Toby Lawrence wydawał się wręcz przerażony, więc gdyby nie ciężar jego winy, Jack pozwoliłby mu się wywinać, poprzestając na surowej przestrodze. W obecnej sytuacji musiał jednak dać młodzieńcowi nauczkę, choć naturalnie nie zamierzał go zabić ani nawet zranić.

- Odejdziecie od siebie na dziesięć kroków i na komendę obaj się obróćcie. Kiedy powiem „Ognia!”, oddacie po jednym strzale w wybranej przez siebie chwili - oznajmił Drew.

Lawrence ubrał się w czarny płaszcz, przykrywający w całości koszulę, dzięki czemu był trudniejszym celem. Jack nie wątpił, że młody człowiek otrzymał odpowiedni instruktaż od Collingwooda, który w młodości był świadkiem niejednego pojedynku. Tymczasem Jack zdjął płaszcz i został w samej koszuli, ciemnej kamizelce i spodniach do konnej jazdy. Wysokie buty lśniły jak zawsze. Nic nie mąciło jego spokoju.

Zgodnie z komendą stanęli plecami do siebie i zaczęli się od siebie oddalać. Po odmierzeniu kroków odwrócili się i wtedy Lawrence, nie czekając na komendę, poderwał ramię i strzelił. Kula drasnęła lewe ramię Jacka, rozdzierając koszulę i plamiąc nieskazitelną rękaw krwistą czerwienią. Jack ani drgnął. Nie pokazał nawet po sobie, że poczuł trafienie, a po chwili zaczął powoli opuszczać broń i mierzyć do przeciwnika, trzymając palec na kurku. Lawrence wydał krzyk przerażenia. Odwaga nagle go opuściła, w oczach Jacka ujrzał bowiem wyrok śmierci.

- Nie zamierzałem jej skrzywdzić! - krzyknął. - Przysięgam, że to nie był mój pomysł. Ja ją kocham. Chciałem ją poślubić, ale jej się nie podobam.

- Nigdy więcej jej nie tkniesz - zapowiedział Jack i oddał strzał w powietrze. Lawrence bezsilnie opadł na kolana. Trząsł się jak osika, a po udzie płynęła mu struga moczu. Tymczasem Jack stanął nad nim z bezlitosną miną. - Niech to będzie lekcja. Nie należy słuchać złych doradców. Tym razem darowałem ci życie, ale jeśli usłyszę, że pannie Horne cokolwiek się stało, znajdę cię i zabiję.

Lawrence pokręcił głową, wstyd nie pozwalał mu jednak spojrzeć Jackowi w oczy.

- Przysięgam, że z mojej ręki nic jej nie grozi. Zakochałem się w pannie Horne. To był pomysł mojego wuja, a potem Markham dodał swoje. To on mnie namówił.

- Markhamem już się zajęliśmy. Twój wuj jeszcze nie zapłacił za swoje czyny, ale jego czas też dobiega końca, możesz mi wierzyć.

Toby Lawrence zadrżał. Wiedział, że Collingwood lekceważy lorda Harcourta, i nie miał wątpliwości, że to bardzo poważny błąd. Powinien chyba ostrzec wuja, ale nie czuł się na siłach odgrywać bohatera. Zamierzał jak najszybciej opuścić Londyn i ukryć się na wsi. Wiedział, że w najbliższych miesiącach nie odważy się wrócić.

- Obejrzę twoją ranę - powiedział Drew, podchodząc do Jacka. - Ten młody głupek strzelił za wcześnie. Powinien za to trafić pod sąd.

- Nic się nie stało. To tylko drobne draśnięcie. A on i tak jest ledwie żywy ze strachu. Myślę, że otrzymał wystarczającą nauczkę. Ja chcę dostać człowieka, który go do tego namówił, i możesz być pewien, Drew, że on nie wywinie się tak łatwo!

Rozdział piąty

- Czujesz się lepiej? - spytał Drew.

Lucy właśnie wróciła z miasta, gdzie spędziła czas, robiąc zakupy z dwiema przyjaciółkami, i wyglądała na całkiem zadowoloną. W każdym razie rumieńce wróciły jej na twarz.

- Zdecydowanie lepiej - przyznała z uśmiechem. Żadna z przyjaciółek nie wspomniała o incydencie z poprzedniego wieczoru i zapewne ani jedna z nich o nim nie słyszała. - Przepraszam za moją wczorajszą reakcję. Wiem, że postąpiliście tak dla mojego dobra, ale... - Zaczerpnęła tchu i pokręciła głową.

- Rozumiem cię - zapewnił Drew. - Nie masz za co przepraszać. Liczę na to, że nie zepsuło to twoich wrażeń z wizyty w Londynie i nie obudziło w tobie chęci powrotu do domu, choć naturalnie gdyby było inaczej, wystarczy, że powiesz jedno słowo.

- Nie zamierzam uciekać. Wczoraj byłam zbyt wzburzona, by zostać na balu, ale później spokojnie wszystko przemyślałam. W niczym nie zawiniłam, więc nie mam się czego wstydzić.

- Naturalnie. Kilku młodym ludziom pomieszało się w głowach i zdecydowanie przekroczyli granice tego, co dopuszczalne. Zostali ukarani, dostali nauczkę i nie sądzę, by którykolwiek jeszcze raz próbował sprawiać ci kłopoty.

- Dziękuję... - Lucy się zarumieniła. - Nie podziękowałam lordowi Harcourtowi, bo... byłam wczoraj wieczorem zbyt wzburzona, żeby o tym pomyśleć.

- Myślę, że on to rozumie, i wcale nie oczekuje szczególnych wyrazów wdzięczności.

- Czy przyjdzie dziś wieczorem na przyjęcie Marianne?

- Nie sądzę. O ile wiem, będzie zajęty - odparł Drew.

Rana nie była poważna, ale dość głęboka. Musiało minąć trochę czasu, żeby Jack odważył się pokazać w towarzystwie.

- Rozumiem... - Lucy ogarnęły mieszane uczucia. Bardzo chciała zobaczyć Jacka Harcourta i równie mocno pragnęła tego uniknąć. Wciąż obawiała się bury za łatwość, z jaką dała się wciągnąć w zasadzkę, a poza tym nadal czuła złość. Skoro Jack Harcourt ukrył przed nią coś takiego, to co jeszcze mógł trzymać w sekrecie? Może jednak wcale nie poznała go tak dobrze, jak jej się zdawało? - Mniejsza o to. Na pewno niedługo się spotkamy.

- W to nie wątpię. - Drew nie wątpił również w uczucia żywione przez przyjaciela do Lucy i zastanawiał się, co powstrzyma go przed ich ujawnieniem. Spodziewał się wszak, że Jack zwróci się do niego w tej sprawie.

- Krążą plotki - powiedziała Marianne do męża dwa dni później. - Rozeszła się wieść o pojedynku i ludzie snują domysły co do przyczyny. Mówi się o Lucy i Jacku Harcourcie. Słyszałam, że w klubach dżentelmeni zakładają się, czy Harcourt poprosi o jej rękę. Czy naprawdę tak jest?

- Na to wygląda. - Drew zmarszczył czoło. - Zrobiliśmy co w naszej mocy, by sprawę wyciszyć, ale takie nowiny zawsze się rozchodzą. Plotki krążyły już przed pojedynkiem, teraz u White'a istotnie są przyjmowane zakłady. Moim zdaniem, małżeństwo jest powszechnie oczekiwane, a ludzie zastanawiają się nad terminem ślubu.

- To okropne. - Marianne wydawała się bardzo zaniepokojona. - Dlaczego dżentelmeni postępują w ten sposób? Jeśli on jej się nie oświadczy, ludzie zaczną snuć najbardziej haniebne domysły. Ucierpi na tym reputacja Lucy, i to zupełnie niesłusznie.

- Zgadza się, ale tymczasem niewiele możemy z tym zrobić, kochanie. Lucy jest naturalnie niewinna, ale języki zostały puszczone w ruch. Moim zdaniem, Harcourt ma do niej słabość, ale może powinienem go jakoś zachęcić?

- Jeśli potrzebuje zachętę, to znaczy, że nie jest aż tak zaangażowany, jak ci się zdaje - odparła Marianne. - Nie powinno się wywierać na Lucy nacisków

w sprawie, która może obrócić się przeciwko niej. Te opowieści... Jeśli on naprawdę ma kochankę i dziecko... Nie chcę, żeby moja siostra była nieszczęśliwa.

- Jestem pewien, że w razie ślubu Jack przestanie utrzymywać kochankę. Jeśli kocha Lucy, a tak mi się zdaje, to przecież nie będzie jej ranił.

- Chciałabym mieć tę pewność. Rozumiem, że się przyjaźnicie i że Harcourt pomógł w przeszłości i Jo, i nam, ale Lucy jest moją siostrą. Wprawdzie dorosła i wydaje się całkowicie zdolna do samodzielnego pilnowania swoich spraw, ale...

- Zgoda. Jeśli plotki nie ustaną, porozmawiam z Jackiem. Wiem, że on ma w tej chwili co innego na głowie, ale kiedy to się skończy, na pewno zachowa się wobec Lucy jak należy.

- Ona nie chciałaby, żeby się oświadczył, aby zamknąć usta plotkarzom - zaprotestowała Marianne. - Jest w nim bardzo zakochana,

- Uważam, że on w niej również, ale tymczasem musi uporać się z ważnym problemem. - Pokręcił głową, widząc pytające spojrzenie Marianne. - To jego sprawa. Podejrzewam zresztą, że wkrótce o niej usłyszysz.

Jack wszedł do klubu i odszukał wzrokiem swojego przeciwnika, a potem pozostałych ludzi, których spodziewał się zastać, mających być świadkami jego rozprawy z sir Frederickiem Collingwoodem.

Collingwood też go zauważył. Przesłał mu dość nieufne spojrzenie, niewątpliwie bowiem doszły go słuchy o pojedynku, chociaż Lawrence zaraz potem czmychnął z Londynu, nikomu niczego nie mówiąc. Widząc, że Jack zbliża się do jego stolika, wstał.

- Wyzwanie wciąż aktualne, Harcourt?

- Naturalnie - potwierdził obojętnie Jack, choć spostrzegawczy człowiek zauważyłby błysk w jego oczach. - To było tylko drobne nieporozumienie. Nie obwiniam pana o brak wychowania u tego szczeniaka, bo cóż pan jest winny?

Collingwood poczuł się niepewnie. Nie miał pojęcia, czy Harcourt wie, że to on udzielał kuzynowi rad co do postępowania z panną Horne, ale intuicja podpowiadała mu, że jego sytuacja nie jest najlepsza. Nie dał jednak tego po sobie poznać, lecz zaprosił Harcourta do stolika. Jak zwykle potrzebował pieniędzy, poniósł bowiem dotkliwe straty w weekend na wyścigach, miał więc nadzieję, że ten wieczór pomoże mu podreperować finanse. Musiał przetrwać trudne czasy i wreszcie znaleźć jakąś synogarliczkę z pękata sakiewką.

- Takie same stawki jak poprzednio czy chciałby pan podwyższyć?

- Może podwoimy... albo nawet potroimy? - Jack wzruszył ramionami. - Nie ma to większego znaczenia, gra jest przecież losowa, prawda?

- Myślę, że umiejętności też są ważne - odrzekł Collingwood, ale Jack tylko zmierzył go beznamiętnym spojrzeniem, jakby nie rozumiał, że chciano go obrazić.

Usiedli i przełożyli, żeby sprawdzić, kto rozdaje. Wypadło na Collingwooda. Jack naturalnie wiedział, że wysokie karty są znaczony, bo między innymi w ten sposób Collingwood oszukiwał swoje ofiary. Kątem oka zerknął na sir Richarda Greavesa, który stał z dwoma dżentelmenami nieco z boku. Zachęteni tym spojrzeniem wszyscy trzej podeszli do stolika.

- Czy możemy się przyłączyć? - spytał uprzejmie Richard Greaves.

- To jest nasza prywatna gra - odparł z nutą irytacji w głosie Collingwood.

- Dlaczego nie mieliby zagrać z nami? - spytał Jack. - Zajmujcie miejsca, panowie. - Z zadowoleniem odnotował widoczne niezadowolenie Collingwooda. - Mielśmy grać w pikietę, ale sądzę, że w pięć osób lepiej będzie zagrać w wista. Co pan na to, Collingwood?

- Mnie jest wszystko jedno - mruknął niechętnie. Nie ulegało wątpliwości, że kipi ze złości, ale zdawało się, że nikt tego nie zauważa. - Jeśli taka pańska wola, Harcourt, nasza prywatna rozgrywka może poczekać do następnego razu.

- Nagle uświadomił sobie, że to da mu jeszcze jedną okazję do oskubania ofiary, i nastrój nieco mu się poprawił.

- Proponuję wziąć inną talię - odezwał się Greaves. - Przecież zaczynamy nową grę. Poprosić o jedną?

- Jak pan sobie życzy. - Collingwood wzruszył ramionami. Podał stare karty Greavesowi i wziął nowe, przyniesione przez kelnera z zasobów klubu. - Przekładamy jeszcze raz?

- Może pan rozdawać jako pierwszy - zgodził się Jack. - Prawda, panowie?

Dżentelmeni potwierdzili. Każdy w nich w swoim czasie poniósł duże straty na rzecz Collingwooda, a żaden nie miał dość odwagi, by oskarżyć go o oszukiwanie.

Pierwsze rozdania przebiegły bez sensacji. Harris wygrał pierwsze, Collingwood drugie, a Saunders trzecie. Collingwood ponownie zgarnął pulę w czwartym. W tym momencie Jack ziewnął i zaproponował podwojenie stawek. Saunders, Greaves i Harris natychmiast wycofali się z gry, wyrażając żal, że nie dysponują dostatecznymi funduszami.

- Ja zostaję - oświadczył Collingwood, zadowolony, że wróciła doń szansa pozbawienia ofiary większej sumy. - Sto gwinei za lewę?

- Będzie ciekawie - przyznał Jack i przesunął na środek stołu kupkę złotych monet.

Collingwood wziął pierwszą lewę, Jack dołożył do puli, po czym wziął drugą, trzecią i czwartą lewę. Następne dwie znów należały do Collingwooda i znów Jack przesunął swoje pieniądze na środek stołu. W ostatniej lewie Collingwood zagrał damę kier i z szerokim uśmiechem popatrzył na wahającego się Jacka. Kiery były atutem.

- Chyba wygrałem - powiedział, sięgając po pieniądze. Jack wyciągnął ramię i chwycił go za rękę.

- Nie tak szybko, przyjacielu - powiedział. - Najpierw dwie drobne kwestie. Po pierwsze, mam króla kier, a po drugie, pan nosi pierścień ofiarowany kiedyś Davidowi Middletonowi przez kogoś, kogo kochał...

Collingwood spojrział zaskoczony na Jacka. Nagle zbladł.

- Wygrałem od niego ten pierścień w karty - wyjaśnił, usiłując cofnąć rękę. - Chcę zobaczyć pańskiego króla kier. Nie wierzę pańskim słowom.

- Króla naturalnie mam. - Nie puszczać ramienia Collingwooda, Jack wyciągnął mu kartę zza mankietu. - O proszę, był dokładnie tam, gdzie go pan wcześniej schował. Odkąd Greaves pozbawił pana znaczonych kart, oszukiwanie stało się trudniejsze, ale dwa rozdania temu schował pan tego króla i tylko czekał na okazję. - Ściągnął Collingwoodowi z palca pierścień Davida. - Wezmę ten drobiazg, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Niech cię diabli! - wybuchnął Collingwood, raptownie cofając rękę. - Skąd wziął się ten król? Musiał go pan przez cały czas trzymać w ręce. Jak pan śmie oskarżać mnie o oszukiwanie? Żądam natychmiastowego odwołania tego pomówienia!

- Czy w innym przypadku wyzwie mnie pan na pojedynek, tak jak wcześniej próbował pański niemądry kuzyn? - Jack popatrzył na niego kpiąco. - Niech pan sobie nie wyobraża, że mając go naprzeciwko, strzelę w powietrze. Przeciwnie, z przyjemnością pana zabiję, tak samo jak pan zabił Davida Middletona. Może z tą różnicą, że pan nie dał mu szansy na pojedynek, prawda?

- O czym pan mówi? - Collingwood zerwał się z krzesła i nieprzytomnie potoczył wzrokiem dookoła. - Nie mam nic wspólnego z tym morderstwem. Wszyscy wiedzą, że Middleton zginął z rąk rabusiów.

- Rabunek miał miejsce wcześniej, przy karcianym stoliku - powiedział zimno Jack. - Najpierw oszukał go pan w taki sposób, jakiego dzisiaj próbował podczas gry ze mną, a wcześniej z wieloma innymi osobami. Kiedy David zagroził, że pana zdemaskuje i zamknie przed panem drzwi do przyzwoitego towarzystwa, pan go zabił.

- Nie, do diabła! To jest stek kłamstw! Nikt panu nie uwierzy. Trzymał pan króla przez całą grę...

- Nie. Pan go miał w rękawie - stwierdził Greaves. - Obserwowałem pana cały czas i widziałem, że tam go pan schował. Jest pan kłamcą, a każdy kto, znał Davida Middletona, wie, że nie postawiłby w grze pierścienia, który przedstawiał dla niego nieocenioną wartość. Jest pan oszustem, Collingwood, a najprawdopodobniej również mordercą. Kiedy wieść o tym się rozejdzie, straci pan wstęp do tego klubu, a przy okazji również do innych miejsc odwiedzanych przez przyzwoitych ludzi.

- Panowie, proszę odebrać to, co Collingwood jest wam winien - powiedział Jack, wstając. - On wziąłby całą pulę, bo oprócz króla w rękawie ma jeszcze asa w kieszeni. Mnie w każdym razie wystarczy to. - Pokazał zebrany pierścień Davida, po czym go schował. - Collingwood, ja z panem skończyłem. Zostawiam pana w rękach tych dżentelmenów. - Skłonił się zebrany. - Do zobaczenia panom.

- Do diabła, Harcourt! Pożałuje pan tego!

Gdy Jack się odwrócił, Collingwood wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował w jego plecy. Nie zdążył jednak pociągnąć za spust, Greaves bowiem uderzył go od tyłu laską ze srebrną gałką. Collingwood runął na ziemię, broń wystrzeliła, a kula strzaskała nogę jednego ze stolików do gry. Jack obejrzał się, ale stwierdził, że sytuacja jest pod kontrolą, spokojnie ruszył więc do drzwi.

- Poślij po straż - polecił Greaves jednemu z kelnerów. - Ten człowiek jest oszustem, a być może również mordercą. Właśnie przed chwilą próbował strzelić w plecy lordowi Harcourtowi.

- Proszę zostawić to nam - powiedział kelner i skinął na swoich kolegów. Trzej potężnie zbudowani mężczyźni zaczęli ciągnąć Collingwooda, który tymczasem odzyskał przytomność. - Przypilnujemy go, póki nie nadejdzie straż.

- Harcourt! - zawołał Greaves i wybiegł za Jackiem z sali. Dogonił go przy szatni, gdzie Jack odbierał kapelusz i płaszcz.

- Proszę poczekać. Podjął pan wielkie ryzyko. On mógł pana zabić.

- Polegałem na panu - odrzekł z uśmiechem Jack. - Liczyłem właśnie na to, że Collingwood spróbuje mi przy świadkach strzelić w plecy. Z oskarżenia o oszustwa mógłby się wykręcić, teraz już nie umknie. Jest skończony w towarzystwie i zapewne będzie musiał stanąć przed sądem za usiłowanie morderstwa. Więcej mi nie trzeba.

- On bez wątpienia popełnił zbrodnię. Widać to było w jego oczach, kiedy go pan oskarżył - powiedział Greaves. - Wszyscy byliśmy świadkami, że próbował pana zdradziecko zabić. Wyświadczył nam pan wielką przysługę, Harcourt, ale jednocześnie nadstawił za nas karku.

- Ryzyko wkalkulowane - odparł Jack. - Wiedziałem, że będziecie go obserwować i że jest pan człowiekiem pełnym inicjatywy. Cieszę się, że miałem rację. Dziękuję za uratowanie życia, Greaves. Gdybym kiedykolwiek mógł się panu przysłużyć, proszę zwrócić się do mnie bez wahania.

- Pan to ma zimną krew, Harcourt. - Greaves cicho się roześmiał. - Zdecydowanie wolę mieć w panu sprzymierzeńca niż wroga.

- Proszę mi wierzyć, że jestem niezwykle łagodnym człowiekiem - odrzekł Jack. - David był moim najlepszym przyjacielem. Łączyła nas bardzo szczególna więź. Jestem szczęśliwy, że jego duch może wreszcie odpoczywać w pokoju.

- Został pomszczony - przyznał Greaves. - Niech pan postara się o tym zapomnieć, Harcourt. Nie warto tego rozpamiętywać. I tak nic więcej już nie może pan zrobić.

- To prawda. Sprawiedliwości stało się zadość dziś wieczorem. - Podał rękę Greavesowi. - Proszę przyjąć ode mnie podziękowanie za pański wkład.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - odrzekł szorstko. - Wrócę na salę i dopilnuję, żeby nie pozwolili temu łajdakowi uciec. - Zmarszczył czoło. - Słyszałem, co mówią ludzie, Harcourt. Mogę panu życzyć szczęścia czy to tylko plotki?

- Tymczasem plotki, ale jeśli dama, o której mowa, mnie zechce, wkrótce życzenia będą całkiem na miejscu.

- Tak sądziłem. Pan nie naraziłby reputacji młodej, niewinnej panny. - Greaves z satysfakcją skinął głową. - Zaprosi mnie pan na ślub?

- Bez wątpienia, jeśli tylko ona przyjmie moje oświadczyiny. - Jack włożył kapelusz i opuścił klub, a Greaves zawrócił do środka.

Jack dostrzegł dorożkę i przyzwał ją skinieniem dłoni. Nie był w nastroju do spaceru, zresztą zbierało się na deszcz. Poza tym do chodzenia wieczorami po Londynie należało być przygotowanym, a Jack nie miał przy sobie broni. Chciał mieć pewność, że jeśli Collingwood spróbuje do niego strzelić, to na pewno zawiśnie.

Jackowi było teraz znacznie lżej na duszy. Długo ciążyła mu świadomość, że nie było go, gdy David znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wreszcie mógł ten ciężar zrzucić. Wiedział, że jeszcze nie do końca wszystko wyjaśnił, rola Stauntona wciąż pozostawała nieznaną.

Postanowił więc dyskretnie dalej prowadzić dochodzenie. Mąż jego siostry był znacznie trudniejszym przeciwnikiem niż Collingwood i należało zachować większą ostrożność.

Najpierw jednak powinien poprosić Lucy o rękę. Od czasu pojedynku z Lawrence'em Jack zdawał sobie sprawę, że krążą na ich temat plotki, więc jego wcześniejsze skrupuły straciły aktualność. Sytuacja zmieniła się całkowicie, teraz byłoby z jego strony nieuczciwie, gdyby nie poprosił jej o rękę. Zresztą widział w tym nie tylko obowiązek; pragnął Lucy.

Uśmiechnął się i rozparty na siedzeniu dorożki zaczął planować, jak najlepiej rozegrać oświadczyiny. Niedawno widział pierścionek, który powinien się pannie Horne spodobać. Postanowił go kupić nazajutrz z samego rana. Naturalnie po ślubie będą jej się należały rodowe klejnoty Harcourtów, chciał jednak, aby pierścionek zaręczynowy był nowy. Lucy powinna dostać od niego coś wybranego specjalnie dla niej.

Oczywiście Lucy może odrzucić oświadczyzny, lecz dlaczego miałyby tak postąpić? Jack był prawie pewien, że cieszy się jej sympatią. Widział, jakie spojrzenia rzucała mu niekiedy, ale naturalnie mógł je źle interpretować. Nigdy nie był zakochany, a kobiety przychodziły do niego chętnie, mimo że wybierał je bardzo starannie - zwykle były to potrzebujące pokrzepienia wdowy. Tylko co robić, jeśli Lucy go nie zechce?

Lucy zdawała sobie sprawę, że ludzie śledzą ją wzrokiem. Nie było w tym nic dziwnego, bowiem od dnia debiutu skupiała na sobie uwagę.

Tego wieczoru odniosła wrażenie, że coś się zmieniło. Idąc przez salę balową z Marianne, dostrzegła krytyczne spojrzenia kilku matron. Nie miała pojęcia, czym sobie na nie zasłużyła, choć podejrzewała, że ludzie dużo mówią o pojedynku.

Zaproszono ją do tańca niemal natychmiast i wkrótce jej karnet się zapełnił z wyjątkiem celowo pozostawionych trzech wolnych miejsc. Mimo to wydawało się jej, że nie budzi takiego zainteresowania jak dotychczas. Panów Lawrence'a i Markhama naturalnie nie było na sali, ale na przykład pan Tristram przesłał jej z daleka spojrzenie pełne wyrzutu, a o taniec nie próbował zabiegać. Nie wiedziała, czym mogła go urazić. Wkrótce jednak sytuacja się wyjaśniła.

Podeszła do niej Amy Robinson, ciągnąc za sobą brata mającego minę skazańca.

- Panno Horne, chciałam bardzo panią przeprosić - zaczęła Amy. - Nie byłam świadoma, w co wplątał się mój niemądry braciszek, a wiadomość przekazałam pani w dobrej wierze.

- Wiem - powiedziała Lucy. - Nie winię pani, Amy.

- Dziękuję. - Amy przeszła wzrokiem brata. - No?

Peter Robinson spiekł raka. Nie ulegało wątpliwości, że w tej kłopotliwej dla siebie sytuacji nie znalazł się z własnej woli.

- Bardzo mi przykro, panno Horne, z powodu roli, jaką odegrałem w tej sprawie. Pomysł od początku wydawał mi się zły, ale powinienem był lepiej się starać, żeby od niego odstąpiono. Bardzo przepraszam. Wiem, że te wszystkie plotki muszą być dla pani niezwykle przykre. Na pewno nie chciałem pani skrzywdzić.

- Dziękuję - powiedziała Lucy. - Nie bardzo jednak rozumiem, o czym pan mówi. Niczego nie słyszałam.

Amy przesłała bratu kolejne spojrzenie.

- Mówi się, że z powodu tego zajścia lord Harcourt nie poprosił pani o rękę.

- Ach, rozumiem... - Teraz zaczerwieniła się Lucy. - To niedorzeczność, nie wiem, jak ktoś mógł coś podobnego pomyśleć... - Nagle zorientowała się, że Amy patrzy za jej plecy, mając bardzo dziwną minę. Lucy spojrzała więc za siebie.

- O, lord Harcourt... Dobry wieczór.

- Moja droga panno Lucy - odezwał się Jack. - Zdaje się, że orkiestra zaczyna grać walca. To chyba mój taniec?

- Naturalnie... - Lucy była bardzo zadowolona, że zostawiła wolne miejsca w karnecie na wypadek, gdyby Harcourt jednak się zjawił. Podała mu rękę. - Dziękuję bardzo.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czekałem na tę chwilę.

Gdy położył jej dłoń na wysokości talii, po ciele Lucy rozlało się miłe ciepło. Odprężona poddała się prowadzącemu ramieniu i wkrótce wirowała tak lekko, że niemal nie dotykała stopami podłogi.

- Tęskniłam za panem - wyjawiała, spoglądając mu w oczy.

- Drew powiedział mi, że ma pan ważne sprawy. Czy już je pan załatwił?

- Proszę nie mówić do mnie tak oficjalnie, chyba że popadłem u pani w niełaskę. Dla pani jestem Harcourt, a mam nadzieję, że z czasem zacznie pani mówić do mnie Jack, tak jak moi najlepsi przyjaciele.

- Czy jestem dobrym przyjacielem, Harcourt? - W oczach Lucy kryło się wyzwanie.

- Zapewne pani wie, o czym myślę, panno Przekoro - zażartował Jack. - Jednak parkiet nie jest odpowiednim miejscem do rozprawiania o uczuciach. Jeśli więc pani pozwoli odwiedzę ją jutro.

- Chce pan zaproponować mi przejażdżkę? - Lucy udała, że nie rozumie jego intencji. - Bardzo chętnie, Harcourt.

- Jeśli pani sobie życzy, możemy dokądś pojechać - odrzekł Jack. - Trzpiotka z pani, Lucy. Dobrze mi tak. Za długo dostrzegałem w pani jedynie dziecko. A przecież to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Lucy nie pozwoliła się sprowokować. Wiedziała, co odpowie, jeśli poprosi ją o rękę, nie zamierzała jednak ułatwiać mu życia. Za długo z nią igrał, teraz przysła kolej na nią.

- Już się cieszę na tę przejażdżkę, Harcourt.

Jack się roześmiał. Do tej pory to on dyktował warunki, teraz jednak za sznurki ona zaczęła pociągać. Rozbawiło go to, nigdy dotąd nie wpadł bowiem w kobiece sidła. Ale też nie odczuwał tak przemożnego pragnienia, by kobietę pocałować. Namiętność, żądza, czułość - znał najrozmaitsze odmiany tych stanów, lecz właśnie sobie uświadomił, że miłość nie jest żadnym z nich. Lucy mogła wydawać się słodkim kocięciem, ale pazurki miała ostre.

Walc się skończył i Jack odprowadził Lucy pod opiekę siostry, skąd wkrótce porwał ją następny partner.

On tymczasem poprosił do tańca Marianne, a potem wdał się z nią w rozmowę, nie spuszczać wzroku z Lucy, która fruwała po sali niczym motyl.

Zatańczył z nią jeszcze raz przed samą kolacją, a potem przypilnował, żeby zjadła pyszny deser i napiła się szampana. Po kolacji zatańczyli razem znowu. Oczywiście jego względy dla panny Horne nie pozostały niezauważone, tym bardziej że zapraszał ją zawsze do walca, pod koniec wieczoru nikt już właściwie nie wierzył, że Harcourt może jeszcze zainteresować się kimś innym.

Wzbudziło to poważne rozczarowanie pewnej damy, do tej pory żyjącej taką nadzieją.

Lucy odbierała okrycie po balu, gdy podeszła do niej lady West. Lucy uśmiechnęła się do niej, jako że wdowa przyjaźniła się z jej siostrą. Jednak uśmiech zamarł jej na ustach, gdyż z oczu damy wyzierała wrogość.

- Słyszałam, że zamierza pani poślubić lorda Harcourta - powiedziała chłodno. - Radzę starannie to przemyśleć, panno Horne. Nie wiem, czy słyszała pani o jego bękarcie. To prawda, nawet jeśli nie chce pani w to uwierzyć. On utrzymuje to dziecko i jego matkę, z którą pozostaje w stałym związku.

- Słucham? - Lucy bardziej niż samymi słowami była wstrząśnięta pełnym jadu tonem. - To chyba nie jest odpowiedni temat do rozmowy w tym miejscu, lady West.

- Byłam jego kochanką blisko rok - ciągnęła dama. - Zerwał ze mną, ponieważ życzyłam sobie, aby nie odwiedzał tamtej. Nie wyobrażam sobie, żeby miała pani więcej siły przekonywania, gdy pierwsza namiętność nieco ostygnie. Proszę uważać, panno Horne. Harcourt jest rozpustnikiem i złamie pani serce.

Odeszła, zostawiając Lucy w osłupieniu. Wiadomość o romansie Harcourta z lady West była dla niej nowością. Nie zamierzała potępiać tej kobiety, wiedziała bowiem, że jej mąż był od niej prawie dwukrotnie starszy i kilka ostatnich lat życia spędził przykuty do łóżka, zaczęła się jednak poważnie zastanawiać, czy Harcourt rzeczywiście zasługuje na miano rozpustnika.

Tego wieczoru Lucy się położyła, bijąc się z myślami. Intuicja podpowiadała jej, że Harcourt ją kocha, wiedziała na pewno, że z wzajemnością, a jednak powątpiewała, czy to wystarczy. Podejrzewała bowiem, że aby żyć długo i szczęśliwie w małżeństwie, niczym w baśni, potrzeba nie tylko namiętnej miłości, lecz również szacunku i przyjaźni. Inaczej związek się rozpada, gdy tylko ogień zacznie przygasać.

Marianne i Drew po trzech latach małżeństwa wciąż byli w sobie zakochani, a Jo nawróciła się na ideę romantycznej miłości, mimo że sama miała poważne wątpliwości, zanim poznała Hala Beverleya. Lucy bardzo chciała wierzyć, że z Jackiem Harcourtem będzie nie mniej szczęśliwa, nie potrafiła jednak zapomnieć ostrzeżenia udzielonego jej przez matkę.

Musiała poważnie zastanowić się nad odpowiedzią. Nawet gdyby zdecydowała się powiedzieć „tak”, uznała, że kilkumiesięczne narzeczeństwo na pewno wyjdzie im na dobre. Mogła jeszcze poczekać, przecież miała dopiero osiemnaście lat i było przed nią prawie całe dorosłe życie.

Tej nocy Lucy nie spała tak spokojnie, jak zwykle. Wprawdzie chciała jak najszybciej doczekać się poranka i oświadczyć Jacka, ale nie była jeszcze pewna, jakiej odpowiedzi udzieli. Pragnęła zaufać mu bez reszty, oddać mu całe swoje serce, ale mama, a teraz lady West zasiały w jej duszy ziarna wątpliwości.

Ubrała się bardzo starannie w nową suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu. Dobrała do niej słomkowy kapelusik z błękitnymi wstążkami, jasne skórzane rękawiczki i czarne, lśniące pantofelki na niewielkim obcasie. Większa część włosów opadała jej swobodnie na plecy, zadbała jednak także o to, by kilka kosmyków wiło się zalotnie przy uszach. Gdy wreszcie usłyszała głos Jacka w holu, serce podeszło jej do gardła, po chwili opanowała jednak panikę, zdobyła się na uśmiech i zeszła na dół, aby go powitać.

- Ślicznie pani wygląda, jak zawsze.

- Dziękuję. Mamy piękny poranek, Harcourt. Nie sądzi pan, że wprost wymarzony na przejażdżkę?

Jack zmarszczył czoło. Jeszcze nigdy nie było tyle rezerwy w zachowaniu Lucy, wyczuł jej rozterkę.

- Ranek istotnie jest piękny - przyznał. Nie był pewien, czy Lucy mówiła poważnie o przejażdżce. - Wychodzimy?

- Tak, naturalnie - powiedziała Lucy. - Zostało mi jeszcze tylko kilka dni w Londynie, Harcourt. Jeśli nie pojedę odwiedzić Marianne, to może minąć sporo czasu, nim znowu będę miała okazję powozić.

Jack nie odpowiedział od razu. Zamierzał wystąpić tego ranka z oświadczeniami, lecz nagle stracił pewność siebie. Lucy stanowczo go nie zachęcała. Czyżby źle odczytał jej uczucia, co do których poprzedniego wieczoru nie miał przecież najmniejszych wątpliwości?

Wsiadając do kariolki, Lucy uśmiechnęła się, ale nie spojrzała mu w oczy. Bezsenna noc nie wystarczyła jej na podjęcie decyzji. Wiedziała, że darzy Jacka silnym uczuciem i że bardzo chciałaby zostać jego żoną, ale czy nie pożałuje zbyt pochopnie wyrażonej zgody? Nie chciała dla siebie małżeństwa z rozsądku, a świadomość, że przysły małż utrzymuje kochankę, bardzo ją mierzila.

Cieszyła się, że na tyle kariolki jedzie z nimi do parku służący Jacka, wiedziała bowiem, że w obecności chłopaka nie zostanie poruszony żaden poważny temat. Jednak po jakichś dwudziestu minutach objeżdżania parku Jack zaproponował postój i krótki spacer.

Lucy przystała na tę propozycję, choć gdy pomagał jej zsiąść, spoglądała na niego dość nieufnie. Ruszyli ku zacisznemu zakątkowi pod drzewami, oddalonemu od ścieżek używanych przez jeźdźców.

- Lucy - zaczął Jack - na pewno zdaje sobie pani sprawę z tego, jak wysokie mam o niej mniemanie.

Spojrzała mu w oczy.

- Ja o panu również, Harcourt. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, prawda?

- Myślałem, że może połączy nas coś więcej niż przyjaźń.

- Jest taka możliwość - odrzekła. - Na pewno bardzo się wzajemnie lubimy, tyle że słabo się znamy, nie sądzi pan?

- Hm... - Jack był zaskoczony tym pytaniem. Spodziewał się raczej, że Lucy będzie wyczekiwać jego oświadczeń. - Gdybym chciał pani dzisiaj zaproponować małżeństwo, jakiej udzieliłaby mi pani odpowiedzi?

- Spytałabym, czy mogę spokojnie pomyśleć nad odpowiedzią. Bardzo pana lubię, Harcourt, ale chciałabym lepiej go poznać. Kilka tańców, parę przejażdżek... - Bardzo żałowała, że nie może szczerze mu wyjawić, w czym rzecz. - Zresztą mama i tak obstawałaby przy kilkumiesięcznym narzeczeństwie, wiem to z pierwszej ręki.

- Rozumiem. - Jack zatrzymał spojrzenie na jej twarzy. Zaczęło mu świtać, że i on dobrze nie zna Lucy Horne. Była urocza, jednym uśmiechem mogła rozjaśnić wielką salę, ale jakimi drogami podążały jej myśli? Z pewnością nie spodziewał się takiej odpowiedzi, jaką usłyszał.

- W każdym razie nie odmówiła mi pani, więc liczę, że mogę żywić nadzieję?

- Naturalnie. - Przez chwilę Lucy żałowała, że nie udzieliła innej odpowiedzi, ale naprawdę musiała uzyskać całkowitą pewność. - Może pan to traktować tak, jakbyśmy byli po słowie, ale żadna strona nie ma z tego tytułu zobowiązań. Gdyby doszedł pan do wniosku, że poszuka szczęścia gdzie indziej, ja to zrozumiem.

- Naprawdę? - Nagle pojął, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś naopowiadał Lucy, co o nim gadają, a najgorsze, że niczemu nie mógł zaprzeczyć. - Niech mi pani wierzy, że gdybym widział ważną przeszkodę na drodze do naszego szczęścia, nie proponowałbym małżeństwa.

- Ach tak... - Lucy odwróciła wzrok. Może postąpiła głupio, pozwalając, by sądy innych wpłynęły na jej decyzję. - Czy pan czuje się urażony, Harcourt? Nie chciałabym sprawić panu przykrości.

- Nie - skłamał. W gruncie rzeczy głęboko zraniła jego dumę, ale nie mógł się do tego przyznać. - Pani ostrożność dobrze świadczy o jej rozsądku. Muszę się zastanowić, co zrobić, żeby zasłużyć na pani uznanie. Może powinniśmy wracać? Zobaczymy się znowu wieczorem.

- Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi? - spytała zaniepokojona, wyczuła w nim bowiem nagły dystans.

- Tak, bez wątpienia. Tymczasem jesteśmy, muszę jednak uczciwie panią uprzedzić, że mam nadzieję na więcej.

- Ja też - przyznała cicho Lucy.

W drodze powrotnej humor jej nie dopisywał. Zdawała sobie sprawę, że uraziła Jacka, choć nie chciał się do tego przyznać. Nie mogła jednak inaczej postąpić w tej sytuacji, a poza tym on przecież wcale jej się nie oświadczył.

No nie! Nie należało się tak oszukiwać. Oboje wiedzieli, że Jack się wycofał, ponieważ zażądała czasu do namysłu. Dżentelmen nie nalega wbrew woli kobiety. Prowadzili więc uprzejmą konwersację aż do chwili, gdy Jack pomógł jej zsiąść przed domem Marlbecka.

- Niech pani tak się nie martwi. Lucy. Znajdę sposób, żebyśmy mogli spędzać więcej czasu razem.

- Chciałabym - wyjawiała. - Bardzo dziękuję za przejażdżkę. Czekam niecierpliwie na spotkanie wieczorem.

- Nie jestem pewien, czy się zobaczymy - odparł. - Właśnie coś mi się przypomniało. Być może będę musiał wyjechać z Londynu na dzień lub dwa. Wkrótce jednak odezwę się do pani.

Gdy wsiadał do kariolki, Lucy pogrążyła się w smutku. Obawiała się, że go obrazila, i Jack przestanie się do niej zalecać. Po co zadawać sobie tyle trudu, skoro mógł mieć na pęczki młodych panien, które przyjęłyby jego oświadczyny bez namysłu?

Jeszcze przed progiem domu Lucy była pewna, że postąpiła głupio, dając posłuch lady West, przez którą, co oczywiste, przemawiała zazdrość. Pani Horne zgodziłaby się na zaręczyny, gdyby wiedziała, że od tego zależy szczęście córki. Lucy żałowała zmarnowanej szansy.

Rozdział szósty

Tego wieczoru Lucy nie widziała Jacka. Nie mogłaby zresztą spędzić dużo czasu w jego towarzystwie, bowiem niemal wszyscy goście grali w karty, ale i tak za nim tęskniła. Wciąż gryzła się z powodu ich ostatniego rozstania, nie była bowiem pewna, jak znajomość dalej się potoczy.

- Coś się stało? - spytała Marianne w drodze do domu. - Wydajesz mi się dziwnie milcząca. Czy coś ci nie dolega?

- Nie. - Lucy zdobyła się na uśmiech. - Cieszę się jednak, że w końcu tygodnia opuszczamy Londyn. Bardzo mi się tu podobało, ale zatęskniłam za wsią.

- Rozumiem cię, ze mną jest podobnie - odparła siostra. - Lubię spotykać przyjaciół i trochę się pobawić, ale moje miejsce zdecydowanie jest na wsi. Udało mi się, ponieważ Drew nie różni się w tym ode mnie, a nie zawsze tak jest w małżeństwach. Niektórzy mężowie większość czasu spędzają z dala od żon. Czułabym się źle w takiej sytuacji, na szczęście Drew lubi być ze mną. Pojedziemy potem do jego majątku w Hampshire. Może chciałabyś wybrać się z nami, Lucy?

- Owszem, jeśli... - Spojrzała wymownie na Marianne.

- Miałam nadzieję... Czy nikt z tobą nie rozmawiał?

- Wiele razy mi się oświadczone, lecz oceniam, że raczej żartem. Prawdę mówiąc, żaden z tych mężczyzn nie może być dla mnie nikim więcej niż tylko znajomym.

- Myślałam o kimś, kogo bardzo lubisz.

- Och... - Lucy się zarumieniła. - Powinna była wiedzieć, że się domyślisz. Tak, bardzo lubię lorda Harcourta, ale uznaliśmy, że musimy lepiej się poznać.

- Rozumiem. - Marianne skinęła głową. - Czy to mama wymogła na tobie taką obietnicę, moja droga?

- Mama powiedziała tylko, iż będzie nalegała na długi okres narzeczeństwa. Ja też uważam, że powinnam lepiej poznać lorda Harcourta.

- Usłyszałaś plotki, które cię zaniepokoiły? - Marianne przyjrzała się z uwagą siostrze.

- Tak Pewna kobieta uznała za istotne poinformować mnie, że była jego kochanką i że Harcourt pozostaje w stałym związku z matką swojego nieślubnego dziecka.

- I dlatego zaczęłaś się zastanawiać, czy dochowa ci wierności, kiedy weźmiecie ślub? - domyśliła się Marianne. Lucy skinęła głową. - Na twoim miejscu postarałabym się wyrzucić z głowy podobne myśli. Jestem głęboko przekonana, że Jack Harcourt nie zachowałby się w taki sposób. Nie znam prawdy o dziecku, bo nawet Drew nie został wtajemniczony, Jack nie chce o tym z nikim rozmawiać. Jednak nie dawałabym wiary kobiecie, która rozpowszechnia pełne jadu wymysły.

- I ja bym nie uwierzyła, gdyby nie przestrzegła mnie wcześniej mama. Nie żywię pretensji o przeszłość. Miał prawo żyć jak wolny człowiek, którym był, jeśli swoim postępowaniem nikogo nie skrzywdził. Ja tylko chcę mieć pewność, że będziemy do siebie pasować.

- Rozumiem. - Marianne się zdziwiła. Lucy była niepoprawną marzycielką, najwyraźniej jednak wyrosła na rozsądną i myślącą młodą kobietę. - Sama wiesz najlepiej, co dla ciebie dobre, moja droga, ale jeśli go kochasz, nie powinnaś przed tym uciekać. Inaczej możesz kiedyś tego żałować.

Lucy nie czuła jednak pewności, dalej targały nią wątpliwości. Serce podpowiadało jej, że kocha Jacka Harcourta bez względu na wszystko, lecz rozum ostrzegał, by zachowała ostrożność.

Minęły dwa dni. Lucy właśnie wróciła do domu z miasta. Oddała książki do biblioteki i kupiła kilka drobiazgów na prezenty. Ciotka Bertha szczególnie lubiła migdałowe łakocie, a mama zawsze cieszyła się z wonnego mydła lub

pachnidła. Kupiła też podarki dla kilku przyjaciółek, z którymi miała spotkać się na herbatce tego popołudnia, po raz ostatni przed kilkumiesięczną przerwą.

W sieni na stoliku zauważyła bukiet kwiatów i zatrzymała się, by na niego zerknąć. Przeczytała bilecik i okazało się, że zostawił go Jack Harcourt. Bardzo się zmartwiła, że nie było jej, gdy przyszedł z wizytą, ponieważ Marianne zrezygnowała z wieczornego wyjścia, żeby lepiej przygotować się do podróży, a to znaczyło, że już z Jackiem się nie zobaczą.

Niosąc lilie na górę, upajała się ich mocnym zapachem. W korytarzu zobaczyła siostrę, wracającą z dziecięcego pokoju.

- Byłaś u Andrei? - spytała. - Kupiłam dla niej prezent, Marianne. Srebrną grzechotkę z dzwoneczkami. Myślisz, że jej się spodoba?

- Na pewno, moja droga. Szkoda tylko, że nie było cię wcześniej, bo zajrzał do nas Jack Harcourt. Widzę jednak, że kwiaty znalazłaś.

- Tak. To bardzo miły dowód pamięci.

- Jack przyniósł również zaproszenie. Namówił swoją siostrę, aby odwiedziła go w jego domu na wsi, a nas zaprosił na kilka dni. Mama też będzie mile widziana, chociaż powiedziałam Jackowi, że pewnie nie będzie mogła zostawić bez opieki ciotki Berthy.

- Jack ma siostrę? Nie wiedziałam o tym. Starszą czy młodszą?

- Amelia, lady Staunton jest pięć lat młodszą od Jacka i bardzo ładna - odrzekła Marianne. - Wyszła za mąż przed trzema laty. Jej mąż jako ambasador często przebywa za granicą. Amelia w miarę możliwości mu towarzyszy, teraz jednak opiekuje się w domu dwuletnim synem, który za granicą chorował. A ponieważ czuje się osamotniona, więc Jack się cieszy, że namówił ją do przyjazdu. Drew mówi, że Amelia nieczęsto go odwiedza, postanowiliśmy więc pojechać na kilka dni do Suffolk. Gdyby się okazało, że mama jednak się do nas przyłączy, mogłabyś zostać dłużej.

- Ojej! - To była ekscytująca nowina. Od dwóch dni Lucy zastanawiała się, czy nierozważną odpowiedzią wszystkiego nie zepsuła, okazało się jednak,

że Jack dotrzymuje słowa. Mogła złożyć wizytę w jego domu. - Bardzo chętnie poznam lady Staunton i naturalnie równie chętnie odwiedzę lorda Harcourta.

- Spodziewałam się tego. - W głosie Marianne zabrzmiała figlarna nuta. - Jack bardzo zręcznie to urządził. W ten sposób będziecie mogli lepiej się poznać.

- To prawda - przyznała Lucy. - Co innego tańczyć z kimś na balu, a zupełnie co innego zobaczyć go w domu wśród bliskich. - Lekko się zarumieniła. - Czy nie wydaję ci się nadmiernie ostrożna albo po prostu niemądra?

- Ani trochę - odrzekła Marianne. - Wręcz przeciwnie, zdumiewasz mnie dojrzałością, wiele młodych panien w ogóle nie myśli o takich sprawach. Mogę więc, jak rozumiem, powiedzieć Drew, że pomysł ci się podoba.

- Oczywiście. - Lucy zalśniły oczy. - Prawdę mówiąc, żałowałam, że nie dałam mu innej odpowiedzi, ale teraz wszystko ułożyło się po mojej myśli. Mama też będzie zadowolona.

- To dobrze, że o niej myślisz - pochwaliła Marianne. - Pamiętaj jednak, że kiedy w grę wchodzi twoje szczęście, powinnaś iść za głosem serca.

- Tak zrobię - zapewniła ją Lucy. - Wezmę się za pakowanie podarków. Niektórych przyjaciółek długo nie zobaczę.

Marianne odprowadziła siostrę wzrokiem. Cieszyła się, że zaproszenie sprawiło Lucy tyle radości. Uznała, że Jack musiał zakochać się w Lucy, skoro zadał sobie trud, by przekonać Amelię do podjęcia takiej wyprawy.

Lady Staunton na ogół nie opuszczała rodzinnego majątku. W Suffolk nie widziano jej wieki. Jack musiał użyć wyjątkowo silnych argumentów, z drugiej strony, która siostra nie byłaby ciekawa, jak prezentuje się kandydatka na bratową.

Lucy spędziła miłe popołudnie w towarzystwie przyjaciółek, między innymi Amy Robinson, która od czasu nieudanej próby uwiedzenia stała się

kimś w rodzaju jej powiernicy. Razem wracały potem do domu, Amy mieszkała bowiem zaledwie o jedną przecznicę od Marlbeck House.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała. - Za trzy dni jedziemy do Bath, a potem wracamy do domu. Jeszcze nie ujawniam tego publicznie, ale dopisało mi szczęście, bo oświadczył mi się lord South. Wkrótce ukaże się informacja o zaręczynach w „Timesie”. Mam nadzieję, że nie odmówisz wzięcia udziału w ceremonii.

- Bardzo chętnie, jeśli tylko będę mogła - odrzekła Lucy. - Tymczasem jadę na kilka dni do majątku lorda Harcourta. Ma tam gościć lady Staunton.

- Lady Staunton? - Amy zmarszczyła czoło. - Chyba mama ją zna. Przypominam sobie, że wspominała coś o jej ślubie ze znacznie starszym mężczyzną. Zdaje się, że to ktoś ważny i bogaty.

- Podobno. Chyba... - Urwała, zobaczywszy dziecko, które wybiegło na ulicę tuż przed nadjeżdżającym wozem. Ledwie zrobiła krok w tamtą stronę, ujrzała mężczyznę, który porwał malca na ręce, w ostatniej chwili usuwając go z drogi pojazdu. - Widziałaś, Amy?

- Tak. Ty nie zdążyłabyś, Lucy, a jeszcze mogłoby coś ci się stać. Właśnie taki jest lord Harcourt. Kiedy służył pod komendą Wellingtona, wiele razy odznaczono go za odwagę. Mój ojciec bardzo się dziwił, że nie wystąpił z wojska natychmiast po odziedziczeniu tytułu. Dopiero kilka miesięcy temu przejął zarządzanie majątkiem i zaczął korzystać z uprawnień, które zapewnia tytuł.

- Aha. - Lucy nie do końca słyszała, co mówi przyjaciółka, oczu bowiem nie mogła oderwać od Harcourta, który pocieszał uratowane dziecko. Przez chwilę trzymał chłopca w ramionach, potem podał go matce. Lucy nie chciała w tej chwili zwracać na siebie uwagi, więc ruszyła z Amy dalej, odwrócona ku sklepowym witrynom. - Dżentelmeni po odziedziczeniu tytułu zwykle wykupują się z wojska. Ciekawe, dlaczego Jack został.

- Może to miało coś wspólnego z wojną we Francji - podsunęła Amy. - Nie wiem, w każdym razie papa mówi, że takim ludziom jak lord Harcourt jesteśmy winni wdzięczność.

Lucy zrozumiała, że tajemnic związanych z osobą lorda Harcourta jest więcej, niż przypuszczała. Nagle pojęła, że zacieśnienie znajomości z Jackiem może być pasjonującym przeżyciem.

Tego dnia po powrocie do domu Jack znalazł kolejny list. Tym razem prośbę o pilne spotkanie George Garrick opatrzył własnym podpisem.

Udało mi się zdobyć potwierdzenie moich przypuszczeń i sądzę, że to odkrycie bardzo pana zainteresuje. Wiem, że postąpiłem karygodnie i nie sposób nawet policzyć, ile razy tego żałowałem. Może moja nadzieja na przebaczenie jest zbyt śmiała, ale bardzo chciałbym dostać szansę naprawy wyrządzonego zła, a chodzi o Amelię. Niech mi pan wierzy, że nigdy nie przestałem jej kochać. Jeśli zależy panu na jej bezpieczeństwie, musi mi pan w tej sprawie zaufać.

George Garrick

Jack przeczytał list ponownie. Zamierzał wprawdzie jeszcze tego dnia wyruszyć w drogę do swojego majątku, pomyślał jednak, że Garricka powinien wysłuchać. Wspomnił on o Amelii, a to mogło znaczyć tylko jedno. Należało się z nim spotkać przed wyjazdem do Suffolk.

Lucy siedziała przy toalecie i rozczesywała swoje długie jasne włosy. Wieczór spędziły z siostrą, bo Drew po kolacji wyszedł załatwić jakąś sprawę. Obie mogły więc spokojnie porozmawiać, siedząc w salonie i zajmując się robótkami.

Marianne haftowała ubranko dla córki, a Lucy zaczęła robić dla małej wełniany czepek. Po dziewiątej powiedziały sobie dobranoc i poszły na górę, bo nazajutrz musiały wstąpić wcześnie. Lucy przekonała się jednak, że szybko nie

zaśnie, więc przez dłuższy czas siedziała przy oknie i wyglądała na ulicę, oświetloną latarniami, którymi zajmował się nocny strażnik.

Uświadomiła sobie, że jeśli poślubi Jacka, to niedługo będzie pewnie szyła i haftowała różne ładne rzeczy dla swojego dziecka. Lucy zawsze była bardzo przywiązana do sióstr, dlatego chciała mieć troje albo i czworo dzieci. Dzisiejszy epizod na ulicy przekonał ją, że Jack znakomicie nadaje się na ojca. Czy jednak dla niej będzie dobrym mężem?

Westchnawszy, położyła się do łóżka i zdmuchnęła świecę. Wierzyła, że po spędzeniu kilku dni w domu Jacka łatwiej będzie jej podjąć ostateczną decyzję. Zresztą w głębi duszy wiedziała, że właściwie już ją podjęła. Przecież nie mogłaby pokochać innego człowieka. Nagle uśmiechnęła się i ułożyła do snu znacznie spokojniejsza.

Jack jako gospodarz wrócił do domu pierwszy, aby móc powitać i siostrę, i gości z Londynu. Drew pełnił funkcję eskorty dam, a że zawsze podróżował z liczną służbą, zapewniało to całej rodzinie wygodę.

Marianne z Lucy jechały razem powozem, towarzyszyła im również piastunka z Andrea. Wszystkie próbowały ukoić małą, która była bardzo niespokojna. Wreszcie Lucy uśpiła dziecko kołysanką.

- Będiesz wspaniałą matką - orzekła Marianne. - Andrea już od dwóch dni ciągle marudzi. Nie wiem, czy boli ją brzusek, czy raczej wyrzyna jej się ząbek.

- Myślę, że to ząb, milady - wtrąciła piastunka. - Wziąć ją od pani, panno Horne? Skoro wreszcie zasnęła, to teraz trochę pośpi.

- Jest śliczna - powiedziała Lucy, podając dziewczynkę piastunce. - Wiem, Marianne, że panowie zawsze chcą mieć najpierw chłopca, ale Drew wydaje się zadowolony.

- Och, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Myślę zresztą, że syn będzie następny.

Lucy skinęła głową i zatoneła w myślach. Znow przypomniawszy jej się epizod z poprzedniego dnia. Jack zrobił na niej największe wrażenie nie tym, że zdążył zabrać dziecko z ulicy, lecz późniejszym zachowaniem. Nie krzyczał na chłopca za niesubordynację, lecz pocieszał go i przemawiał do niego z wielką łagodnością.

Uśmiechnęła się do siebie. Jack nie wiedział, że ktoś go obserwuje, więc było to rzetelne świadectwo jego prawdziwego charakteru. Dowodziło, że nie opuściłby swojego dziecka, nawet gdyby z jakichś powodów nie mógł poślubić jego matki. O dziwo, ten drobny incydent pomógł jej pogodzić się z plotką o nieślubnym potomku Jacka. Tylko myśl o kochance wciąż budziła w niej gwałtowny sprzeciw. Czyżby była zaborcza?

- Oto moja droga Amelia. - Jack pocałował siostrę w policzek. - Tak się cieszę z twojego przyjazdu. Obawiałem się, że w ostatniej chwili możesz zrezygnować.

- Dobrze wiesz, dlaczego tutaj nie przyjeżdżam - odparła Amelia. Była elegancką kobietą, wysoką i szczupłą. Potrafiła zadbać o siebie tak, by wyglądać pięknie, ale ostatnio ubierała się bardzo statecznie, a i uśmiech na jej twarzy pojawiał się rzadko. - Nie potrafiłam oprzeć się pokusie poznania panny Lucy Horne. Już prawie straciłam nadzieję, że kiedykolwiek się ożenisz.

- Moja służba mi na to nie pozwalała, a potem jeszcze ta historia z Davidem... - Zerknął na siostrę i zauważył przemykający po jej twarzy grymas bólu. - On już może odpoczywać w pokoju, Amelio. Jego śmierć została pomszczona. Collingwood będzie gnął w więzieniu do końca swoich dni, jeśli w ogóle uniknie szubienicy. A ty masz pierścień. - Spotkawszy się z George'em Garrickiem, Jack dowiedział się znacznie więcej i rozumiał, że sprawie daleko do końca, nie chciał jednak wspominać o tym siostrze, aby niepotrzebnie nie dodawać jej strapienia.

- Owszem, mam - potwierdziła Amelia z oczami lśniącymi od cisnących się łez. - Powiedziałam ci już wcześniej, że nie chcę o tym rozmawiać.

Przyjechałam, aby poznać pannę Horne, i czynię to z przyjemnością, lecz nie oczekuj więcej. W tamtej sprawie zdania nie zmieniałam.

- Myślę, że niepotrzebnie tak się karzesz, ale nie będziemy do tego wracać. Nie chciałbym sprawić ci bólu, siostró.

- Nie... - Amelia się uśmiechnęła. - Jesteś najlepszym bratem, zrobiłeś dla mnie więcej, niż miałabym prawo oczekiwać. Nigdy nie zdołam ci wystarczająco podziękować.

- Nie oczekuję podziękowań. Chcę, żebyś była szczęśliwa, Amelio.

- Jestem całkiem szczęśliwa - skłamała. - Mam Davida i to jest cała moja radość. Musi mi wystarczyć, bo niczego więcej spodziewać się od życia nie mogę.

- Och, Amelio, powinnaś porozmawiać ze Stauntonem. Może zwolniłby cię z danego słowa, skoro tak bardzo ci źle?

- Nie znasz go, Jack. On upaja się władzą nad innymi, a zwłaszcza nad żoną.

- Jeśli cię skrzywdzi...

Amelia pokręciła głową. Wiedziała, że musi uciec się do kłamstwa.

- Nie, Jack. Zapewniam cię, że jego kary są bardzo wyrafinowane. Nigdy nie zdołałabym dowieść w sądzie, że mam prawo go opuścić. Poza tym wtedy odebrałby mi Davida, a tego na pewno bym nie zniosła.

Jack skinął głową. Dobrze wiedział, że gdyby Amelia zdecydowała się na rozwód, prawo stałoby po stronie Stautona. Na razie była w Anglii bezpieczna, ale powrót męża z Indii to tylko kwestia czasu. A po jego przyjeździe będzie musiała do niego wrócić.

- Nie będę o tym więcej mówił - zapewnił Jack - chociaż sądzę, że gdybyś chciała, można by coś w tej sprawie zrobić.

- To byłoby zbyt niebezpieczne. - Amelia zdawała się bliska rozpacz. - Czy myślisz, że nie rozważałam... Boję się. Gdyby na przykład Staunton się

dowiedział, że przyjechałam tutaj wbrew jego woli, to... - przeszył ją dreszcz - mógłby mnie zabić albo zrobić coś jeszcze gorszego.

- Chyba nie skrzywdziłby własnego syna?

- Nie wiem. Nie odważę się podjąć ryzyka - odparła Amelia. -

Przyjechałam poznać twoją wybranekę. Reszta musi zostać po staremu.

- Niech tak będzie. - Jack odwrócił się, usłyszał bowiem chrzęst kół na podejździe. - Teraz pewnie jedzie Drew Marlbeck z żoną i jej siostrą.

- Musi być dość młoda - zauważyła Amelia. - Ciekawa jestem, co w tej pięknej pannie Horne urzekło cię, Jack. Obawiałam się, że zostaniesz starym kawalerem.

- Mogłoby tak być - odparł z uśmiechem. - Chociaż zapewne z czasem bym się ożenił, aby sprowadzić na świat dziedzica, nigdy jednak nie sądziłem, że się zakocham.

- Naprawdę ją kochasz?

- Tak. Lucy nie jest przeciętną młodą damą z twoich wyobrażeń, Amelio. Powiedziała, że chce mnie lepiej poznać, zanim przyjmie oświadczyzny.

- To rzeczywiście niezwykle. - Amelia uniosła brwi. - Jesteś jednym z najwyżej cenionych kawalerów na rynku małżeńskim. Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?

- Słowo daję, że dla Lucy nie ma to znaczenia. W każdym razie poznaj ją, Amelio, a wtedy będziesz mogła wyrobić sobie własny pogląd.

- Jeśli ją kochasz, to i ja ją pokocham. Idź ją powitać, poczekam w domu.

Jack skinął głową. Amelia obejrzała więc powitanie gości z okna salonu.

Drew pomógł wsiąść Marianne, po czym podał rękę szwagierce. Gdy Lucy stanęła na stopniach, ujrzała wychodzącego z domu Jacka i natychmiast serce zabiło jej mocniej. Pasował do tego miejsca. Był ubrany zwyczajnie, lecz zarazem elegancko i jako gospodarz budził respekt. Nie miał tak okazałego domu jak Marlbeck, ale mimo to budowla z cegły przyciągała wzrok. Otaczał ją

rozległy park i starannie utrzymane ogrody z kwietnymi rabatami oraz wszędobylskimi pnącymi różami.

- Cieszę się, że bezpiecznie dojechaliście - powitał gości Jack, nie odrywając wzroku od Lucy. - Marianne i Drew już u mnie byli, ale panią, Lucy, mam zaszczyt gościć po raz pierwszy. Witam w Harcourt.

- Bardzo cieszę się z przyjazdu - zapewniła, przesyłając mu czarujący uśmiech. - Po drodze podziwialiśmy stadko jeleni w pańskim parku. Jeszcze nigdy nie widziałam tych zwierząt z tak bliska. Myślałam, że uciekną przed powozem, ale wcale się nie bały.

- Są przyzwyczajone do ludzi - wyjaśnił Jack. - Wiele lat temu moja matka miała zwyczaj je karmić, ostatnio jednak same muszą o siebie zadbać. Łowczy wykładają dla nich siano, kiedy jest zimno, i pewnie dlatego stadko trzyma się w pobliżu domu. Czasem przeprowadzamy odstrzał, żeby zwierzęta były zdrowe, ale zasadniczo nie trzymamy ich do polowań. Moja matka nigdy by się na to nie zgodziła.

- Rozumiałybyśmy się z pańską matką - stwierdziła Lucy, wchodząc do środka.

Rozejrzała się dookoła. Wnętrze było przytulne, spodobało jej się umeblowanie. Drewno miało łagodny połysk, uzyskany przez lata starannego polerowania. Zasłony i sprzęty z pewnością niedawno odnowiono. W czarze na stoliku w sieni dostrzegła zresztą bardzo dziwny zbiór przedmiotów, obejmujący szpicrutę i rękawiczki. Zapewne wrzucił je tam wcześniej Jack. Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy. Właśnie tego rodzaju informacje spodziewała się znaleźć u niego w domu.

Z przestronnej sieni szerokie schody prowadziły na górę, jednak gospodarz zaprowadził ich najpierw do salonu na parterze.

- Chętnie korzystamy z tego salonu w ciepłe dni - powiedział. - Mamy stąd ładny widok na park, można też wyjść do ogrodu. Kiedy jestem sam, najczęściej siedzę w bibliotece, w głębi domu.

W salonie Lucy obrzuciła wzrokiem stojącą przy kominku kobietę. Była dosyć wysoka, szczupła, miała ciemnoblonde włosy i niebieskie oczy, w których odbijał się bezbrzeżny smutek.

- Moja droga Amelio, poznaj, proszę, pannę Lucy Horne - odezwał się Jack, przesyłając siostrze ciepły uśmiech. - Lucy, mam nadzieję, że polubicie się z moją siostrą lady Staunton. Lucy dygnęła, natomiast Amelia pocałowała ją w policzek.

- Cieszę się, że mogę panią poznać, panno Horne. A może Lucy?

- Naturalnie, jeśli tak pani sobie życzy, lady Staunton.

- Och, raczej Amelio. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

Bardzo lubię poznawać znajomych brata.

- Dziękuję, Amelio. Jest pani bardzo uprzejma. - Lucy dostrzegła spojrzenie, przesłane przez Amelię bratu i pojęła natychmiast, że ci dwoje są sobie bardzo bliscy. To nie Jack był sprawcą tego smutku. - Dawniej bardzo chciałam mieć brata, naturalnie oprócz sióstr, a nie zamiast nich, bo siostry bardzo kocham.

- A ja nieraz marzyłam o siostrze - wyjawiała Amelia. - Bardzo chciałabym poznać panią lepiej podczas naszego wspólnego pobytu w tym domu. Czy pani jeździ konno?

- Nie siedziałam na koniu od wieków - odrzekła Lucy, przenosząc wzrok na Jacka, zajętego rozmową z Marianne i gospodynią, która właśnie weszła do salonu. - Ostatnio Harcourt uczył mnie powozić.

- Jack pozwala pani powozić swoimi końmi? - zdumiała się Amelia. - Chyba nie karymi. To diabły wcielone!

- Oczywiście, że nie. Harcourt pożyczył specjalnie dla mnie damski zaprzęg z bardzo łagodnymi końmi.

- Pożyczył? - Amelia zmierzyła brata zagadkowym spojrzeniem. - Jack, to nie wydaje się w twoim stylu.

- Cóż, muszę wyznać, że w istocie go kupiłem - odparł ze skruszoną miną.
- Chciałem, żeby Lucy było łatwiej na początku nauki, teraz jednak, skoro tu przyjechała, będzie mogła spróbować sił z innymi końmi.

- Obwiezie mnie pani jutro po parku, Lucy - zażyczyła sobie Amelia. - Co do mnie, uwielbiam jeździć konno i może również panią do tego przekonam, ale zaczniemy od przejażdżki. Przy okazji trochę porozmawiamy.

- Nie jestem pewien, czy Lucy panuje nad końmi dostatecznie, by powozić, kiedy nie ma mnie obok - wtrącił Jack.

- W każdym razie na pewno goście chcą przejść do swoich pokoi. Pani March zaprowadzi was na górę, a kiedy będziecie gotowi, napijemy się herbaty.

- Dziękuję - powiedziała Marianne. - Muszę sprawdzić, czy piastunka zrobiła już wszystko przy Andrei, a poza tym mam pogniecioną suknię i chciałabym się przebrać. Myślę, że zejdziemy za jakieś pół godziny.

- Znakomicie - zgodził się Jack. Z uśmiechem zwrócił się do Lucy: - Czy tyle czasu pani wystarczy?

- Naturalnie. Jeśli można, po herbacie chciałabym pochodzić po ogrodzie.

- Proszę bardzo. Z przyjemnością zaproszę panią na spacer - obiecał Jack.

Lucy skinęła głową i śladem siostry oraz gospodyni opuściła pokój. Idąc po schodach, słyszała szmer głosów i zastanawiała się, czy to jej dotyczy rozmowa.

- Jest przemiła - powiedziała Amelia do brata, gdy drzwi salonu się zamknęły. - Od razu ją polubiłam, a co więcej, jestem pewna, że będzie wspaniałą żoną.

- Jeśli mnie weźmie - wyraził obawę Jack. - Nie jestem pewien, czy już się na to zdecydowała.

- Pleciesz androny - obruszyła się siostra. - Jak mogłaby ci odmówić? Może nie dorównujesz majątkiem Drew, ale i tak masz dużo więcej niż człowiekowi potrzeba, a do tego jesteś pociągającym i szczodrym mężczyzną. Czy są jakiegokolwiek podstawy do odmowy?

Jack odwrócił się, nie chciał bowiem wyjawić siostrze, że Lucy usłyszała już plotki o jego nieślubnym dziecku.

- Sam nie wiem - odrzekł. - Liczę na to, że kiedy pozna mnie lepiej, zobaczy we mnie porządnego człowieka.

- W czym problem, Jack? Co przede mną ukrywasz?

- Nie żartuj. Co miałbym ukrywać? Zapewniam cię... - Drzwi otworzyły się i do salonu wszedł Drew. - Reszta już poszła na górę - poinformował go Jack. - Może wypiłbyś kieliszek madery?

- Dziękuję, chętnie - odparł Drew i skłonił się przed Amelią. - Cieszę się z kolejnego spotkania, lady Staunton. Czy jest pani zadowolona z powrotu do Anglii?

- Owszem. - Amelia lekko zmarszczyła czoło. - Mąż zapowiedział, że już nie przyjmie służby za granicą, więc kiedy wróci, urządzimy tu prawdziwy dom. - Zerknęła na brata, który nalewał wina sobie i Drew. - Na razie panów pożegnam. Sprawdź, czy David się rozłokował, i zejdę na herbatę.

Drew odprowadził ją wzrokiem i wziął od Jacka kieliszek.

- Czy z Amelią wszystko w porządku? Wydaje się dość spięta, a wiem, że nie najlepiej jej się układało.

- Staunton to okropny człowiek! - zawołał Jack, mimo woli wybuchając gniewem. - Próbowałem ją namówić, żeby się z nim rozwiodła, lecz nie chce mnie słuchać, chociaż mam pewną nadzieję... - Urwał, bo jego rachuby na razie opierały się wyłącznie na podejrzeniu.

- Myślę, że nie mogłaby odejść - stwierdził Drew. - Rozumiem, że twoim zdaniem, nie uda się go przekonać?

- Jeśli podniesie na nią rękę, dopilnuję, żeby za to zapłacił, ale ona przysięga, że jej nie bije, chociaż wiem, jak głęboko ją unieszczęśliwia.

Drew skinął głową.

- Zdziwiło mnie, że ona go poślubiła. Sądziłbym raczej, że ją przed nim ostrzeżesz.

- Ostrzegłbym, gdybym był wtedy w Anglii. Popchnęła ją do tego lady Harcourt, niech jej ziemia lekka będzie, która twierdziła, że to dla Amelii ostatnia szansa. Moja macocha nie była miłą kobietą, Drew. Siostra wzięła ślub, żeby przed nią uciec, a były też inne powody. - Pokręcił głową. - Nie ma sensu do tego wracać. Stało się, i teraz Amelia musi znaleźć najlepsze wyjście z obecnego położenia.

- Rozumiem i przykro mi. Gdybym mógł w czymś pomóc...

Jack uniósł kieliszek.

- Razem wyłgaliśmy się, Drew, z niejednej trudnej sytuacji. Wypijmy za przyjaźń.

- Za przyjaźń - powtórzył Drew i również uniósł kieliszek. - I za mocne więzy rodzinne.

- Tak - potwierdził Jack, który zastanawiał się, czy Lucy go zechce, kiedy pozna jego sekret. Przed zaręczynami musiał wtajemniczyć ją przynajmniej w tę część, o której mógł sam decydować.

- To jest pokój dla pani - powiedziała gospodyni, gestem zapraszając Lucy do środka. - Wybrał go osobiście jego lordowska mość. Kilka miesięcy temu był odnawiany i - moim zdaniem - jest najładniejszy z pokoi gościnnych, choć nie największy. Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie. W razie potrzeby proszę dzwonić, sznur jest przy łóżku.

- Dziękuję. - Lucy rozejrzała się po wnętrzu z prawdziwą przyjemnością, bo zestawienie zieleni z granatem bardzo jej się podobało. Meble wykonano z jasnego drewna łączonego z hebanem. - Jestem pewna, że będzie mi tutaj wspaniale się mieszkało.

Gdy tylko gospodyni zamknęła za sobą drzwi, Lucy podeszła do bukietka ustawionego na komódce pod oknem. Róże były ciemnoczerwone, z aksamitnymi płatkami i cudownie pachniały.

Przy okazji przekonała się, że ma piękny widok na park i staw. Nad brzegiem zobaczyła kobietę z małym chłopcem i dwoma psami. Zachowywali się swobodnie i wydawali się zadomowieni.

Pomyślała, że w okolicy musi być wiele tras spacerowych, co bardzo ją ucieszyło, ponieważ uwielbiała się przechadzać. Rozpięła suknię i zaczęła szukać w garderobie swoich strojów na zmianę. Wysłano je wcześniejszym powozem, więc teraz czekały rozpakowane. Wybrała odpowiednią na podwieczorek suknię z bladożółtego muślinu i właśnie zdążyła się w nią przebrać, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę. - Gdy Lucy się odwróciła, zobaczyła młodą służącą. - Dzień dobry. Przyszłaś mi pomóc?

- Tak, panienko. Jestem Millie, przysłała mnie do służby pani March.

- Dziękuję, Millie. Jak widzisz, jestem przyzwyczajona do samodzielności, chociaż u siostry służąca pomagała mi się ubierać na wieczór. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to poproszę cię o wyprasowanie sukni, w której przyjechałam.

- Naturalnie, panienko. Niektóre z sukni powieszonych w garderobie też trochę pogniotły się w czasie podróży. Mogę wyprasować od razu także suknię na wieczór.

- Och, dziękuję. Najlepiej tę żółtą jedwabną, jeśli możesz.

- Oczywiście, panienko. Czy jeszcze w czymś mogę pomóc?

Lucy zapewniła, że da sobie radę, a Millie wyszła opowiedzieć służbie, że panna Lucy Horne jest prawdziwą damą, i jeśli jego lordowska mość zamierza ją poślubić, jak twierdzili jego londyńscy służący, to należy się z tego cieszyć. Millie pamiętała niedawno zmarłą lady Harcourt, macochę jego lordowskiej mości, sekutnicę pierwszej wody. Wyglądało na to, że nowej pani będzie dużo łatwiej dogodzić.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że właśnie zdała ważny egzamin, Lucy rozczesała włosy i związała je z tyłu wstążką w kolorze sukni. Potem wzięła

wzorzysty szal, zarzuciła go sobie na ramiona na wypadek, gdyby na dworze wieczorem było zimno, i zeszła do salonu na herbatę.

Zastała tylko Jacka. Stał w otwartych drzwiach prowadzących na taras, jakby zastanawiał się, czy nie dać się skusić słońcu.

- Czyżbym zeszła pierwsza? - spytała Lucy. - Dziękuję, Harcourt za śliczny pokój.

- Miło mi, że się spodobał.

Serce omal nie wyrwało jej się z piersi, kiedy do niej podchodził. Zrozumiała, że słusznie postąpiła, decydując się opóźnić zaręczyny. Lepiej było stopniowo przyzwyczajać się do nowej sytuacji, żeby nie wpaść w popłoch. Nikt nigdy nie patrzył na nią w ten sposób, a i w niej obudziły się doznania, jakich jeszcze nie знаła.

- Pięknie pani wygląda w takim uczesaniu, a jak młodo! Czuję się o wiele, wiele starszy.

- Ale nie za stary - zapewniła go. - Podoba mi się pan właśnie taki, Harcourt.

- Czy mogłaby pani mówić do mnie: Jack? Przynajmniej kiedy jesteśmy sami.

- Jeśli tak pan sobie życzy, Jack...

Wpatrywał się w nią z niezwykłym natężeniem, a jej zdawało się, że czuje żar tego spojrzenia. Wiedziała, że za chwilę pozna smak pocałunku, i cicho westchnęła.

- Jack... - Głos Amelii przywołał ich oboje do porządku.

- Och, przepraszam. Chyba nie przeszkodziłam?

Lucy zerknęła w jej stronę. Stała na progu salonu i wydawała się wyraźnie zakłopotana.

- Ależ nie - zapewniła. - Jack pytał mnie właśnie, czy podoba mi się mój pokój, a jak mógłby mi się nie podobać? Jest uroczy. Czy to pani pomagała mu dobrać kolory? - spytała, siadając na sofie.

- Nie, skądże. - Amelia przesłała bratu przepraszające spojrzenie. - Jack zrobił to sam, ja byłam wtedy z mężem w Indiach. Wróciłam z uwagi na zdrowie syna. Lekarze obawiali się najgorszego, gdybym nie opuściła Indii. Rzadko tutaj przyjeżdżam.

- Przykro mi - powiedziała Lucy. - Czy pani syn czuje się lepiej?

- O wiele lepiej, dziękuję. Lady Marlbeck poznałam już dawno, ale o ile wiem, ma pani również drugą siostrę.

- Tak. Jo jest młodsza od Marianne, a ode mnie starsza o dwa lata. Czasami nawet prawie o trzy, jeśli pani wie, co mam na myśli.

- Zaraz po swoich urodzinach, ale przed pani urodzinami - domyśliła się Amelia. - Kiedyś też tak liczyłam... - Urwała i popadła w zadumę.

Nagle rozległy się głosy i do pokoju weszła Marianne, a za nią Drew.

Konwersacja zeszała na tematy ogólne. Damy wymieniały uwagi o modzie prezentowanej w żurnalach, które prenumerowały, a dżentelmeni o polityce. Ponieważ Napoleon został ostatecznie pobity, przeważnie dyskutowano o prawach zbożowych.

Po podwieczorku Marianne postanowiła zajrzeć do córki, a Amelia wyraziła chęć przyłączenia się do niej. Drew z kolei oświadczył, że musi porozmawiać z masztalerzem, wydaje mu się bowiem, że koń okulał. Jack zaprosił więc Lucy na przechadzkę po ogrodzie.

- Bardzo chętnie - ucieszyła się. - Czy możemy iść nad staw?

- Nie jest pani zmęczona po dzisiejszej podróży?

- Ani trochę - zapewniła go Lucy. - Staw zobaczyłam z okna. U ciotki Berthy w Sawlebridge są bardzo ładne miejsca do spacerów, ale staw jest tylko u Drew, o czym zresztą pan wie. - Lekko się zarumieniła. - Byłam wtedy jeszcze bardzo naiwna, nie sądzi pan?

- Może, lecz tylko wyjątkowy łajdak próbowałby wykorzystać pani niewinność, Lucy.

- Miałam szczęście, że pan się tam znalazł. I drugi raz wtedy, gdy pan Lawrence próbował mnie porwać. - Tymczasem skręcili na drogę prowadzącą nad staw. - Słyszałam, Jack, że z mojego powodu stoczył pan pojedynek. Jest mi bardzo przykro, że do tego doszło.

- To nie pani wina. Bywałam w większych opałach we Francji i w Hiszpanii.

- Wiem - przyznała Lucy. - Byłabym niepokieszona, gdyby odniósł pan ciężką ranę.

- Proszę o tym nie myśleć. To już przeszłość, cieszymy się obecną chwilą. Właśnie miałem pani powiedzieć, jaki czuję się szczęśliwy z powodu pani przyjazdu, kiedy przeszkodziła mi Amelia.

- Dziękuję. Ja też bardzo się cieszę, że tu jestem.

Podał jej ramię i w przyjaznym milczeniu dalej szli w kierunku stawu.

- Jak pani widzi, nie jest to duży staw - odezwał się Jack, gdy zbliżyli się do wody - ale za to naturalny. Poleciłem tylko trochę zmienić krajobraz, niestety, wyspy do zwiedzania nie ma.

- Nie szkodzi. Jack, proszę spojrzeć: rodzina czarnych łabędzi. Jeszcze nigdy takich nie widziałam, znam je tylko ze słyszenia.

- Ojciec sprowadził je dla mojej matki. Zapewne domyśliła się pani, że ona uwielbiała zwierzęta, stąd te łabędzie i jelenie.

- Zauważyłam też kilka psów. Służą do polowań czy tylko do towarzystwa?

- Mam jedynie Brutusa, który mieszka w stajni i zupełnie nie nadaje się na domowego ulubieńca - odrzekł Jack. - Czy widziała pani jakiegoś innego psa na terenie posiadłości?

- Z okna zauważyłam kobietę i dziecko. Towarzyszyły im dwa psy. Sądziłam, że są tutejsi.

- To nie moje psy. Myślałem o kupnie drugiego psa, który mieszkałby w domu, a na polowaniach służył do aportowania zdobyczy, uznałem jednak, że

skoro tak często nie ma mnie w posiadłości, nie byłoby to w porządku wobec psa. Teraz jednak, skoro zamierzam się osiedlić na stałe...

Zaciekawiona Lucy spojrzała na Jacka.

- Czy ci ludzie bez pozwolenia weszli na cudzy teren? Myślałam, że mieszkają w majątku.

- Może mieszkają, nie wiem - odparł obojętnie. - To nie ma znaczenia. Na wszelki wypadek porozmawiam o tym z rządcą.

Lucy nie mogła zrozumieć, co się stało. Wyczuła, że Jack jest rozdrażniony.

- Może przyszli ze wsi - powiedziała. - Nie widziałam ich dokładnie, byli zbyt daleko. Nie powinien pan się złościć. Sądzę, że nie robili niczego złego.

- Za długo mnie tu nie było - stwierdził Jack. - Dopóki istniało zagrożenie ze strony Napoleona, obrona kraju wydawała mi się najważniejsza. Już po wszystkim, więc muszę zająć się majątkiem. To i owo zaczęło toczyć się własnym trybem. Należy wprowadzić pewne zmiany.

Lucy zauważyła jego zadumę. W cichości liczyła na to, że kiedy znajdą się dalej od domu, Jack ją pocałuje, ale jemu nagle zmienił się nastrój. Zaczął jej opowiadać o planach związanych z majątkiem. Odnawianie dopiero się zaczęło, a on myślał nawet o dobudowie nowego skrzydła domu. W każdym razie w tym, co mówił, nie było ani krzty romantyzmu i tego Lucy nie mogła pojąć. Co się nagle stało?

Tymczasem powoli kiełkowało w niej ziarno zwątpienia.

Czy to możliwe, żeby nieślubne dziecko Jacka i jego kochanka mieszkali na terenie posiadłości?

Lucy starała się zapomnieć o swoim podejrzeniu, jednak uparcie ją prześladowało. Wróciło do niej znowu podczas przebierania się do kolacji. Na tę okazję włożyła nową jedwabną suknię w złotym kolorze, a Millie ułożyła jej włosy w wysoką fryzurę, sprawiającą wrażenie niezwykle wyrafinowanej. Lucy

uzupełniła kreację sznurem pereł i perłowymi kolczykami, po czym uznała, że może dołączyć do reszty gości.

- Zostałaś damą - powitał ją z uznaniem Drew. - Podoba mi się ta suknia, ładnie ci w niej.

Lucy podziękowała za komplement i zwróciła się do Jacka. Z wcześniejszej mrocznej zadumy nie zostało ani śladu, uznała więc, że najlepiej puścić tamten incydent w niepamięć.

Kolacja przebiegała w miłej, swobodnej atmosferze, wszyscy żartowali, śmiali się i czynili uwagi na temat smakołyków przyrządzonych przez miejscowego kucharza. Nawet Amelia włączyła się do toczonej przy stole rozmowy, a potem do konwersacji w salonie.

Kiedy podano porto, damy wycofały się do drugiego, mniejszego salonu i rozsiadły się przy herbacie. Wkrótce jednak panowie do nich dołączyli. Marianne poproszono, aby coś zagrała, a Lucy wspomogła ją w duecie. Potem z kolei Drew śpiewał z Marianne, a akompaniowała im Lucy. W panującym nastroju rozleniwienia nikomu nie chciało się grać w karty, także grę w bilard dżentelmeni odłożyli na kiedy indziej.

Damy udały się na spoczynek po wpół do jedenastej. Drew obiecał żonie, że wkrótce ruszy w jej ślady. Lucy powiedziała wszystkim dobranoc i poszła do swojego pokoju. Wysłała na spoczynek Millie, która pomogła jej rozpiąć suknię, i zajęła się rozczesaniem włosów.

Stan, w którym teraz się znajdowała, jej siostry nazywały snem na jawie. Rozmyślała o tym, że chciałaby dzielić z Jackiem takie wieczory. Czasem tylko we dwoje, innym razem w gronie przyjaciół, jeszcze kiedy indziej z zaproszoną bliską rodziną. Szkoda, że tymczasem nie zdołała pozbyć się wątpliwości.

Przebrana w koszulę nocną podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Z ciemności w sąsiedztwie domu wyłonił się jeździec, podążający w stronę stawu. Instynkt podpowiadał jej, że to Jack. Zaintrygowało ją, dokąd jedzie o tej porze. Czyżby do kochanki?

Odwróciła się plecami do okna i zaciągnęła zasłony. Gdy zdmuchiwała świecę, przybyło jej wątpliwości. Jack wydawał się honorowym człowiekiem, lecz mimo to nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia dla nocnej eskapady. Chyba nie odwiedzał innej kobiety w czasie, gdy składała mu wizytę? Przecież nie była wielką dziedziczką i w ogóle nikim ważnym, więc dlaczego miałby chcieć się z nią ożenić, jeśli nie z miłości? Lucy wiedziała, że musi rozwiązać ten dylemat, zanim zgodzi się dzielić życie z Jackiem.

Rozdział siódmy

Lucy zbudziły rozświetlające pokój promienie słoneczne. Usiadła na łóżku i zobaczyła, że Millie przyniosła jej na tacy gorącą czekoladę, bułeczki i słoiczek miodu.

- Jego lordowska mość pomyślał, że zyczyłaby sobie panienska zjeść śniadanie bez wstawania z łóżka - wyjaśniła służąca. - Nie chciałam panienki budzić, ale pan powiedział, że rano wybiera się panienska na przejażdżkę, więc mogę przynieść tacę o ósmej.

- Już tak późno? - zdziwiła się Lucy, opierając plecy na puchowych poduchach. - To musi być wyjątkowo wygodne łóżko, bo zwykle o tej porze jestem na nogach. Miło, że przyniosłaś mi tyle dobrych rzeczy, ale normalnie czekolada wystarczy, bo śniadanie jem na dole.

- Jego lordowska mość chciał, żeby panienska wypoczęła po długiej podróży.

- Bułeczki wyglądają wyjątkowo apetycznie, Millie. Proszę, powiedz to kucharzowi.

- Dobrze, panienko, na pewno się ucieszy. Za dziesięć minut przyniosę ciepłą wodę, czy tak będzie dobrze?

- Tak, dziękuję.

Lucy nalala czekolady do filizanki i doslodzila ja miodem. Potem zjadla cieple buleczki, rozsmarowujac na nich miód i popijajac je czekolada. Smakowaly wcale nie gorzej niz wygladaly. Gdy Millie wrócila z woda, Lucy juz szczotkowala włosy.

- Co panienka dzisiaj wlozy?

- Zielona suknie podrózna - zdecydowala. - Potrzebuję tez szal i kapelusik z tasiemkami w odpowiednim kolorze. Peliski nie wezme, bo chyba będzie ciepło.

- Nasz stary ogrodnik zapowiedzial kilka pogodnych dni, panienko, a on się nie myli. Mój dziadek zawsze wieszal przed drzwiami wodorosty, ale Rubens ich nie potrzebuje, bo wszystko czuje w kościach. Dolega mu reumatyzm.

- Biedak. Jedna z moich ciotek tez to ma i bardzo z tego powodu cierpi. Są maści, które pomagają.

- Rubens używa smarowidla dla koni, więc zdarza mu się okropnie pachniec - zachichotala Millie. - Proszę mu jednak tego nie powtarzac, bo bardzo go lubię i za nic nie chcialabym go obrazić.

- Wobec tego bedziemy miały sekret. Wczoraj po południu zauwazyłam nad stawem kobietę z dzieckiem i dwoma psami. Nie widzialam ich dokładnie, bo byli za daleko. Czy wiesz, kto to mógł być?

- Nie, panienko - odrzekla Millie, rozkladajac suknie na lozku. - Pewnie ktoś ze wsi, bo oni czasem chodzą przez grunty jego lordowskiej mości, kiedy chcą skrócić sobie drogę na targ.

- Chyba masz rację - przyznala Lucy, choc bez przekonania. Nie podejrzewala jednak pokojówki o świadome kłamstwo, a to znaczyło, że służąca nie wie o kochance i dziecku. - Dziękuję, Millie. Włosy zostawię tak, jak są, możesz już iść.

- Dobrze. Przyjdę potem posprzątać pokój, kiedy panienka wyjdzie.

Lucy skinęła głową. Wiedziała, że musi jak najszybciej zapomnieć o scenie widzianej nad stawem, bo budziła w niej silny niepokój. Całkiem niepotrzebnie.

Kiedy zeszła na dół, zauważyła Jacka rozmawiającego z Drew w salonie.

- Pięknie pani wygląda - powiedział, gdy przekroczyła próg. - Dobrze się spało?

- Nawet bardzo.

- A ja musiałem wyjść, kiedy pani udała się na spoczynek. Wezwano mnie do jednego z dzierżawców, który chciał, abym był świadkiem jego ostatniej woli i potwierdził, że pozwolę jego synom uprawiać ziemię, na której gospodarował.

- Ojej. - Lucy się zawstydzila, bo coś takiego nie przyszło jej do głowy. - To chyba niezbyt przyjemna rola.

- Jako właściciel ziemi mam taki obowiązek - wyjaśnił Jack. - Tom Cartwright był dobrym dzierżawcą, a wiedziałem, że leży na łożu śmierci. Nie spisał wcześniej testamentu. Wielu ludzi uważa, że sporządzenie testamentu na piśmie przyspiesza śmierć. W każdym razie wyraził przy mnie ostatnią wolę i to wystarcza. Umarł otoczony przez rodzinę.

- Przynajmniej miał poczucie, że jest wśród bliskich - powiedziała Lucy. - Przykro mi jednak, że nie spędził pan równie spokojnie nocy, jak ja.

- Jestem przyzwyczajony - zapewnił ją Jack. - W Hiszpanii spaliśmy na gołej ziemi, wykorzystując każdą stosowną chwilę. Wystarcza mi kilka godzin snu na dobę.

- Rozumiem. - Lucy zaczęła się zastanawiać, po co Jack jej to opowiada, lecz rozsądek kazał jej uciszyć nadmierną podejrzliwość. Nie mogła jednak oprzeć się przeświadczeniu, że wieczorem Jack zauważył ją w oknie.

- Gotowa? - spytał i skinął głową Drew. - Zobaczmy się później. Możesz tymczasem porozmawiać z moim rządcą o sprawie, która cię interesuje. Na pewno chętnie wszystko ci pokaże.

Lucy opuściła pokój, a Jack za nią. Czekala na nich ta sama kariolka, co zwykle, tym razem jednak zaprzężona w dwa piękne kasztany. Wydawały się znacznie żywsze niż konie, z którymi Lucy miała dotąd do czynienia.

- Wspaniałe zwierzęta! - powiedziała. - Jak mają na imię? - Podeszła do koni i pogłaskała oba po chrapach. Parskały i rzucały głowami, wyraźnie spragnione ruchu. - Czy na pewno chce pan, abym nimi powoziła?

- Myślę, że jest pani do tego przygotowana. Radza i Rdzawy mają temperament, ale są dobrze ułożone. Najpierw ja wezmę wodze, żeby wyładowały trochę energii, a potem może pani mnie zmienić, oczywiście, jeśli tego chce.

- Tak, bardzo proszę. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że pozwoli mi pan powozić takimi pięknymi końmi.

- Dlaczego nie? - zdziwił się i pomógł jej wsiąść. - Czy nie wie pani, że dałbym jej wszystko, o co poprosi?

- Jack... - Lucy mimo woli rozchyliła wargi, bo kiedy patrzył na nią tak jak teraz, zdawało jej się, że za chwilę roztopi się z miłości. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Tymczasem nic - odparł. - Wie pani, czego od niej oczekuję, ale nie zamierzam naciskać. Mamy mnóstwo czasu. Teraz wybieramy się na przejażdżkę, tak jak w Londynie.

Lucy zajęła miejsce na koźle. Wiedziała dobrze, że tu jest inaczej niż w mieście. Obecność Jacka wywierała na niej coraz silniejsze wrażenie. Ponieważ jednak nie próbował on przekraczać powszechnie przyjętych zasad, stopniowo odzyskała spokój i w końcu mogła przejąć wodze.

Powożenie również wyglądało inaczej niż w mieście. Nie było niebezpieczeństwa niespodziewanej kolizji z innym pojazdem, mogła więc pozwolić koniom na kłus, zamiast trzymać je w nużącym ściepie. Oczy jej lśniły, na policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Przeżycie było naprawdę

ekscytujące. Rozpierała ją duma, że potrafi poradzić sobie również z trudniejszymi końmi.

- To było cudowne - powiedziała, gdy w końcu się zatrzymali, i Jack pomagał jej zsiąść. Trzymał ją przy tym w talii i Lucy miała nadzieję, że może teraz dojdzie do pocałunku. Nic takiego jednak się nie stało, tym bardziej że zobaczyła wychodzącego z domu Drew. - Pójdę już, szwagier, zdaje się, chce z panem o czymś porozmawiać.

Okazało się jednak, że Drew wyszedł właśnie do Lucy. Podczas jej nieobecności przyjechała pani Horne i chciał ją o tym zawiadomić.

- Mama?! - Lucy spojrzała na Jacka. - Muszę zaraz do niej iść. Nie spodziewałam się, że dotrze tak szybko.

- Jest w salonie - poinformował Drew. - Pewnie widziała, jak nadjeżdżasz.

- Dziękuję. - Nie zważając na dżentelmenów, Lucy pobiegła do domu. W salonie były również Marianne i lady Staunton. - Mama! Jak to dobrze, że przyjechałaś!

- Lucy, moja najdroższa. Marianne powiedziała mi, że pojechałaś z lordem Harcourtem. Przejazdźka się udała, jak widzę.

- Nawet bardzo. Takimi pięknymi końmi jeszcze nie powoziłam. Jack uznał, że jestem gotowa, aby zaprosić na przejażdżkę panią, Amelio.

- To w ustach mojego brata wielki komplement - zauważyła lady Staunton. - Minęło wiele czasu, nim pozwolił mi powozić swoimi końmi, i to nie tak ostrymi, jak te kasztany. Musi pani mieć wyjątkowy talent do powożenia.

- Rzeczywiście - przyznał Jack, który właśnie wszedł do salonu. - Pani Horne, witam i cieszę się, że mogła pani do nas dołączyć. Proszę wybaczyć, że zjawiam się dopiero teraz, ale moja siostra z pewnością troskliwie się panią zajęła.

- O, tak. A ja bardzo się cieszę, że mogłam przyjąć pańskie zaproszenie. Lady Edgeworthy czuje się znacznie lepiej i nalegała stanowczo, abym wyruszyła w drogę. Zdaje się, że jestem nawet przed listem, który wysłałam.

- Tym bardziej cieszymy się z miłej niespodzianki - rzekł z galanterią Jack. - Amelio, poleć, proszę, przynieść przekąski. Przepraszam, mam pilną sprawę do załatwienia, ale wkrótce wrócę i też coś zjem.

- Proszę nie odrywać się od swoich zajęć - zastrzegła się pani Horne. - Może później znajdzie pan czas na chwilę rozmowy.

- Będę do pani dyspozycji po południu. A teraz zechcą mi państwo wybaczyć. - Z tymi słowami wyszedł, zabierając ze sobą Drew.

- Jack jest bardzo sumiennym gospodarzem - pochwaliła brata Amelia. - Ma poczucie, że w czasach służby u Wellingtona zaniedbał sprawy majątku, teraz chce wszystko doprowadzić do porządku. O ile wiem, pracuje nad niejednym. Remontuje domy dzierżawców i robotników, wprowadza nowe metody uprawy i na tym nie koniec.

- Właśnie tym najbardziej interesuje się Drew - wyjaśniła Marianne. - Wydajnymi metodami uprawy. To jest zupełnie nowa szkoła myślenia. Można uzyskać większe zbiory, nie wyjaławiając ziemi.

- Muszę przyznać, że nic na ten temat nie wiem - powiedziała pani Horne. - Bertha wydzierżawiła grunty orne. W zeszłym roku udało jej się ponownie otworzyć kopalnię i jak to tej pory wydobywanie jest bardzo obiecujące.

W tym momencie weszła gospodyni, a za nią dwie służące z tacami pełnymi przekąsek i ciastek.

- O, mamy co jeść - zauważyła Amelia. - Dziękuję, pani March, z przyjemnością się posilimy.

Lucy wstała, aby pomóc przy podawaniu filiżanek i talerzyków. Popijając herbatę i pogryzając słodki biszkopik, pograżyła się w rozmyślaniach. Wiedziała, że mama będzie chciała poznać jej decyzję, tymczasem ona trwała w rozterce.

- I co, kochanie? - spytała pani Horne, gdy poszły na górę nieco się ogarnąć. - Czy już zdecydowałaś?

- Chyba mogłabym - odparła szczerze. - Kocham go, mamó, ale nie zapomniałam twojej przestrogi.

- Przemyślałam tę kwestię. Wciąż uważam, że ze ślubem należy poczekać, powiedzmy trzy miesiące. Mogę jednak zgodzić się na natychmiastowe zaręczyny. Te opowieści to zwykłe plotki, Lucy, a chociaż pogłoska o dziecku może być prawdziwa, to ze słów Marianne wynika, że Jack nie należy do ludzi, którzy utrzymywaliby romans po ślubie. Kiedy rozmawiałyśmy, akurat snuto na jego temat różne domysły, nie wykluczam więc, że wydałam nazbyt surowy osąd.

- Mam o Jacku podobne zdanie. Pewna dama, której nazwiska tu nie wspomnę, oświadczyła mi, że była jego kochanką i że historia o dziecku jest prawdziwa. Ja jednak nie wierzę, że Jack wciąż kocha jego matkę. On kocha mnie, ja to czuję, mamó. Uważam, że dopóki nie spotyka się z matką, dziecko powinnam akceptować.

- Chyba więc nic nie stoi na przeszkodzie, aby ogłosić wasze zaręczyny, prawda?

Lucy zastanawiała się jeszcze chwilę, po czym odrzekła:

- Nie, mamó. Naprawdę bardzo kocham Jacka. Wiedziałam o tym już w Londynie, a tu przekonałam się także, jakim uczuciem darzy siostrę i w jaki sposób odnosi się do swoich ludzi. W tej sytuacji uznałam, że powinnam zostać jego żoną.

- Wobec tego jeśli lord Harcourt mnie zapyta, wyjawię mu swoją opinię w tej kwestii. - Pani Horne uściskała córkę. - Ciesz się twoim szczęściem. To bardzo przyzwoity człowiek i wiem, że będziesz kochana. A to, uwierz mi, jest największym darem, jaki kobieta może otrzymać od życia.

Zmiana poglądów matki wywarła duży wpływ na Lucy. Jej rozterki zaczęły się wszak od przestrogi pani Horne. Postanowiła nie myśleć więcej o sprawach, które mogą zniszczyć jej wielką szansę.

Po kolacji, kiedy wszyscy zeszli się w salonie, Jack spytał Lucy, czy chciałaby zerknąć na rodzinne portrety. Natychmiast na to przystała, wyczuwając, że to tylko pretekst do krótkiego sam na sam. Wkrótce znaleźli się przed wizerunkami dawno zmarłych Harcourtów. Jak przypuszczała, Jackowi istotnie nie w głowie było przedstawianie ich dziejów.

- Pani mama powiedziała mi, że zgadza się na zaręczyny i na ślub za trzy miesiące - zaczął, zatrzymując uważne spojrzenie na jej twarzy. - Czy i pani, najdroższa, jest tego samego zdania? Na pewno wie pani, jak bardzo ją kocham, bo trudno tego nie zauważyć. Wyświadczy mi pani wielki zaszczyt, jeśli zgodzi się zostać moją żoną.

Lucy ani na chwilę nie odwróciła wzroku.

- Wiem, że darzy mnie pan silnym uczuciem, i muszę wyznać, że ja też pana pokochałam. Poślubię pana, Jack.

- Czy mogę powiadomić pani rodzinę, że zgodziła się pani zostać moją żoną?

- Tak. - Lucy była przekonana, że bez Jacka nie mogłaby być szczęśliwa.

- To znaczy, że uczyniła mnie pani najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - wyznał i wreszcie ją objął. Początkowo ich wargi ledwie się stykały, poznawały się ostrożnie, stopniowo jednak pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, aż w końcu Lucy ogarnęło wrażenie, że stanie się częścią Jacka. W końcu jednak Jack się odsunął i pogłaskał ją po twarzy. - Chyba na razie musimy się tym zadowolić, bo inaczej na pewno nie doczekam trzech miesięcy do ślubu. Uwielbiam cię, moja najdroższa Lucy, i pragnę cię mieć całą.

- Bardzo cię kocham, Jack. - Oczy Lucy rozjaśnił blask. - Wiem, że wydaję ci się dziecinna i zanadto zależna od mamy, ale chcę być twoja tak bardzo, jak tylko można. Naucz mnie być żoną, jakiej pragniesz. Prowadź mnie

po drodze do naszych wspólnych rozkoszy. Nie chciałabym, abyś w noc poślubną przyszedł do żony, która zupełnie nie wie, czego mąż od niej oczekuje.

- Tak będzie najlepiej, kochanie - zgodził się Jack. - Wiem, Lucy, że drzemie w tobie namiętność, ale rzeczywiście nie powinniśmy się spieszyć z jej rozpalaniem. Cieszę się z tego trzymiesięcznego okresu narzeczeństwa, będziemy bowiem spędzać razem jak najwięcej czasu i w ten sposób lepiej się poznamy.

- Powinniśmy oznajmić nowinę mamie i Marianne, które na pewno na to czekają.

Jack sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyjął aksamitną sakiewkę, z której wydobył pierścionek w kształcie stokrotki z brylantów oprawionych w srebro na złotej obrączce. Okazało się, że na palec Lucy pasuje idealnie.

- Proszę go wziąć i nosić - powiedział Jack. - Nie nosiła go nigdy żadna kobieta, należy wyłącznie do ciebie. Klejnoty Harcourtów są zdeponowane w banku, wiele z nich jest bardzo wiekowych. Trzeba będzie je przerobić tak, aby na ciebie pasowały. Niektóre zresztą należały do dam, których raczej lepiej nie naśladować. - Uśmiechnął się szeroko i wskazał portret pięknej kobiety w naszyjniku z rubinów. - Była jedną z wielu faworyt Karola II i to jej zawdzięczamy część majątku Harcourtów, bo miała też innych kochanków.

- Musiała wieść dość barwne życie - stwierdziła żartobliwie Lucy. - Chętnie jeszcze odwiedzę twoich przodków któregoś dnia, Jack, myślę jednak, że teraz powinniśmy wracać, bo mama na pewno siedzi jak na szpilkach.

- Nie każemy jej czekać dłużej. - Jack ujął ją za rękę. - Chodźmy, kochanie, przekazemy naszym rodzinom szczęśliwą nowinę.

Tego wieczoru Lucy kładła się do łóżka w bardzo radosnym nastroju, w uszach wciąż dźwięczały jej gratulacje i życzenia. Jack zamierzał dać wkrótce ogłoszenie w „Timesie”, najpierw jednak należało wysłać listy do Jo i Hala oraz do ciotki Berthy.

- Napiszę do twojego wuja Wainwrighta - powiedziała pani Horne, gdy mówiły sobie z Lucy dobranoc. - Wuj zawsze postępował wobec nas życzliwie, więc na pewno zechcesz zaprosić go, wraz z żoną, na swój ślub.

- Naturalnie, bardzo lubię wuja Wainwrighta.

- Chyba tak - przyznała pani Horne. - Jo i Hal zapragną do nas przyjechać. Czy Jack nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli ją zaproszę?

- Jack na pewno chętnie powita całą moją rodzinę. Mam nadzieję, że kiedy już zostanę jego żoną, będziesz mnie często odwiedzać, podobnie jak siostry i naturalnie ciotka Bertha.

- I pomyśleć, że kiedyś się martwiłam, co wyrośnie z moich córek! - Pani Horne pokręciła głową z niedowierzaniem. - Kiedy papa umarł i musiałyśmy opuścić plebanię, nie bardzo wiedziałam, co robić, na szczęście wszystko ułożyło się jak najlepiej i teraz nie muszę się już niczym kłopotać.

- To dobrze, mam. - Lucy cmoknęła ją w policzek - Jutro Jack załatwia sprawy w mieście, ale ja i tak muszę wstać wcześniej. Amelia obiecała wziąć mnie na konną przejażdżkę. Jack ma podobno konia, który nie zrobi mi krzywdy, a ja chętnie poprobuję, bo od czasów podarowanego mi przez papę kucyka nie siedziałam w siodle.

- Naturalnie. Dobranoc, moja droga.

Lucy wróciła do sypialni, podśpiewując pod nosem. Odesławszy Millie, podeszła do okna, aby zerknąć na wieczorny ogród. Już miała się położyć, gdy jej uwagę przykuł jakiś ruch.

Spod domu wyruszył jeździec, podobnie jak poprzednio.

Co Jack robił o tej porze? Przecież nie jechał znowu do umierającego. Zmarszczyła czoło. Okazało się, że wątpliwości wcale się nie rozwiały, mimo że próbowała o nich zapomnieć. Nawet jeśli wiedziała, że przemawia przez nią zazdrość, nic na to nie mogła poradzić.

Chyba nie całowałby jej i nie podarował takiego pięknego pierścionka, gdyby zamierzał spędzić noc z kochanką? Nie, nie wolno jej tak myśleć.

Niezaprzeczalnie jednak Jack miał sekret, który chciał przed nią ukryć. Nie była pewna, czy odważy się spytać go o to wprost. Zresztą powinna mu ufać i poczekać, aż sam będzie gotów wyjawić jej prawdę.

Następnego ranka Lucy odbyła lekcję jazdy konnej z Amelią. Pierwsze doświadczenia, zdobyte na kucyku, musiały się utrwalić, w siodle bowiem czuła się całkiem pewnie. Na wszelki wypadek Amelia zdecydowała, że na razie nie będą wyjeżdżać poza park.

- I tak wieczorem pewnie wszystko będzie panią bolało, Lucy - powiedziała. - Jazdę najlepiej ćwiczyć stopniowo, aby uniknąć niepotrzebnych dolegliwości.

Lucy nie zaprotestowała, choć chętnie wyprawiłaby się nieco dalej. Ciekawa była, jak wygląda teren za stawem i ciągnący się tam las.

Popołudnie było pogodne, Amelia poleciła więc służbie wynieść krzesła do rozarium, żeby panie mogły posiedzieć w miłym otoczeniu. Wyglądało na to, że lato zaczyna wreszcie dawać o sobie znać.

Po pewnym czasie Lucy odłączyła się od towarzystwa i ruszyła w stronę stawu. Zamierzała odbyć krótki spacer i zawrócić, ale ciekawość popychała ją naprzód. Nad wodą znowu zobaczyła czarne łabędzie. Stado pływało niedaleko brzegu. Pożałowała, że nie ma chleba, którymi mogłaby je nakarmić. Właśnie wtedy zobaczyła kobietę z cztero- a może pięcioletnim chłopcem. Stanęli na przeciwległym brzegu i zaczęli rzucać okruchy kaczkom. Wyglądali tak, jakby robili to często. Łabędzie, najwyraźniej zainteresowane pokarmem, podплыły do brzegu.

Lucy usłyszała radosny śmiech dziecka. W pewnej chwili odniosła wrażenie, że chłopiec ją zauważył, więc uniosła rękę i pomachała mu na powitanie. Odpowiedział tym samym gestem, ale kobieta odebrała małemu resztę chleba, rzuciła go do wody i wbrew jego protestom zaczęła ciągnąć dziecko, próbując nakłonić je do odejścia.

- Proszę go nie zabierać! - zawołała Lucy.

Trudno powiedzieć, czy ją usłyszano, w każdym razie kobieta nie zareagowała i dalej holowała opierającego się malca. Lucy wracała do rozarium głęboko zamyślona. Wyglądało na to, że tych dwoje rzeczywiście przyszło tutaj bez pozwolenia, bo czy w innym przypadku kobieta zmuszałaby dziecko do odejścia?

Postanowiła sobie stanowczo, że nie będzie wiązać tej sprawy z Jackiem. Zobaczyła go zresztą wkrótce, gdy dołączyła do matki i siostry. Akurat wychodził z domu i przesłał jej pokrzepiający uśmiech.

- Pospacerujemy przed kolacją? - spytał Jack nieco później. - Właśnie podano podwieczorek i wszyscy poza nimi wrócili do domu. - Chyba nie byłeś w domku letnim, prawda?

- Rzeczywiście nie, chociaż widziałam go z kariolki, kiedy odbywaliśmy przejażdżkę, wydaje mi się, że trzeba iść w tamtą stronę. - Lucy wskazała w kierunku przeciwnym do stawu. - Chętnie go obejrzę, ale wkrótce musimy wrócić, bo trzeba się przebrać do kolacji.

- Mamy całą godzinę - powiedział takim tonem Jack, że Lucy poczuła ekscytujący dreszczyk. Ułożył sobie na ramieniu jej rękę i ruszyli. - Rozmawiałem dzisiaj z architektem. Chcę przed ślubem odnowić nasze pokoje. Doszedłem z nim do porozumienia, więc przyjdzie jutro, żebyśmy mogli mu wyjaśnić, jakich zmian oczekujemy. Jeszcze nie widziałaś pokoi pana domu. Używam ich rzadko, bo wolałem dotąd inne pomieszczenia, ale możemy tam wprowadzić wszelkie zmiany, jakie przyjdą nam do głowy.

- Bardzo chętnie nad tym pomyślę, tym bardziej że mam u ciotki Berthy sporo rzeczy do przewiezienia. Poza tym ciekawym zadaniem jest dobór kolorów, choć, prawdę mówiąc, w pokoju, który teraz zajmuję, wywiązałaś się z niego doskonale i nie wiem, czy potrafię ci dorównać.

- Możesz zdecydować się na podobną kolorystykę. Chcę, żebyś dobrze czuła się w swoim domu, więc weźmiemy się za jego urządzenie niemal od razu. Dopilnujemy początku robót, a potem prawdopodobnie będziesz chciała

wrócić na trochę do rodziny. Podejrzewam, że wolałabyś, aby ceremonia ślubna odbyła się w dobrze ci znanym miejscu. Chyba że masz ochotę na wielkie wydarzenie w Londynie?

- Nie. Zdecydowanie wolę cichy ślub w gronie bliskich. - Lucy rozejrzała się dookoła. - W parku jest teraz dużo chłodniej niż po południu... - Urwała. Uznała, że nie będzie więcej wspominać o kobiecie z dzieckiem.

- Chyba nie jest ci zimno? - Jack spojrzał na nią zatroskany. - Może otulić cię płaszczem, kochana?

- Nie, dziękuję. Nie trzeba.

Nagle Jack ją objął, przez chwilę tylko trzymał przy sobie, a potem pocałował. Lucy rozchyliła wargi i poddała się doznaniu, które ogarniało ją z coraz większą mocą. Czowała, jak bardzo pragnie Jacka. On tymczasem całował jej szyję i stopniowo przesuwiał usta coraz niżej. Rozsunął cienki muślin sukni i zaczął okrywać pieszczotami odsłoniętą część piersi.

- Lucy, kochana - szepnął. Zachwyciło go, że tak ochoczo mu się poddaje. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli posunie się za daleko, nie napotka oporu. - Musimy przerwać, bo inaczej nie będę w stanie doczekać nie tylko do ślubu, ale nawet do jutra.

- Och, Jack. Kiedy tak mnie dotykasz i całujesz, i ja nie chcę czekać.

- Powoli, kochanie. Mam cię przecież po trochu wprowadzać w tajniki miłości, żebyś nie obawiała się niczego po ślubie. Wydaje mi się jednak, że szczególnie potrzebujesz nauki, bo wszystko podpowiada ci instynkt.

- Chyba tak. - Roześmiała się cicho. - Może wcale nie musimy z tym zwlekać?

- Nie wiesz, o czym mówisz. To moja wina. Pragnę cię, Lucy, ale za bardzo kocham, żeby przekroczyć granicę. Poczekamy do ślubu, bo gdyby tymczasem stało się coś złego...

- Wolał nie rozwijać tego tematu. - Bardzo cię pragnę, lecz nie nadużyję twojego zaufania, które niezwykle mi schlebia. Lucy spojrzała na niego z

zachwytem. Jak mogła podejrzewać go o odwiedzanie kochanki? Byłaby głupia, gdyby w niego wątpiła. Przecież już nieraz dowiódł swojej miłości.

Przez następne dwa dni Lucy nieustannie znajdowała się w towarzystwie Jacka. Architekt okazał się niedużym, kapryśnym człowieczkiem o oliwkowej karnacji, z wielkim czarnym wąsem. Włoch wyjaśniał swoje poglądy, obszernie gestykulując, a gdy zapalał się do czegoś, jego ruchy stawały się nad wyraz gwałtowne. Przyniósł rysunki i próbki tkanin w tylu odcieniach, że wprowadził Lucy w zakłopotanie.

Jack zaprowadził ich do pokoi, które po ślubie miała dzielić młoda para. Salonik, wyjątkowo przyjemny, znajdował się we frontowej części domu, przylegały do niego dwie sypialnie, prawie tak duże jak w domu ciotki Berthy. Obie miały po trzy okna, dwa od tyłu i jedno od frontu, wpadało więc do nich dużo światła, co potęgowało wrażenie przestronności.

- Zaczniemy, myślę, od fryzu, z którym pokój pani domu nie będzie wyglądał pospolicie - uznał signor Manzarini. - Sufit damy jasnoniebieski, ściany okleimy pasiastą jedwabną tapetą w nieco intensywniejszym odcieniu, a meble niech będą kremowe ze złoceniami.

- To dobry pomysł - przyznała Lucy, odczuwając potrzebę korzystania ze światłych porad, lecz i wyrażenia własnego zdania. - Chciałabym jednak mieć gdzieś trochę różu, bo to mój ulubiony kolor.

- Proszę bardzo, róż dla pięknej młodej damy - potwierdził architekt, energicznie kiwając głową. - Myślę, że wykorzystamy go w zasłonach i kapie na łóżko, co państwo na to?

- Może tak - zgodziła się Lucy. - Czy zostawi nam pan na jakieś dwa dni próbki materiałów, signor Manzarini? Chciałabym się dobrze zastanowić.

- Proszę bardzo. - Włoch wydawał się usatysfakcjonowany. - To bardzo osobiste decyzje, nie należy się z nimi spieszyć. Teraz zajmiemy się pokojem lorda Harcourta.

Szczegóły sypialni Jacka udało się ustalić szybciej. Wszyscy zgodzili się na tonację granatowo-złoto-czerwoną, która była wytworna, lecz zarazem bardziej męska w charakterze niż odcienie pastelowe.

Po kilku godzinach rozmów o meblach i tkaninach signor Manzarini poszedł, obiecawszy wrócić za dwa dni. Po południu Jack wziął Lucy na przejażdżkę. Tym razem powoził sam, a Lucy przyglądała się karoszom i przyznawała w duchu, że wymagają męskiej ręki. Nie miało to zresztą znaczenia, wiedziała bowiem, że zawsze kiedy zechce, może poprosić służbę o przygotowanie kariolki i do woli jeździć po majątku.

Jednak dopiero trzy dni później Lucy zdecydowała się skorzystać z tej możliwości i wyruszyć na samotną przejażdżkę.

Szczegóły odnawiania pokoi zostały ustalone, a prace rozpoczęły się z dnia na dzień. Jack z Drew pojechali sprawdzić coś związanego z nowymi metodami uprawy, które zyskiwały coraz większą popularność wśród wykształconych właścicieli ziemskich.

Marianne spędzała czas z Andrea, mocno rozkapryszoną z powodu kolejnego ząbka, natomiast pani Horne pomagała Amelii w porządkowaniu pokoju gościnnego, przygotowywanego na przyjazd Jo i Hala. Również Lucy próbowała pomóc, usłyszała jednak, żeby skorzystała z ładnej pogody i wybrała się na spacer.

Lucy postanowiła wziąć kariolkę i sprawdzić, jak wygląda część majątku po drugiej stronie stawu. Wydawało jej się dziwne, że zarówno Amelia, jak i Jack zdawali się unikać tego kierunku, kiedy jej towarzyszyli. Odnalazła drogę wzdłuż brzegu i wkrótce dotarła do krawędzi lasu, gdzie odkryła przetarty szlak, na tyle szeroki, że pozwoliła koniom na kłus. Za lasem ujrzała dom.

Prawdopodobnie służył wdowom po zmarłych właścicielach majątku. Był duży, ceglany i bez wątplenia nie tak stary, jak sam dwór. Od frontu miał duży, starannie utrzymany ogród. Mijając go, zobaczyła chłopca, bawiącego się

drewnianym koniem na kiju. Zainteresowana zatrzymała zaprzęg. Malec podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej, po czym podbiegł do furtki.

- Dzień dobry pani - powiedział. - Czy pani przyjechała, żeby ze mną się pobawić?

- Nie dzisiaj - odparła z uśmiechem Lucy. - Ale to dobry pomysł. Może kiedy indziej spróbuję.

W drzwiach pojawiła się młoda kobieta ubrana w suknię, która choć elegancka, nie wskazywała na damę, była bowiem zbyt jaskrawa i wymyślna. Może zresztą i kobieta pochodziła z obcych stron, bo gdy zawołała małego, jej akcent zabrzmiał obco.

- Chodź do środka, Antonio! Wiesz, że nie powinieneś się tutaj bawić.

- Och, dlaczego mu tego zabraniać? - powiedziała Lucy. - To taki ładny chłopiec. Przecież nie zrobię mu krzywdy, chciałam się tylko przywitać.

Kobieta podeszła do malca i położyła mu rękę na ramieniu. Miała ciemne, pałające złością oczy. Za nią pojawiły się na dworze dwa psy, które zaczęły ujadać. Lucy musiała uspokajać konie, spłoszone szczekaniem.

- Nie chcemy tutaj gości - oznajmiła kobieta i popchnęła chłopca w stronę domu. - Proszę odjechać. Nie jest pani tutaj mile widziana.

- Przepraszam, nie chciałam być natrętna.

Lucy odjechała zafrasowana. Dlaczego kobieta zachowała się tak wrogo i dlaczego ukryła przed nią chłopca? Była prawie pewna, że właśnie tych dwoje widziała już dwukrotnie wcześniej. Przez cały czas starała się wyrzucić ich z myśli, chyba jednak nie było innego wyjścia, jak spytać o nich Jacka.

- Zaciekawilo mnie, kim są - kończyła swą relację Lucy, gdy wieczorem zostali z Jackiem we dwoje. - Chyba widziałam ich wcześniej na terenie majątku, ale kobieta odnosi się do mnie bardzo wrogo. Oświadczyła, że nie życzy sobie żadnych gości.

- Ach, to jest Rosa - odrzekł Jack. - Mieszka tam z dzieckiem i na pewno mogłaś ich już widzieć, bo ten dom należy do mnie.

Odpowiedź sprawiła na niej wrażenie wymuszonej.

- Kim są ci dwoje i dlaczego mieszkają w twoim majątku?

- To jest dziecko mojej dalekiej kuzynki - odrzekł Jack, unikając jej wzroku. - Urodziła je, gdy była jeszcze bardzo młoda, i chciała mieć pewność, że niczego mu nie zabraknie. - Jack zmarszczył czoło. - Dałem więc dom dziecku i piastunce. Czy jest w tym coś złego?

- Nie, naturalnie, że nie - odparła Lucy, nie umiała jednak ukryć urazy, ponieważ wiedziała, że Jack kłamie. Gdyby odpowiedź była naprawdę tak prosta, mógł jej udzielić za pierwszym razem. - Zainteresowało mnie, co robią w tym domu, i tyle.

- Już wiesz - odparł z lekkim zniecierpliwieniem. - A jeśli mi nie wierzysz, proszę spytać mojej siostry.

- Nie zamierzam! - obruszyła się Lucy. - Nie widzę powodu, dla którego miałbyś mnie okłamywać, Jack. Chciałabym, żebyś zawsze mówił mi prawdę. Jestem gotowa znieść niejedno, byleś nie kłamał.

- I na tym zakończmy ten temat.

Wyciągnął ku niej ramiona. Pocałunek był bardzo namiętny. Lucy opierała się przez chwilę, zdawała sobie przecież sprawę, że złość Jacka jest następstwem kłamstwa.

Jednak jej ciało popełniło zdradę i całkiem pozbawiło ją woli oporu. Intymność pieszczot Jacka była daleko większa niż poprzednio, wyraźnie czuła całe jego ciało, gdy szeptał, wtulając wargi w jej szyję.

- Uwielbiam cię, Lucy. Żadna kobieta nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Uwierz mi, proszę, kiedy mówię ci, że nigdy nie okłamałbym cię w niczym, co dotyczy nas obojga. Nie zdradzę cię, kochanie, uwierz w to. Jestem twój tak samo, jak ty jesteś moja.

Jak mogła wątpić w jego miłość, słysząc tak namiętne wyznania? A jednak była pewna, że skłamał. Krył się w tym sekret, a ona chciała go poznać.

Rozdział ósmy

Lucy wyczuwała, że Jack trochę się od niej odsunął. Wciąż zachowywał się nienagannie, dbał o jej wygodę i rozrywki, czegoś jednak nagle zabrakło. Nie było ukradkowych śmiałych spojrzeń, które robiły na niej tak wielkie wrażenie, częściej za to Jack popadał w zadumę.

Zbudziwszy się wcześniej po źle przespanej nocy, Lucy ubrała się i zeszła na dół. Czowała potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, wyszła więc na taras. Było dość chłodno, choć słońce dawało znaki, że być może później zdecyduje się wyjrzeć. Orzeźwiona lekkim podmuchem ruszyła w stronę stawu. Poprzedniego dnia schowała kawałek chleba, którym chciała nakarmić łabędzie.

Tego dnia pływały przy przeciwległym brzegu, ale gdy Lucy zaczęła karmić kaczki, również dostojne czarne ptaki zaczęły sunąć w jej kierunku. Uśmiechnęła się, patrząc na ich wyciągnięte szyje. Wydawało się, że domagają się daniny, cisnęła im więc trochę okruchów.

Nad stawem panował idealny spokój i dopiero po kilku minutach Lucy zorientowała się, że nie jest sama. Ktoś obserwował ją z przeciwległego brzegu. Tym razem był to mężczyzna ubrany w ciemną koszulę, rozpiętą pod szyją, spodnie do konnej jazdy i wysokie buty. W dłoni trzymał szpicrutę. Z pewnością nie był to Jack. Odwróciła się doń plecami, choć bardzo ją intrygowało, kto i dlaczego jej się przygląda. Mężczyzna nie wyglądał na robotnika z majątku i nawet nie wydawał jej się Anglikiem. Raczej cudzoziemcem.

Wracając do domu, spotkała Jacka, idącego z naprzeciwka. Był w stroju do jazdy konnej, a Lucy przemknęło przez głowę, że może i on miał kłopoty ze snem.

- Wczesnie wstałaś, Lucy.

- Tak, lubię czasem odbyć poranną przechadzkę. Wieczór był zdecydowanie ciepły, za to rankiem jest chłodno.

- Po południu znów powinno zrobić się upalnie. Byłaś nad wodą?

- Tak, zniosłam chleb łabędziom. To wspaniałe ptaki. Któregoś dnia muszę sprawdzić, czy zdołam podejść dostatecznie blisko, by pokarmić jelenie.

- Łowczy przekazał mi wiadomość, że ma szczeniaki, a ja potrzebuję psa na polowanie, bo Brutus powinien mieć towarzystwo. - Jack popatrzył na nią zamyślony. - Chciałabyś pomóc mi w dokonaniu wyboru? Moglibyśmy iść razem.

- Dziękuję, chętnie. - Lucy czuła się trochę zakłopotana. - Jakie to są psy?

- Do pracy, myślę, że mieszańce. Na pewno nie będą się nadawać na ulubieńców damy, ale gdybyś zapragnęła mieć psa, możemy poszukać spaniela.

- Nie, nie. Wolę właśnie takie psy, o jakich wspomniałeś. Hal miał czarnego labradora. Wyjaśnił mi, że u nas to nowa rasa, przywieziona zaledwie przed kilkoma laty przez rybaków z Nowej Fundlandii. To chyba dobre psy do polowania, a poza tym bardzo łagodne.

- Znów mnie zaskakujesz. - Na wargach zaigrał mu zagadkowy uśmiech. - Musimy spytać łowczego, co sądzi o labradorach, on na pewno będzie wiedział, czy są jakieś w okolicy.

- Nie kieruj się tak bardzo tym, co mówię. Nie znam się dobrze na psach. - Lucy nieznacznie się zarumieniła.

- Ale jesteś spostrzegawcza, prawda? Potrafisz niejedno zauważyć i pamiętasz, co inni powiedzieli. Kiedy się poznaliśmy, wydałaś mi się pięknym motylem przelatującym z jednego przyjęcia na drugie. Okazało się, że się myliłem. Masz refleksyjną naturę. Niestety, czasem poświęcasz pewnym kwestiom więcej uwagi, niż na to zasługują. - Plasnął szpicrutą o cholewę buta. - Idę pojeździć, ale jeśli wyszykujesz się w ciągu godziny, możemy odwiedzić łowczego w domku myśliwskim.

- Na pewno będę gotowa - obiecała Lucy.

Do domu wracała poruszona. Co Jack miał na myśli? Czyżby wyobrażał sobie, że jego narzeczona jest głupiutką panną, którą łatwo sobie owinać wokół

małego palca? Może właśnie dlatego poprosił ją o rękę? Czy chciał zachować całkowitą swobodę i utrzymać wszystko w tajemnicy przed naiwną żoną?

Jack szedł do stajni z marsową miną. Z każdym dniem Lucy zaskakiwała go coraz bardziej. Uwagi, jakie czyniła na różne tematy, były głębsze, niż się spodziewał, a spostrzeżeniom nie można było odmówić trafności. Musiał przyznać, że mu się to podoba. Już myślał, że znalazł się w pazurkach uroczonego kociątka, stopniowo jednak nabierał coraz więcej szacunku. Lucy wyraźnie dojrzała jako kobieta od czasu, gdy przyjechała do niego z wizytą. A może po prostu bardziej się otworzyła.

Coraz mocniej ją kochał. Nie chodziło o pożądanie, które dręczyło go, gdy leżał samotnie w łóżku i wyobrażał sobie, że Lucy się do niego przytula. Dzień w dzień budził się stęskniony za jej uśmiechem, chciał słyszeć oznaki jej radości i widzieć skupienie, z jakim słuchała innych. Taka bystra panna prędzej czy później odkryje obecność Rosy i Anthony'ego, to wydawało się nieuniknione.

Jack nie spodziewał się jednak, że dojdzie do tego tak szybko. Miał nadzieję utrzymać sekret nieco dłużej, ponieważ wciąż nie mógł powiedzieć Lucy prawdy. Powinien był wyjawić ją przed zaręczynami, teraz łudził się, że zrobi to przed ślubem. Kłamstwa ciążyły mu niemiłosiernie. W dodatku Lucy zdawała sobie z tego sprawę, co oczywiście psuło ich wzajemne stosunki. Niestety, na razie nie mógł nic na to poradzić.

Przysiągł kiedyś, że zajmie się Anthonym i zamierzał dotrzymać danego słowa. Nie było mowy o ujawnieniu tajemnicy pochodzenia chłopca. Jack go polubił i chętnie czasem odwiedzał. Może jednak powinien był odesłać Rosę z dzieckiem, zanim zaprosił Lucy?

Zobaczył, że stajenny prowadzi mu konia. Przecież proponował Rosie, żeby znalazła sobie inny dom, nie gorszy od tego i ładnie położony, może bliżej jakiegoś miasta. Zaczęła wtedy płakać i błagać go, aby ich nie odsyłał. Ustąpił, przynajmniej na razie.

Dosiadł konia wciąż targany wątpliwościami. Tutaj sprawował pieczę nad dzieckiem, widział, że jest zadbane i szczęśliwe. Nie miałby tej pewności, gdyby znalazło się gdzieś dalej. I dylemat wciąż go dręczył. Nie mógł przecież zlekceważyć złożonej kiedyś przysięgi, ale groziło to rozstaniem z kobietą, którą pokochał.

Tego przedpołudnia Lucy spędziła z Jackiem bardzo miłe godziny. Pojechali na spotkanie z łowczym Briggsem, wysokim mężczyzną, ubranym w przetarte spodnie i surdut, który pamiętał lepsze czasy. Z jego sposobu mówienia i zwracania się do Jacka, którego nazywał „kapitanem Harcourtem”, Lucy wywnioskowała, że ma przed sobą weterana kampanii napoleońskiej.

- Są dwa szczeniaki, które mogą się panu nadać, kapitanie - poinformował. - Łagodne i z dobrym węchem.

- Czy możemy je zobaczyć? - spytała Lucy.

- Naturalnie, proszę pani. Na razie przypominają kłębki wełny, ale proszę się nie dać oszukać. To są psy myśliwskie.

- Moja narzeczona interesowała się labradorami - powiedział Jack. - Słyszała, że są bardzo przyjacielskie i nadają się zarówno do trzymania w domu, jak i na polowania.

- O, widzę, że pani wie co nieco o psach. - Briggs spojrzał z uznaniem na Lucy. - Tak się składa, że akurat można kupić dwa małe labradory, tyle że drogo. Ta rasa zyskuje na popularności, a szczeniaki ma pański sąsiad, kapitanie, sir John Hastings. Na pewno zgodzi się je panu odstąpić, ale żąda pięciu gwinei za jednego.

- Kup oba - polecił Jack, wyjmując pieniądze z kieszeni. - Tymczasem popatrzymy na te szczeniaki, a labradory mogą tu pomieszkać do czasu, gdy się po nie zgłosimy.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Briggs. - Sam myślałem o labradorze, żeby rozpocząć hodowlę, ale teraz decyzja należy do pańskiej narzeczonej. Niech powie, czy chce jednego, czy dwa.

- Dobrze, jesteśmy więc umówieni.

Jack i łowczy przeszli do szopy, mieszczącej się na tyłach domu. Kilka psów biegało wolno po podwórzu, a jeden skoczył w ich stronę z ujadaniem, ale na krótką komendę Briggsa przysiadł i tylko przyglądał się nieufnie otwieraniu szopy, z której wytoczyły się dwa szczeniaki. Biało-czarne mieszańce collie wyglądały uroczo.

- Ładne sztuki - stwierdził Jack - i mają temperament. Do aportowania nadają się znakomicie. Zostawię je do wyszkolenia, Briggs, ale będę je często odwiedzał, żeby mnie poznały. Sprowadzisz labradory do końca tygodnia?

- Tak jest, kapitanie.

- Chodźmy, Lucy. Myślę, że załatwiliśmy tu nasze sprawy.

- Dziękujemy, panie Briggs - pożegnała się Lucy. - Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tamte szczenięta.

- Nie dziwię się, proszę pani. Czy wolno mi złożyć najlepsze życzenia? Nigdy nie sądziłem, że kapitan ulegnie kobiecym wdziękom, ale rozumiem, jak to się stało. Gratulacje, kapitanie. To skarb, nie ma dwóch zdań.

- Narzeczona mi się zarumieni, sierżancie Briggs - zauważył Jack, pomagając Lucy wsiąść do powozu. - Za kilka dni zajrzemy.

Odjechali. Przez kilka minut panowało w powozie przyjazne milczenie. Nagle Lucy dostrzegła przy drodze mężczyznę. Natychmiast poznała w nim tego, którego wcześniej widziała nad brzegiem stawu. Teraz mogła przyjrzeć mu się dokładniej. Dała mu dwadzieścia kilka lat i oceniła, że jest przystojny, choć rysy miał surowe, a czarne oczy i oliwkowa cera potwierdzały, że może być cudzoziemcem.

- Spójrz, Jack - poprosiła. - Kim jest ten człowiek? Był dziś rano nad stawem.

Jack zerknął, ale zdążył zobaczyć mężczyznę tylko przelotnie.

- Nie mam pojęcia, Lucy. Nie sądzę, żeby dla mnie pracował. Prawdopodobnie w ogóle nie powinno go tutaj być. Może to wędrowny

robotnik, który szuka pracy. - Zerknął na nią z zaciekawionym. - Czy ten człowiek się narzucał?

- Och, nie - odparła Lucy, ucieszona, że tym razem Jack mówi prawdę. - Zaciekawiał mnie, bo wygląda niecodziennie. Może to Hiszpan?

- Nie widziałem go dobrze - odparł z lekkim zniecierpliwieniem Jack. - W każdym razie polecę moim ludziom, aby mieli oko na obcych. Z reguły nie zabraniam wstępu wędrownym robotnikom, bo czasem potrzebujemy dodatkowych rąk do pracy. Mój rządca powinien coś wiedzieć o tym człowieku. Obawiam się jednak, że dyscyplina szwankuje, skoro i do mnie nie dotarła na ten temat żadna wiadomość. Kiedy wuj zostawił mi majątek w spadku, miałem inne sprawy na głowie i bywałem tu tylko z rzadka, teraz muszę wszystko zorganizować od nowa. Nie mogę pozwolić, żeby coś zagrażało twojemu bezpieczeństwu, Lucy.

- To akurat nie ma znaczenia. Nie wydaje mi się, żeby ten mężczyzna miał złe intencje. Zainteresował mnie, bo nie wyglądał na robotnika.

- Wędrowni robotnicy pochodzą z wielu stron - wyjaśnił Jack. - On może być, na przykład, rzemieślnikiem: mistrzem ciesielskim, kowalem albo nawet budowniczym. W każdym razie bez mojej wiedzy na tym terenie nie powinien się znaleźć. Trzeba to zbadać.

- Możliwe - przyznała Lucy. - Mnie się jednak wydaje... Wygląda tak, jakby kiedyś był żołnierzem.

- Jeśli tak uważasz, to po powrocie porozmawiam o nim z rządcą. Chcę wiedzieć, co ten młody człowiek tutaj robi. - Jack zmarszczył czoło, bo zaczął coś podejrzewać.

Jack postanowił wydać przyjęcie dla uświetnienia zaręczyn z Lucy.

- Powinnaś poznać mieszkające w okolicy damy, na pewno znajdziesz wśród nich przyjaciółki - zwrócił się do narzeczonej. - Przygotujemy uroczystą kolację w piątkowy wieczór, jeszcze przed wyjazdem Drew i Marianne.

Tymczasem dotrą Jo z Halem i wszyscy się spotkają.

- Czy nie za późno na rozesłanie zaproszeń? Zostały tylko dwa dni.

- Mój kucharz jest na to przygotowany od dawna. Zaproszenia wysłałem wczoraj i jak wkrótce się przekonasz, większość zostanie przyjęta. Tu, na prowincji, znacznie mniej się dzieje niż w Londynie, więc rzadko kto odrzuca zaproszenia.

- Bardzo chętnie poznam twoich znajomych i przyjaciół. Cieszę się na przyjazd Jo, jutro wieczorem powinna już być. Nie widziałyśmy się tylko kilka tygodni, ale odniosłam wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu.

- W każdym razie przez najbliższe dni będziesz mogła rozmawiać z siostrą bez końca - zażartował Jack i cmoknął Lucy w policzek. - Muszę iść, kochanie, mam sprawę do załatwienia, ale zobaczymy się wieczorem.

- Naturalnie. - Lucy odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

Nieco później zobaczyła przez okno, jak odjeżdża, i nagle ogarnął ją niepokój. Nabrała przekonania, że coś Jacka dręczy, tylko nie chce się do tego przyznać.

- Wybieram się na spacer - oznajmiła siedzącym z nią damom. - Marianne, Amelio, idziecie ze mną?

Marianne i lady Staunton uznały zgodnie, że przechadzka w taki upał może być zbyt męcząca, i odmówiły Lucy.

- Mamo, chyba nie wrócę na podwieczorek, ale nie martw się, zdążę się przebrać do kolacji.

Lucy nie zastanawiała się, dokąd idzie, nagle jednak uświadomiła sobie, że zmierza znajomą drogą wokół stawu.

Poczuła dreszczyk emocji, wiedziała bowiem, że tamta kobieta widzi w niej intruza. Trudno, a poza tym Jack nie zabronił jej zbliżyć się do tego domu.

Znalazłszy się na skraju lasu, usłyszała głosy i dziecięcy śmiech. Chłopiec niewątpliwie znowu bawił się na dworze, w dodatku nie był sam. Lucy przystanąła w miejscu, z którego mogła obserwować dom. Malec pofrunął w

górze i wydał radosny okrzyk. Po chwili złapały go silne męskie ręce, należące do... Jacka Harcourta.

Lucy skamieniała. Nie ulegało wątpliwości, że Jack i chłopiec doskonale się znają i dobrze rozumieją. Wprawdzie miło było przyglądać się tej przepojonej rodzinnym ciepłem scenie, ale uświadomiła sobie dobitnie, że Jack jednak ją okłamuje. Przyjęcie dziecka pod swój dach było z jego strony czymś znacznie więcej niż aktem miłosierdzia wobec kuzynki. Uznała, że chłopiec jest synem Jacka. A skoro jej narzeczony minął się z prawdą w tej sprawie, mógł ją oszukiwać również w innych.

Lucy zorientowała się, że kobieta ją spostrzegła. W oczach nieznanym pojawił się błysk triumfu. Upajała się nim jednak sama, bo Jack niczego nie zauważył. Lucy obróciła się na pięcie i ze łzami w oczach skierowała się z powrotem ku domowi.

Nawet nie zauważyła, że w pobliżu stoi mężczyzna, którego spotkała przy stawie. Obserwował zabawę w ogrodzie, a na jego twarzy malowała się wściekłość. Teraz podążył za Lucy. Nie próbował jej zatrzymać ani dogonić, po prostu szedł za nią w stałej odległości aż do chwili, gdy wyszedłszy z lasu, Lucy zaczęła biec.

Jose Domingues przystanął i patrzył za młodą Angielką. Wiele z tego, co się tu działo, było dla niego niezrozumiałe, nie zdołał bowiem opanować języka angielskiego w wystarczającym stopniu. Wiedział jednak, że skoro tyle trudu kosztowało go znalezienie tego miejsca, to musi podjąć decyzję. Tylko jaką?

Lucy pobiegła prosto do swojego pokoju. Oczy piekły ją od łez. W głowie kołatała jej uporczywa myśl, że Jack ją okłamał, a ona naiwnie mu wierzyła. Szkoda, że nie poczekała z przyjęciem oświadczeń. Wiedziała, że ogłoszenia do londyńskiej prasy zostały wysłane i kłamka zapadła. Gdyby zerwała zaręczyny, postawiłaby się w jak najgorszym świetle. Może już nigdy nie mogłaby się pokazać w przyzwoitym towarzystwie i nie znalazła męża... Zresztą chciała wyjść za mąż jedynie za Jacka.

Uświadomiwszy sobie, że znalazła się w potrzasku, bezsilnie opadła na łóżko i rozszlochała się. Gdy wreszcie poczuła, że nie ma sił więcej płakać, wstała i omyła twarz zimną wodą. Wciąż jednak widniały na niej czerwone plamy, uznała więc, że zrezygnuje z podwieczorku. Nie chciała, by ktokolwiek zorientował się, co przeżywa.

Po mniej więcej godzinie zadzwoniła na Millie, która pomogła się jej przebrać w suknię do kolacji. Służąca przyjrzała się Lucy z widoczną troską i spytała, czy coś się stało.

- Nie - zaprzeczyła Lucy, siląc się na normalny ton. - Coś mi wpadło do oka i bardzo się spłakałam.

- Przypudrować panience nos? - spytała Millie, choć wiedziała, że w normalnych okolicznościach cera Lucy nie potrzebuje wspomagania. - Tylko trochę, żeby nie był taki czerwony.

- Może rzeczywiście to dobry pomysł - przyznała Lucy. Wyjęła puderniczkę i wacikiem nałożyła puder, starając się nie przesadzić. - Prawdę mówiąc, nie lubię pudru, chociaż niektóre damy używają go bardzo obficie, podobnie zresztą jak różu.

- Kilka lat temu puder był bardzo modny. Słyszałam jednak, że nie należy go stosować, bo jest niezdrowy. Raz na pewno panience nie zaszkodzi.

- Tak twierdzono dawniej. Wtedy do wyrobu pudru używano ołowiu. To się zmieniło. Inaczej mama nie pozwoliłaby mi się pudrować.

- W każdym razie nos panienki już nie jest czerwony - powiedziała Millie, która skończyła układać włosy Lucy. - Nikt się nie zorientuje, że panienka płakała.

- To wszystko przez kurz. - Lucy odwróciła głowę. - Dziękuję, Millie, zejść już.

Pokojówka odeszła, zdecydowana tym razem nie dzielić się wrażeniami z innymi służącymi. Polubiła swoją nową panią i była oburzona, że pan tak ją zasmucił. Millie chętnie dowiedziałyby się, o co poszło. Pana szczerze

podziwiała, jeśli jednak zawinił wobec panienki, to na pewno nie zasługiwał na podziw!

Lucy wyjątkowo pojawiła się na dole ostatnia.

Natychmiast uznała, że Millie miała dobry pomysł z tym, żeby przypudrować nos, bo wszyscy skierowali spojrzenia na Lucy. Uśmiechnęła się więc promiennie i przeprosiła, że kazała na siebie czekać, choć widać było, że jej swoboda jest wymuszona. Pani Horne zauważyła to natychmiast, postanowiła jednak milczeć i później dowiedzieć się o przyczynę gorszego samopoczucia córki.

Jack nie był takim dyplomata. Gdy podał ramię pani Horne, by zaprowadzić ją do sali jadalnej, natychmiast spytał:

- Czy Lucy coś się stało?

- Nie wiem - odparła pani Horne. - Wcześniej wydawała się całkiem pogodna, ale potem poszła na długi spacer. Zdaje mi się, że w stronę stawu. Może zobaczyła coś, co ją poruszyło... Ona jest bardzo wrażliwa, chociaż nie lubi dużo mówić o swoich uczuciach. Nauczyłam się, że trzeba poczekać, aż sama zechce się zwierzyć.

Jack skinął głową. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że Lucy jest zła i że to on jest przyczyną, bo starannie unikała jego wzroku. Przez całą kolację pilnował się, żeby nie wywołać publicznej sceny, ale gdy panowie przyszli do salonu, gdzie po posiłku zgromadziły się panie, podszedł do narzeczonej i zapytał:

- Czy wybierzesz się ze mną na przechadzkę po ogrodzie?

- Chyba nie mam ochoty na spacer - odparła chłodno Lucy.

- Proponuję więc obejrzenie rodzinnych klejnotów, które przysłano dziś po południu. Kazałem je przywieźć, abyśmy mogli zdecydować, które precjoza wymagają przeróbek.

- Zostawiam to do twojej decyzji.

- Lucy! - Jack się zdenerwował. - Jeśli nie pójdziesz ze mną, będę zmuszony załatwić tę sprawę w obecności rodziny.

- Jak sobie życzysz. - Z reguły Lucy unikała konfrontacji, teraz jednak uznała, że skoro Jack jej szuka, to trudno. - Chodźmy tam, gdzie nie będzie świadków, najlepiej do ogrodu, bo tam nikt nas nie podsłucha.

Poszła pierwsza. Jack dogonił ją na tarasie, chwycił za ramię i odwrócił ku sobie.

- O co chodzi? - spytał. - Dąszasz się przez cały wieczór.

- Wcale się nie dąsam! - odparła wściekła Lucy. - Chciałam zachować się godnie, żeby nie wywołać kłótni, ale skoro chcesz prawdy, to proszę bardzo! Nie znoszę kłamstw i kłamców. Po południu podobno miałeś jakąś sprawę do załatwienia.

- Miałem. - Jack zmarszczył czoło, widząc, że Lucy odwróciła się do niego plecami. - Co się stało?

- Jeśli przez sprawę do załatwienia rozumiesz wizytę u swojego bękarta i jego matki, to wycofuję zarzut kłamstwa!

Jack nie podejrzewał nawet, że narzeczona potrafi tak się zaperzyć.

- To nie jest moja kochanka! - podkreślił z mocą Jack. - Nie mam zwyczaju kłamać, a poza tym wyjaśniłem już, że Rosa jest piastunką chłopca.

- Wygląda tak, jakby była kochanką, a poza tym szczerze mnie nie znosi. Skąd ta jej wrogość?

- Nie mam pojęcia - odparł Jack. - Chyba że... - Pokręcił głową, nie wiedział bowiem, jak wytłumaczyć to Lucy.

Wyraźnie zapowiedział Rosie, żeby nie pokazywała się mieszkańcom dworu, bo inaczej każe jej się przeprowadzić, a ona musiała uznać, że powodem jej nieszczęścia jest Lucy.

- Przysięgam, że ona nie jest moją kochanką.

- Dlaczego więc trzymasz ją i chłopca? Proszę tylko mi nie wmawiać, że to dziecko dalekiej kuzynki, bo widziałam, jak się z nim bawiłeś, Jack. Dla mnie jest oczywiste, że bardzo go kochasz. Czy to twój syn?

- Domyślam się, że słyszałaś plotki, jakobym miał nieślubne dziecko. Nie wolno mi wyjawiać prawdy o pochodzeniu tego chłopca. To tajemnica, której obiecałem nigdy nie zdradzić.

- Ale czy to twój syn? Tyle na pewno możesz mi powiedzieć.

- Właściwie dlaczego? - spytał Jack. - Gdybyś mnie kochała, jak o tym zapewniałaś, nie musiałbym wyjawiać niczego, co pod przysięgą obiecałem zachować w sekrecie. Zamiast mnie szpiegować, powinnaś mi zaufać.

- Wcale cię nie szpiegowałam. Chłopiec chciał, żebym się z nim pobawiła. Jest bardzo miły. Ciekawiło mnie, dlaczego ta kobieta, jego piastunka, tak niechętnie się do mnie odnosi, i postanowiłam się tego dowiedzieć. Tymczasem zobaczyłam ciebie, Jack...

- Musiałem powiedzieć Rosie, że wciąż szukam dla niej nowego domu.

- Chcesz ich ukryć przede mną i udawać, że nie istnieją? - spytała z pogardą Lucy. - Pogodziłabym się z tym, że masz syna, gdybyś wyznał mi prawdę, ale nigdy nie zgodzę się na kochankę. Musisz wybrać: ona albo ja!

- Naprawdę muszę? - Jack zmrużył oczy, zły. - Nie lubię, kiedy ktoś mi grozi. - Przyciągnął do siebie Lucy i wycisnął na jej ustach pocałunek. Nie było w tym czułości, ale i tak zaparło jej dech w piersiach. - Kocham cię, Lucy, chcę, abyś została moją żoną, ale na groźby nie pozwolę. Proszę dobrze rozważyć swoje uczucia, bo tymczasem jesteśmy tylko zaręczeni, a zaręczyny można zerwać. Po ślubie nie zgodzę się na to, żebyś mi cokolwiek dyktowała - dodał stanowczo, po czym odszedł.

Lucy została na tarasie bliska płaczu. Wiedziała, że Jack wpadł w gniew, ale w gniewie stał się kimś zupełnie innym, człowiekiem, którego nie znała.

Przez całą noc Lucy biła się z myślami. Kiedy wreszcie udało jej się zasnąć, wkrótce zerwała się z krzykiem i znów popadła w rozpacz. Leżała i

szlochała w poduszkę. Rankiem miała podkrążone oczy, czuła się ogromnie zmęczona, a co gorsza, nocne dumanie nie doprowadziło do żadnego sensownego rozwiązania.

Jack odmówił ujawnienia prawdy, pomyślała więc, że może dowie się czegoś od Rosy. Ponieważ zaś o tej porze wszyscy we dworze jeszcze spali, szybko włożyła suknię i wyszła na dwór. Ciasno otuliła się wzorzystym szalem, panował bowiem chłód, a chmury na niebie nie wróżyły niczego dobrego. Dziarsko ruszyła przed siebie, należało bowiem wykonać zadanie i wrócić do domu, zanim spadną pierwsze krople deszczu.

Gdy stanęła przed wdowim domem, nie była pewna słuszności podjętej decyzji. Odwaga wyraźnie zaczęła ją opuszczać. Los zdecydował jednak za nią, bo drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Rosa. Zauważywszy Lucy, podeszła do ogrodzenia i zmierzyła ją wrogim spojrzeniem.

- Czego pani tutaj szuka?

- Przyszłam o coś spytać - odparła zakłopotana nagle Lucy. - Pani jest matką chłopca?

- Naturalnie. Czy nie jest do mnie podobny? - spytała Rosa, dumnie unosząc głowę.

- Trochę jest - przyznała Lucy. Z bólem stwierdziła, że i w tym Jack ją okłamał. - Kto jest jego ojcem?

- Przecież zna pani odpowiedź. - Rosa spojrzała na nią z wyrazem satysfakcji. - Widziała go pani, jak bawi się z chłopcem. - Przybrała wyzywającą pozę. - Z panią się ożeni, bo musi ze względów rodzinnych, ale to do mnie będzie zawsze wracał, bo mnie kocha.

- Nie! On kocha mnie! - krzyknęła Lucy ugodzona w samo serce. - Pani kłamie! Jack jej nie kocha, nie mógłby. Przychodzi tutaj jedynie odwiedzać chłopca.

- Może tymczasem rzeczywiście woli panią - odparła z pogardą Rosa. - Przez chwilę pani jasna skóra i blond włosy będą go urzekać, będzie brał ją do

łóża każdej nocy i opowiadał o miłości. Ale on dobrze wie, że w namiętności nie może mi pani dorównać. Kiedy się panią znudzi, wróci do mnie. Nie uda się go pani zatrzymać, bo on do pani nie należy. Potrzebuje tego, co tylko ja mogę mu dać.

- Nie! To kłamstwo! - krzyknęła Lucy, czując, że tego nie zniesie. Rosa rzeczywiście wydawała jej się piękna. Coś szeptało jej w duszy, że nigdy nie będzie umiała jej dorównać, mimo że kocha Jacka. - Nie wierzę pani. On mnie kocha...

Odwróciła się i uciekła, a w uszach dzwonił jej szyderczy śmiech Rosy.

- Zmykaj, angielska różyczko. Róża żyje jeden dzień, czasem dwa, a w moich żyłach płynie flamenco. On wróci do mnie, gdy tylko nasyci się twoim bladym ciałem. Znowu zatraci się w rozkoszy ze mną.

Lucy biegła, dusząc się od łez. Rosa wiedziała, że ma nad Jackiem władzę, to nie ulegało wątpliwości. Sytuacja wydawała się więc bez wyjścia. Lucy nie mogłaby poślubić Jacka ze świadomością, że będzie go miała tylko na krótko. Jednak jej serce należało wyłącznie do niego i nie chciała nikogo innego na męża. Najwyraźniej los się na nią wziął.

Jack wybierał się właśnie na przejażdżkę, mając nadzieję, że to pomoże mu wyładować złość i rozczarowanie, gdy z okna zauważył biegnącą Lucy. Natychmiast pojął, gdzie była. Wolał sobie nawet nie wyobrazić, co nagadała jej Rosa. Przeklinając swoją głupotę, szybko zszedł na dół, aby spotkać narzeczoną, zanim uda jej się ukryć w swoim pokoju. To nie mogło dłużej ciągnąć się w ten sposób. Zdecydowanie trzeba się rozmówić.

Gdy wyszedł na dwór, Lucy go zobaczyła i skrzyła ku stajniom, ale ją dogonił. Chwył ją za ramię i odwrócił ku sobie. Widząc wyzywające spojrzenie, poczuł, jak ogarnia go złość. Dlaczego Lucy nie chciała mu uwierzyć na słowo? Powinna rozumieć, że ją kocha.

- Znowu tam byłeś - odezwał się szorstko. - Co ci naopowiadała Rosa? Zresztą nieważne. Cokolwiek powiedziała, proszę nie zwracać na to uwagi. Ona

potrafi kłamać w żywe oczy. Zwolniłbym ją już dawno, gdyby Anthony jej nie potrzebował.

- Ona kłamie?! W takim razie dlaczego próbowałeś ich przede mną ukryć? Gdybyś przyznał się do posiadania syna, mogłabym to zaakceptować. Chyba nie sądzisz, że zgodzę się na kochankę. Rosa powiedziała, że ją kochasz, że wrócisz do niej, gdy tylko mną się znudzisz.

- I ty jej uwierzyłaś? - Jack nie krył zdumienia. Nawet nie wiedział, czy powinien być wściekły na Lucy, Rose, czy na siebie za własną głupotę. - Uważam, że w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Widzę, że przedkładasz słowo Rosy nad moje. Nie wierzysz w to, co mówię, a to znaczy, że nasze małżeństwo nie ma szans. Czyli nie należy go zawierać.

- Jack... - zachnęła się Lucy, jakby ją uderzył. - Co ty mówisz?

- Do diabła, sam nie wiem! - wykrzyknął. - Wracaj do domu, Lucy. Muszę się nad tym dobrze zastanowić, bo po tym wszystkim nie widzę dla nas przyszłości. Nie ufasz mi, a nie zamierzam spędzić reszty życia, nieustannie się tłumacząc.

Z tymi słowami odszedł. Lucy przyglądała mu się przez chwilę, a potem wbiegła do domu i zamknęła się u siebie w pokoju.

Rozdział dziewiąty

Lucy siedziała przy toalecie i przeglądała się w lustrze. Była blada, udało jej się jednak powstrzymać od płaczu. Pożegnalne słowa Jacka wprawiły ją w odrętwienie, tak wiele było w nich gniewu. Prawdę mówiąc, rozumiała, że sama jest temu winna, ponieważ zachowała się głupio. Powinna udawać, że niczego o kochance nie wie, i polegać na Jacku, że zachowa dyskrecję. Jednak nie potrafiła! Nie brała z nim ślubu dla pieniędzy. Poślubiłaby go, nawet gdyby nie miał dziesiątej części swojego majątku pod warunkiem, że byłaby pewna jego miłości i uczciwości.

Lucy, nieodrodna córka wielbnego Horne'a, nie tolerowała kłamstwa i oszustwa. Zresztą chciała wierzyć Jackowi, ale to nie było łatwe. Gdy się nad tym spokojnie zastanowiła, doszła do wniosku, że miał rację. Rzeczywiście uwierzyła obcej kobiecie, zamiast narzeczonemu. Przecież tyle razy prosiła, aby powiedział jej prawdę, a on uparcie odmawiał. Nie mogła tego zrozumieć. Byłoby przecież łatwiej przyjść do niej i wyznać: „Tak, to mój syn, ale ta kobieta nic dla mnie nie znaczy”.

Czy w tej sytuacji mogła zaufać jego zapewnieniom o miłości? Coraz wyraźniej docierało do niej, że honorowego człowieka jej słowa mogły głęboko zranić. Jeśli mówił prawdę, a syn naprawdę nie jest jego... Równie dobrze kłamstwem mogły być jadowite słowa Rosy, dyktowane zazdrością. Lucy zrozumiała, że wykazała całkowity brak rozsądku i niepotrzebnie sprowokowała Jacka, oskarżając go o kłamstwo. Trzeba spróbować to naprawić - znaleźć Jacka i z nim porozmawiać.

Podjąwszy decyzję, szybko przebrała się w kostium jeździecki, wzięła szpicrutę oraz rękawiczki i zeszła po schodach do sieni. Wiedziała, że Jack odjechał wcześniej w kierunku stawu i tam zamierzała go poszukać.

W stajni nie było żadnego z masztalerzy, zastała jedynie chłopaka stajennego, zamiatającego jeden z boksów. Zawołała go więc i poleciła mu osiodłać konia.

- Którego pani sobie życzy? - spytał Jeremiasz.

- Wszystko jedno... Niech będzie ten piękny kasztan - odrzekła Lucy. - Pospiesz się, proszę, bo nie mam czasu.

- Skoro pani tak mówi... - Jeremiasz się zdziwił, wiedział bowiem, że kasztan jest ogierem narowistym i silnym w pysku, dosiadanym zwykle przez jego lordowską mość, nie ważył się jednak sprzeciwić damie, która miała zostać tu panią.

Wkrótce Lucy z pomocą stajennego dosiadła konia i wyruszyła. Od początku wyczuwała, że zwierzę jest płochliwe, ponieważ jednak nie bała się koni, miała dość pewności siebie, by opuścić podwórze dziarskim klusem. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że ulubiony wierzchowiec Jacka od dwóch dni stał bez ruchu w boksie.

Poczuwszy darń pod kopytami, kasztan zaczął wrywać wodze. Lucy, upojona doznaniem swobody, poddała się jego woli. Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy galopem zbliżała się do stawu. Zachwycona pędem zapomniała nawet o celu wyprawy. Gdy nagle na drogę wybiegł lis, koń parsknął spłoszony, a Lucy odruchowo ściągnęła wodze. Kasztan stanął dęba. Nieprzygotowana na taki rozwój wypadków Lucy wyleciała z siodła jak z katapulty i bezwładnie runęła na ziemię. Koń, już bez jeźdźca, pognął w las.

Jack pojechał do wsi. Uznał, że tymczasem lepiej nie rozmawiać z Rosą, nie był bowiem pewien, czy potrafi nad sobą zapanować. Postanowił, że inaczej zorganizuje opiekę nad chłopcem i zatroszczy się o jego edukację. Nie mógł pozwolić, by Anthony nadal pozostawał pod opieką piastunki.

Tolerował to tak długo, ponieważ Rosa kochała chłopca, a on bardzo się do niej przywiązał. Przy tym zdawał sobie sprawę, że Rosa od dawna widziała

się w roli lady Harcourt, a gdy zapowiedział, że będzie musiała opuścić jego majątek, wyznała mu miłość.

- Jeśli pan mnie odeśle, to się zabiję! - wykrzyknęła. - Kocham pana, Jack. Kocham pana tak, jak nikt inny nigdy go nie pokocha. Ta blada panna, którą chce pan poślubić, jest nie dla pana.

- Milcz! - nakazał jej Jack. - Zapominasz o swoim miejscu. Masz podporządkować się mojej decyzji, a tymczasem nie zbliżać się do stawu.

Rosa spojrzała na niego nadąsana, ale nie odezwała się ani słowem. Jack wiedział, że korzystając z nadarzającej się okazji, zemściła się na Lucy. Właściwie nie powinien mieć do narzeczonej pretensji o jej brak zaufania. Przecież już dawno należało wyjawić jej prawdę, którą miała prawo poznać. Musiał przekonać matkę chłopca, by pozwoliła mu porozmawiać z narzeczoną.

Wracał do domu i był już w parku, kiedy zauważył swojego kasztana, biegnącego na oślep. Zmarszczył czoło, wydał bowiem jasne polecenie, by nikt oprócz głównego masztalerza, który był znakomitym jeźdźcem, go nie dosiadał. Ponaglił konia i przeciął drogę ogiera, który musiał ich ominąć, a chwilę później stanął. Ciężko dyszał, najwyraźniej zmęczony panicznym biegiem, ale znajomy głos i zapach pana zdawały się działać kojąco.

Jack zeskoczył z konia, na którym jechał, ujął wodze kasztana i zaczął go głaskać po karku, czule do niego przemawiając.

- Spłoszyłeś się chłopcze, co? To musiało być coś poważnego, skoro udało ci się zrzucić Brenta. Nie od parady jesteś wspaniałym ogierem. Brent powinien wiedzieć, że trzeba uważać. Ale już dobrze, już po wszystkim...

Jack ujął wodze obu koni i poprowadził je do stajni. Liczył, że Brent już się pozbierał i sam wróci do domu, a jeśli nie, to trzeba będzie zorganizować poszukiwania. Zwrócił uwagę na to, że Firethorn miał damskie siodło. Chyba Amelia nie była na tyle nierozważna, by zażyczyć sobie kasztana do jazdy? Wprawdzie miała oko do koni i była wprawną amazonką, ale powinna wiedzieć, że z tym zwierzęciem sobie nie poradzi.

Minęło prawie pół godziny, nim Jack dotarł do stajni. Pierwszą osobą, którą ujrzał, był główny masztalerz, czeszący jedną z klaczy. Jack się zaniepokoił. Zbyt dobrze znał Brenta i wiedział, że ten nie mógłby zajmować się pracą w stajni, gdyby wiedział, że kasztan biega, Bóg wie gdzie. Nie mówiąc o tym, że na pewno nie używałby damskiego siodła.

Masztalerz podniósł głowę, a wyraz jego twarzy potwierdził przypuszczenia Jacka. Brent o niczym nie miał pojęcia. Podszedł z zatroskaną miną do kasztana.

- Wygląda tak, jakby spłoszył się i poniósł, milordzie - zauważył. - Ma zadrapania na nogach, ale na szczęście nic poważnego. Co się stało?

- Chciałbym to wiedzieć - odparł Jack - Złapałem go, wracając ze wsi. Wyglądał na zajeżdżonego. Najwidoczniej spłoszony zrzucił jeźdźca i potem gnał jak szalony przed siebie. Ciekawe, kto go dosiadał, jeśli nie pan.

- Nie mam pojęcia, milordzie. Stajenni wiedzą, że Firethorna możemy dosiadać tylko my dwaj. - Zmarszczył czoło. - No tak, przez kwadrans nie było mnie w stajni. - Rozejrzał się po podwórzu i zatrzymał wzrok na jednym ze stajennych. - Hej, chłopcze, czy wiesz, kto wziął dzisiaj do jazdy kasztana?

Jeremiasz wydawał się przestraszony. Spuścił głowę i zaczął wiercić czubkiem buta dziurę w ziemi.

- Panna Horne - odrzekł po dłuższej chwili. - Kazała mi go osiodłać.

- Lucy! - Jack zmartwiał. - Do pioruna! Jak mogłeś jej pozwolić, by dosiadła tej bestii?! Przecież wyraźnie powiedziano ci, że tylko ja i Brent możemy brać ogiera.

- Przepraszam, milordzie. - Chłopak chlipnął i wytarł nos wierzchem dłoni. - Pani sama go wybrała, a ja nie mogłem jej zabronić.

Brent chwycił chłopaka za ucho.

- Może to nauczy cię myśleć, chociaż nie wiem, czy w ogóle masz coś w rodzaju mózgu! - podniósł głos. - Jeśli jakaś krzywda stała się tej młodej damie, będziesz miał kłopoty!

- To nie jego wina - wtrącił Jack, który mimo lęku o Lucy nie mógł z czystym sumieniem oskarżać Jeremiasza. - W przyszłości pamiętaj jednak, że żadnej damie nie wolno brać moich koni. Rozumiesz?

- Tak, milordzie. Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, co robić.

- Na drugi raz po prostu myśl - włączył się Brent i spojrzał na Jacka. - Lepiej zorganizujmy poszukiwania, milordzie. Czy ma pan wyobrażenie, dokąd pani mogła się wybrać?

- Pojechała w stronę stawu, proszę pana - powiedział Jeremiasz. - Mam przyprowadzić innych?

- Musimy zebrać całą służbę stajenną - zdecydował Jack. - Wiem, dokąd ona mogła pojechać. Jeremiaszu, zajmij się tymi końmi i radzę ci się postarać!

- Dobrze, milordzie. - Chłopak wziął od niego wodze i ze skruszoną miną odprowadził zwierzęta. Wiedział, że mu się udało. Inny pan wydaliby go ze służby.

Jack osiodłał jednego ze swych najlepszych wierzchowców.

- Niech pan zbierze ludzi, Brent, weźmie powóz na wypadek, gdyby panna Horne była ranna, i sprowadzi doktora.

- Dobrze, milordzie. Bardzo mi przykro. Gdybym tu był, nie doszłoby do tego.

- Jeśli już mamy kogoś winić, to mnie - odparł ponuro Jack.

Dosiadł konia i wyruszył na poszukiwania. Nie ulegało wątpliwości, że eskapada Lucy miała związek z ich wcześniejszą kłótnią. Nie wybaczyłby sobie, gdyby stało jej się coś złego.

Lucy poruszyła się, czując chłodny podmuch na twarzy. Ostrożnie uniosła powieki i drgnęła przestraszona, spojrzała bowiem prosto w oczy, których nie знаła. Spróbowała usiąść, ale bardzo bolała ją głowa, a świat wokół zawirował.

- Nie ruszać się - powiedział mężczyzna. - Uderzyła pani w głowę. Myślałem, że nieżywa. A ty żywa, ale boli głowa, tak?

Lucy ponownie uniosła powieki. Tym razem zdołała skupić wzrok na twarzy nieznanego.

- Widziałam już pana w majątku - szepnęła. - Kim pan jest?

- Imię nieważne - odparł. - Mówię tylko trochę po angielsku.

Przyjechałem z Hiszpanii. Nie zrobię krzywdy.

- Nie boję się pana. - Tym razem Lucy udało się usiąść. Zawroty głowy nieco osłabły. - Gdyby pomógł mi pan wstać... - Podał jej rękę i pociągnął.

Przez chwilę nie była pewna, czy da radę stać. Wszystko dookoła wirowało i tylko ramię mężczyzny utrzymywało ją w pionie. - O, teraz lepiej - powiedziała w końcu. - Już całkiem dobrze... - Zrobiła krok i natychmiast straciła równowagę, czując silny ból w kostce.

- Nie, chodzić nie mogę.

- Noga ranna - rzekł zasepiony. - Do domu daleko. Zostać tu. Idę po ludzi.

- Nie, proszę nie odchodzić - poprosiła Lucy. - Może dojdę do domu, jeśli pan mi pomoże. Bardzo proszę.

Mężczyzna spojrzał na nią z powątpiewaniem, ale nie próbował odejść. Lucy wykonała kilka niezdarnych podskoków na jednej nodze i znów się potknęła. Obcy otoczył ją ramieniem w talii, a ona podskoczyła parę razy. Ból był jednak bardzo silny, czuła, że niewiele brakuje, by ponownie zemdląca.

- Może rzeczywiście niech pan lepiej sprowadzi kogoś - szepnęła. - Bardzo źle się czuję... - zdążyła powiedzieć i straciła przytomność.

Na szczęście mężczyzna w porę ją złapał i delikatnie ułożył na ziemi. Przykląkł, nie bardzo wiedząc, czy cucić kobietę, czy raczej biec po pomoc. Na szczęście usłyszał tętent i chwilę potem zatrzymał się przy nim Jack, który natychmiast zeskoczył z konia i podbiegł do Lucy.

- Co się stało? - spytał. - Czy pan widział upadek?

- Ja tam - odrzekł mężczyzna, wskazując ręką na biegnącą przez las drogę. - Zwierzę wybiega, koń się płoszy, ona spada. Przytomna, ale nie chodzi. Noga bardzo zła.

- Dziękuję, że pan się nią zajął - powiedział Jack i spojrzał na obcego spod przymrużonych powiek. - Pan jest Hiszpanem, prawda? Co pan tu robi?

- Nic złego. Szukam pracy... - Zobaczył, że zbliżają się do nich następni jeźdźcy i powóz, więc kręcąc głową, odsunął się o krok. - Nic złego - powtórzył i znikł wśród drzew.

- Wracaj, człowieku! Chcę tylko wiedzieć, kim jesteś! - zawołał za nim Jack, zły, że nie zdążył nawet podziękować. Najważniejsza jednak była Lucy.

- Czy jest przytomna, milordzie? - spytał Brent.

- Chyba przed chwilą była - odparł, widząc, że Lucy pojękuje i porusza powiekami. - Wygląda na to, że uderzyła się w głowę i uszkodziła nogę w kostce. Posłałeś po doktora?

- Tak, milordzie. Pojechał Sam, ma mu przekazać, że to bardzo pilne.

- Otwórz drzwi powozu - polecił Jack i uniósł Lucy z ziemi. - Im szybciej dowieziemy ją do domu i położymy do łóżka, tym lepiej.

Lucy, choć pojękiwała, była w zasadzie nieprzytomna, gdy wnoszono ją do domu. Jednak w sypialni już po kilku minutach otworzyła oczy i ujrzała panią Horne.

- Mama? - szepnęła. - Co się stało? Gdzie jestem?

- Spadłaś z konia. - Pani Horne zwilżyła jej czoło ręcznikiem. - Doktor już jest, zaraz zbada twoją głowę i nogę.

- Boli - poskarżyła się Lucy. Tymczasem wszedł do pokoju starszy mężczyzna, który spojrzał na nią przez okulary w złotej oprawce. - Noga mi dokucza, a głowa pęka.

- Zdaje się, że upadła pani dosyć szczęśliwie - orzekł medyk po oględzinach głowy. - Skóra nienaruszona, krwi nie widzę, jest tylko guz, który na pewno będzie bolał przez kilka dni. Czy mogę obejrzeć pani kostkę, panno Horne?

- Proszę bardzo, doktorze. Lewa.

Zbadał ją delikatnie, lecz starannie, po czym ponownie przykrył stopę kocem.

- Niczego pani nie złamała, ale mocno się potłukła i paskudnie zwichnęła nogę. Przez parę dni na pewno nie będzie się pani czuła dobrze, zalecam więc leżenie w łóżku. Zostawię proszki łagodzące ból.

- Dziękuję. - Lucy uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Głupi wypadek, nie zauważyłam lisa. - Zamknęła oczy, bo wtedy trochę mniej bolała ją głowa. - Taka jestem zmęczona...

Pani Horne odprowadziła doktora do drzwi. Gdy wyszli przed dom, spytała z niepokojem:

- Czy są jakieś trwałe uszkodzenia, panie doktorze? O ile wiem, na kilka minut straciła przytomność.

- Wygląda na to, że córka kojarzy fakty i wie, co spowodowało upadek, ale nie mogę zapewnić, że stan się nie pogorszy. Jeśli nie będzie żadnych kłopotów przez najbliższe kilka dni, to znaczy, że miała szczęście.

- Dziękuję za tak szybkie przybycie - powiedziała pani Horne, choć słowa doktora nie uciszyły jej niepokojów o Lucy.

- Czy mogę wejść? - spytał kilka minut później Jack. Zerknął ku łóżku, w którym Lucy leżała z zamkniętymi oczami.

- Niewiele dowiedziałem się oprócz tego, że przez najbliższe dni bezwarunkowo ma odpoczywać.

- Na uderzenie w głowę nic nie można poradzić. Po prostu trzeba czekać.

- Myślę, że musimy zaufać osądowi lekarza - stwierdził Jack - Doktor Heron to fachowiec z dużym doświadczeniem. Jednak gdyby pani chciała, mogę posłać po innego doktora do Londynu. - Podeszedł do łóżka i zafrasowany spojrzał na Lucy. - Przepraszam, kochanie - powiedział i delikatnie pocałował ją w skroń. Gdy uniosła powieki, dodał: - Bardzo cię przepraszam. Wybacz mi.

Odszedł od łóżka, a wtedy pani Horne zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

- Prosił pan o wybaczenie - zauważyła. - Czy mam rozumieć, że to z pańskiej winy Lucy dosiadła tego konia?

- Obawiam się, że to możliwe - przyznał Jack. - Posprzeczaaliśmy się i poszedłem... - Pokręcił głową, ponieważ nie widział sposobu, żeby to wyjaśnić.

- To wszystko moja wina!

- Lucy nie jest dzieckiem. Czasem pewnie tak się panu wydaje, ale ona jest dorosłą kobietą, i podejmuje własne decyzje. Nie będę pana obwiniać, dopóki nie usłyszę takiego zarzutu z ust córki, a myślę, że i pan nie powinien sobie niczego wyrzucać. Lepiej módlmy się, żeby Lucy wyzdrowiała.

- Jest pani wielkoduszna. Czy pozwoli mi pani z nią posiedzieć?

- Naturalnie. - Pani Horne wstała. - Wrócę za godzinę.

Jack usiadł na zwolnionym przez nią krześle, przysunąwszy je bliżej, by móc ująć Lucy za rękę. Przytknął sobie jej dłoń do policzka, a z kącika oka popłynęła mu samotna łza.

- Wybacz mi, najdroższa - szepnął. - Tak bardzo cię kocham, a tak cię skrzywdziłem. Nie zostawiaj mnie, błagam cię. Obiecuję, że wszystko ci wynagrodzę. Muszę sprawić, żebyś pokochała mnie znowu.

Kiedy wieczorem Lucy otworzyła oczy, ujrzała siedzącą przy łóżku zasmuconą Jo. Ziewnęła i przeciągnąwszy się, przesłała siostrze uśmiech.

- Kiedy przyjechałaś? - spytała, podźwignąwszy się na poduszki. Ruch sprawił, że dotkliwe poczuła wszystkie potłuczone miejsca. - Aj, boli. Ten głupi koń stanął dęba. Silna bestia, nie potrafiłam nad nim zapanować. Nie powinnam brać go ze stajni. Mam nadzieję, że Jack nie jest na mnie zły, bo koń mógł sobie zrobić krzywdę.

- Nie sędzę, żeby Jack był na ciebie zły, moja droga. - Jo pochyliła się i cmoknęła ją w policzek. - Wszyscy bardzo się o ciebie martwimy, ale zdaje się, że niepotrzebnie. Wydaje mi się, że nie stało się nic gorszego niż wtedy, gdy w dzieciństwie spadłaś z drzewa. Wtedy długo leżałaś nieprzytomna.

- Naprawdę? To dziwne, ale niczego nie pamiętam.

- Byłaś wtedy bardzo mała, a na drzewo wdrapałaś się przeze mnie. Wspięłam się tam po kotka, którego dostałyśmy od taty, a ty postanowiłaś mi pomóc i spadaś.

Lucy ostrożnie pokręciła głową.

- To nie odzwyczaiło mnie od chodzenia po drzewach. Właśnie siedziałam na drzewie, kiedy Jack przyjechał na chrzciny córeczki Marianne. Pewnie dlatego ciągle mu się potem zdawało, że nadal jestem dzieckiem. Poza tym będzie się złościł, bo nie powinnam była brać tego konia. A przedtem się pokłóciliśmy.

- Jack siedział przy tobie przez większą część dnia. Wyszedł dopiero wtedy, kiedy przyszedłam go zmienić. Bardzo się o ciebie martwi i myślę, że bardzo cię kocha.

- Naprawdę? - Lucy nie mogła rozmawiać z siostrą o wydarzeniach ostatnich dni. To byłaby zdrada. - Pewnie masz rację.

- Dlaczego w to wątpisz? Znam Jacka Harcourta całkiem dobrze, bo przyjaźni się z Halem. On nie poprosiłby cię o rękę, Lucy, gdybyś nie była dla niego ważna. Po co by to robił? Mógł mieć każdą pannę, której by zapragnął, a wybrał właśnie ciebie. Wiem, że jesteś piękna i masz dobry charakter, ale jemu to by nie wystarczyło, droga siostró. Poza tym, gdybyś widziała, z jaką miną tutaj siedzi, nie wątpiłabyś ani przez chwilę.

- Wiem. - Lucy westchnęła. Obawiała się, że naprawienie zła, które ich skłóciło, nie będzie łatwe. - Sądzę... - W tym momencie do pokoju weszła Millie z koszem pięknych czerwonych róż. Ich zapach natychmiast wypełnił cały pokój. - Ojej, jakie śliczne!

- Jego lordowska mość prosił, żeby je pani przynieść. - Pokojówka ucieszyła się, widząc, że Lucy siedzi. - Jakie to szczęście, że pani poczuła się lepiej. Cała służba się martwi.

- Postaw, proszę, te róże tak, żebym je widziała. To miło ze strony lorda Harcourta, że mi je przysłał.

- Kazał ogrodnikowi wybrać najpiękniejsze, panienko.

- Takie są - przyznała. - O, dziękuję, Millie, teraz je widzę.

- Czy jeszcze coś panience przynieść? Może jakąś lekką przekąskę - zupełną albo szklanekę mleka?

- Chętnie. Poproszę herbatę z biszkopcikami. - Lucy zerknęła na Jo, która wyraźnie się ożywiła. - Pamiętasz, jak siedziałam na twoim łóżku i podkradałam ci biszkopciki, Jo? Byłaś wtedy pewna, że romantyczna miłość nie istnieje.

- Moim zdaniem Jack cię kocha, ale jeśli nie jest to taka miłość, jakiej oczekujesz, twoim obowiązkiem jest zrezygnować. Mama nie będzie na ciebie zła, a na moje wsparcie zawsze możesz liczyć.

- Och, wcale nie chcę rezygnować, ale bardzo rozgniewałam Jacka i teraz boję się, że zmienił zdanie.

- Lucy wygląda lepiej - poinformowała lorda Harcourta Jo, gdy nieco później zeszła na dół. - Wypiła herbatę, zjadła parę biszkoptów i wyznała, że boi się pańskiego gniewu. Mam nadzieję, że nie będzie jej pan czynił wyrzutów z powodu wzięcia tego konia.

- Nie jestem zły na nią, tylko na siebie - odrzekł skruszony Jack. - Może pani powiedziała, że się pokłóciliśmy. Jeśli zaś o konia chodzi, to powinienem był ją wyraźnie ostrzec przed wierzchowcami pełnej krwi. Lucy jest bardzo utalentowaną amazonką, ale nie ma dość siły, żeby zapanować nad takim mocnym zwierzęciem.

- Jeśli dojechała aż nad staw, to musiała radzić sobie całkiem nieźle. A i tam zmógł ją dopiero lis. Niech pan nie lekceważy mojej siostry, Jack. Z postury jest drobna i jest marzycielką, ale potrafi być silniejsza, niż pan sądzi. Poza tym, choć nieczęsto krzyczy i wpada w złość, to zwykle osiąga to, do czego dąży. Ma bardzo silną wolę.

- Muszę pani przyznać rację - odparł po namyśle Jack. - Nie przyszło mi do głowy to, na co pani zwróciła uwagę. Ona rzeczywiście dojechała całkiem daleko. Kupię jej konia, który byłby dla niej odpowiedni.

- Wszyscy ją rozpieszczamy. Pan też, a ona mimo to wciąż jest taka jak zawsze: dobra i życzliwa. Nie chciała mi powiedzieć, o co się pokłóciliście, ale mam nadzieję, że to was nie rozdzieli.

- Nie - rzekł stanowczo Jack. - Jeśli pani pozwoli, to pójdę teraz do niej. - Lekko się skłonił i odszedł.

Gdy wsunął głowę do pokoju, Lucy siedziała z zamkniętymi oczami, oparta na poduszkach.

- Czy mogę wejść? - spytał.

- Proszę bardzo - odrzekła. - Muszę cię przeprosić za wzięcie tego konia. Mam nadzieję, że nie stała mu się z mojej winy krzywda.

- Gdybyś umarła, chyba bym go zastrzelił. Dziękuję za zainteresowanie, koń dochodzi do siebie.

- Nie możesz go zastrzelić! - Na twarzy Lucy odmalowała się zgroza. - Świetnie mi się na nim jechało. Wszystko przez tego lisa. Koń się spłoszył, a ja nie zdążyłam zareagować. Ten ogier rzeczywiście jest dla mnie trochę za silny, ale chciałabym jeszcze pojeździć na koniu, jeśli mi pozwolisz.

- Przecież mówiłem już, że możesz robić, co ci się podoba, byle nie zagrażało to bezpieczeństwu. Bardzo się przestraszyłem, Lucy. Kiedy zrozumiałem, że koń cię zrzucił, nie wiedziałem, czy znajdę cię żywą.

- Bardzo przepraszam, że przysporzyłam wszystkim zmartwień. Dręczyło mnie sumienie, chciałam jak najszybciej cię odnaleźć, żebyśmy mogli porozmawiać. Wiem, że postąpiłam okropnie, Jack Nie powinnam była zarzucać ci... - Urwała, zaciskając palce na kocu. - Okazało się, że mam zaborczy charakter i że nie chcę dzielić się tobą z nikim. Jack uśmiechnął się smutno.

- Kocham cię właśnie taką, moja najdroższa Lucy. Nie chciałbym, żebyś była potulna i na wszystko się godziła, ale musisz mi ufać. Jeszcze nie mogę wyjawić ci całej prawdy, lecz cię nie zdradzam.

- Chyba już wierzę. Zachowałam się głupio, dając posłuch Rosie. Ona mi powiedziała, że jest matką chłopca, a ty ją kochasz, i tylko dla dobra rodziny chcesz mnie poślubić.

- Rosa nie jest jego matką i nigdy nie była moją kochanką. Tyle mogę wyjawić. Bo w to, że postanowiłem cię poślubić z rozsądku, chyba nie wierzysz?

- Bardzo byłam niemądra, prawda? Czy potrafisz mi wybaczyć?

- Wina leży po mojej stronie. Mieszkają tutaj, bo obiecałem zajmować się chłopcem, ale powinienem był zadbać o ich przeprowadzkę. Bardzo chciałbym wszystko opowiedzieć, ale mogę tylko zapewnić, że ciebie jedną kocham. Nie będę twierdził, że nigdy nie miałem kochanki, bo byłoby to kłamstwem, ale teraz jej nie mam i nie zamierzam mieć, skoro postanowiliśmy być razem, kochanie.

- Och, Jack... - Lucy z trudem powstrzymywała cisnące jej się do oczu łzy. - Kocham cię i nie rozumiem, jak możesz darzyć uczuciem głupią pannicę.

- Nie mów tak o sobie - zaprotestował Jack. - Zapewniam cię, że po twoim wypadku byłem ledwie żywy.

- Wiesz co? Chciałabym, żeby mama pozwoliła nam wziąć ślub szybciej.

- I tak wykazała mnóstwo wielkoduszności, bo nie wini mnie za wypadek, mimo że ja sam mam do siebie ogromną pretensję. Ponieważ jednak widywała cię w nie najlepszym nastroju, wątpię, czy będzie skłonna do ustępstw. Miejmy nadzieję, że po prostu uzna nadmierne wydłużanie okresu narzeczeństwa za nierozsądne.

- Oby tak było. - Lucy musiała przyznać rację Jackowi. Swoją nieszczęśliwą miną na pewno nie przysłużyła się sprawie, postanowiła więc lepiej się pilnować w przyszłości.

- Widziałeś go? - spytała, tknięta wspomnieniem. - Czy widziałeś tego człowieka, który próbował mi pomóc?

- Tak. Klęczał przy tobie, kiedy nadjechałem. Chciałem mu podziękować, lecz on się przestraszył i uciekł. Wcześniej wspomniał, że szuka pracy.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie, co do mnie mówił, ale jestem pewna, że to nie Anglik.

- Hiszpan, o ile się nie mylę. Szkoda, że uciekł, bo pracę w majątku na pewno mógłbym mu znaleźć.

Lucy miała pewne przeczucie związane z nieznanym, wołała jednak na razie go nie ujawniać. Zaufała Jackowi, wiedziała jednak, że gdy wydobrzeje, powinna jeszcze raz wybrać się do domu za lasem.

- Sądzisz, że moglibyśmy jutro obejrzeć szczeniaki? - spytała, zmieniając temat.

- Najpierw nabierz sił, żeby podołać takiej wyprawie - odparł Jack. - Doktor Heron powiedział, że masz zwichniętą nogę, a to znaczy, że wypoczynek jest niezbędny. Sam pójde po szczeniaki i przyniosę je tutaj.

- Dziękuję. Jesteś dla mnie taki dobry, Jack.

- To nie ma nic wspólnego z dobrocią - odparł szorstko. - Chcę, żebyś była szczęśliwa, Lucy, a mam poczucie, że zawiodłem. Musisz dać mi drugą szansę, kochana.

A więc Jack jej wybaczył. Cieszyła się z tego, czuła jednak, że jeszcze nie wszystko jest tak jak kiedyś. Tęskniła za jego dawną swobodą, za bez troskimi żartami. To też musiała odzyskać.

Następnego ranka Lucy spróbowała wstać, ale się okazało, że nie może chodzić. Chcąc, nie chcąc, została więc w łóżku. Kilka godzin później usłyszała za drzwiami pokoju popiskiwanie i chwilę potem wszedł Jack, niosąc dwa szczeniaki. Oba miały czarną sierść, ale jednego zdobiła brązowa plama wokół oka, zabawna i dodająca uroku.

- Jakie ładne! - ucieszyła się Lucy. - Posadź je na łóżku.

Szczeniaki natychmiast skorzystały z odzyskanej wolności i zaczęły entuzjastycznie lizać Lucy po twarzy, piszcząc i się przewracając. W końcu usadowiły się na jej kolanach.

- Niewątpliwie wiedzą, jak zrobić na kimś wrażenie - zażartował Jack. - Szczenie z plamą to pies, a drugie to suczka, nieco mniej zawadiacka niż kuzyn. Są z dwóch różnych miotów. Briggs uznał, że tak będzie najlepiej w razie, gdybyśmy chcieli założyć hodowlę.

- Nie wiem, którego wybrać. Oba bardzo mi się podobają.

- W takim razie weź oba. Briggs dostanie potem szczeniaki. A tymczasem może chcesz, żeby wyszkolił pierwsze pokolenie? Te labradory zupełnie nie znają się na dobrym wychowaniu i zmoczyły mi spodnie, kiedy je tu niosłem. Muszę się przebrać, zanim odważę się pokazać publicznie.

- Tak będzie pewnie najlepiej. - Lucy podejrzewała, że jeden z piesków nie zadowolili się spodniami Jacka, a to znaczyło, że Millie będzie musiała zmienić pościel. - Będę starała się jak najczęściej je odwiedzać, a kiedy się pobierzemy, zamieszkają z nami w domu.

Jack wziął z łóżka szczeniaki i wyszedł z pokoju. Lucy odczekała, aż zamkną się za nim drzwi, odrzuciła pościel i ostrożnie postawiła stopy na podłodze. Noga wciąż bardzo ją bolała, udało jej się jednak zrobić kilka ostrożnych kroków i dojść do okna. Wyjrzawszy na dwór, zobaczyła nad stawem kobietę, dziecko i dwa psy.

Wyglądało na to, że Rosa spaceruje po majątku bez ograniczeń. Lucy wiedziała jednak, że nie wolno jej pozwolić sobie znowu na zwątpienie. Wydawało jej się zresztą, że już poznała sekret Jacka. Postanowiła posiedzieć przy oknie, znudziło jej się bowiem leżenie w łóżku, a na dalsze wycieczki nie mogła sobie pozwolić.

- Czy powinna pani już schodzić na dół? - zaniepokoiła się Amelia, gdy następnego popołudnia Lucy dołączyła do niej podczas podwieczorku, który podano w ogrodzie. - Przecież doktor zalecił kilkudniowy odpoczynek.

- Nie mogę znieść siedzenia w pokoju przy takiej ładnej pogodzie - odparła Lucy. - Niech pani mnie nie strofuje, Amelio. Nie będę próbować spacerów ani tym bardziej konnej jazdy, póki noga naprawdę mi nie wydobrzeje.

- Nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób utrzymała się pani tak długo na grzbiecie Firethorna. Ja w ogóle nie odważyłabym się go dosiąść, zwłaszcza że od dwóch dni stał w stajni.

- Zauważyłam, że jest niespokojny - przyznała Lucy. - Pewnie powinnam była zawrócić, ale duma mi na to nie pozwoliła. Może nawet udałoby mi się utrzymać w siodle, gdyby nie lis.

- To prawdziwe szczęście, że nie stało się pani nic gorszego - stwierdziła Amelia. - Zachowała się pani lekkomyślnie, Lucy, ale ja w pani wieku postępowałam podobnie. - Wyraźnie posmutniała. - Muszę pani wyjawić, że w końcu przyszłego tygodnia wracam do domu męża, do Londynu. Otrzymałam list z informacją o jego rychłym przyjeździe do Anglii. Mąż wyraził życzenie, abym czekała na niego w mieście. Najwidoczniej wyjechał wkrótce po mnie. Miałam cichą nadzieję, że jeszcze tak szybko się nie zjawi.

- Rozumiem... - Lucy czuła, że Amelia jest bardzo poruszona i nieszczęśliwa. - Będzie mi pani brakować. Liczę na to, że kiedy z Jackiem się pobierzemy, przyjedzie pani do nas w odwiedziny.

- Jeśli tylko mąż mi pozwoli. Nie należy się spodziewać, że będę was tu często odwiedzać, ale na pewno wpadnę do was w Londynie.

Lucy nie wiedziała, co powiedzieć. Od początku zauważyła, że Amelia starannie skrywa smutek. Domyślała się powodu, nie miała jednak pewności, wołała więc nie poruszać drażliwego tematu.

Tymczasem przyłączyły się do nich siostry Lucy i jej matka. Marianne i Drew zdecydowali się przedłużyć pobyt w domu lorda Harcourta, aby móc się przekonać na własne oczy, że Lucy wydobrzała.

- Nie wiesz, co się dzieje z Jackiem? - spytała Lucy, gdy obok niej zajęła miejsce Jo. - Nie widziałam go od rana.

- Zdaje się, że ma coś ważnego do załatwienia - wtrąciła Marianne. - Pojechali z nim Drew i Hal. To, zdaje się, dotyczyło koni, ale Drew nie wyraził się jasno.

- Rozumiem. - Lucy skinęła głową, nie było bowiem niczego ważniejszego od kupna nowych rasowych koni, zwłaszcza jeśli ktoś prowadził hodowlę. - W tej sytuacji zapewne szybko ich nie zobaczymy.

- Drew pożegnał się ze mną tylko do wieczoru - oznajmiła Marianne. - Do domu wrócimy pewnie na początku przyszłego tygodnia. Jack musiał odwołać kolację dla sąsiadów z powodu twojego wypadku, Lucy, ale przełożył ją na poniedziałek. Ruszymy w drogę następnego dnia. Jestem dumna z Drew, że wykazuje tyle cierpliwości, bo czekają na niego ważne sprawy w majątku.

- Domyślam się - powiedziała Lucy. - Tu w przyszłym tygodniu zaczyna się odnawianie, zostaniemy obejrzyć początek prac, ale potem mama pewnie będzie chciała jechać do domu. - Zerknęła na panią Horne, która potwierdziła to przypuszczenie skinieniem głowy. - Jack obiecał nas odwiedzić, lecz musi tu przyjechać, bo pańskie oko konia tuczy.

- Czy ustaliliście datę ślubu? - spytała Jo, kładąc dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu. - Nie odwlekajcie za bardzo, Lucy, bo nie będę mogła przyjechać.

- Myślę, że to będzie za jakieś dwa miesiące - powiedziała Lucy, zerkając na matkę.

- Po co czekać tak długo? - zdziwiła się Jo. - Oboje jesteście zdecydowani. Na zapowiedzi można dać zaraz po twoim przyjeździe do domu.

- Nie jestem pewna. Nie rozmawiałam jeszcze o tym z Jackiem.

- Zrób to więc jak najszybciej - poprosiła Jo. - Ten mały despota zaczyna rządzić moim życiem, a nie chciałabym opuścić twojego ślubu.

- Musisz na nim być, to zrozumiało!

Lucy ponownie zerknęła na matkę, ale pani Horne nie zabrała głosu. Potem konwersacja zeszła na bardziej ogólne tematy, a Lucy popadła w zamyślenie. Doszła do wniosku, że istotnie ślub mógłby się odbyć wkrótce po odczytaniu zapowiedzi.

- Czy możemy iść na spacer do ogrodu? - spytała Lucy Jacka, gdy wszyscy usiedli w salonie. - Chciałabym coś ci powiedzieć.

Zmarszczył czoło, widząc jej poważną minę, ale natychmiast wstał i podał jej ramię.

- Proszę bardzo. Jestem do dyspozycji.

Wkrótce znaleźli się w ogrodzie. Światła z górnych pięter domu rzucały cienie w rozarium.

- Czy to coś ważnego? - Jack odwrócił się twarzą do Lucy.

- Czy coś się stało?

Spojrzała mu w oczy.

- Jo pytała mnie o datę ślubu. Prosiła, żebym nie zwlekała zbyt długo, bo obawia się, że potem nie przyjedzie.

- Czy chcesz wziąć ślub, powiedzmy za miesiąc?

- Tak. Wiem, że mama życzyła sobie trzymiesięcznego okresu narzeczeństwa, ale jeśli ją poprosimy, to może ustąpi.

- Wiesz dobrze, że o niczym innym bardziej nie marzę.

- Jack musnął jej wargi raz, drugi, a potem pocałunek zaczął nabierać gwałtowności. - Tak bardzo cię pragnę, Lucy!

- Weź mnie teraz. Kocham cię i chcę do ciebie należeć.

- Jeszcze nie - powiedział, przytomniejąc, i zaczął poprawiać jej suknię. - Pokusa pokusą, ale poczekamy do dnia, aż będziesz miała obrączkę na palcu.

- Zapytaj więc mamę, czy możemy przyspieszyć zapowiedzi - szepnęła Lucy, głaszcząc go po szyi. - Nie wiem, jak inaczej wytrzymamy.

- Powiedziałałam Jackowi, że przemyślę sprawę - oznajmiła pani Horne, gdy Lucy zeszła na dół następnego dnia przed południem. - Czy na pewno jesteś zdecydowana? Wiem, że go kochasz, ale do tej pory coś cię niepokoiło, prawda?

- Tak, mam - przyznała. - To już załatwiliśmy. Kocham Jacka z wzajemnością.

- Mnie też tak się zdaje. - Pani Horne popadła w zadumę. - Dam ci odpowiedź dzisiaj wieczorem. Zgoda?

- Naturalnie, mam. Podporządkuję się twojej decyzji, bo zawsze byłaś taka dobra.

- Powiedz tymczasem, co zamierzasz dzisiaj robić. Jest ciepło, chyba można posiedzieć w ogrodzie.

- Myślałam o przejażdżce kariołką. Nie widziałam Jacka. Nie wiesz, gdzie można go znaleźć?

- Pewnie ma coś do zrobienia w majątku, bo wziął z sobą Drew i Hala. Może zaprosisz na przejażdżkę którąś z sióstr? Nie wolno ci się bać z powodu tego upadku.

- Och, wcale się nie boję. Zaraz zobaczę, czy Jo albo Marianne zechce pojechać. Najpierw jednak poproszę o przygotowanie zaprzęgu. Do konnej jazdy jeszcze się nie nadaję, noga wciąż mnie boli, ale powozić mogę z pewnością.

Okazało się, że Marianne jest zajęta przy ząbkującej Andrei, a Jo leży w łóżku, bo nie najlepiej się czuje.

- Może lepiej posiedzę z tobą? - zaproponowała Lucy. - Chyba że chcesz pospać, Jo.

- Sen na pewno dobrze mi zrobi. Ostatnio się rozleniwiłam, ale ty jedź, Lucy, powinnaś odetchnąć świeżym powietrzem. Może wyciągniesz Amelię?

- O ile wiem, Amelia pół godziny temu poszła na spacer. Mogę pojechać sama. Koni się nie boję, jeśli o to chodzi.

Zeszła na dół, gdzie Jeremiasz czekał z kariolką. Spojrzał na nią dość niepewnie.

- Pan Brent powiedział, że mam z panią jechać. Tak na wszelki wypadek.

- Naturalnie, jeśli sobie życzysz. - Lucy uśmiechnęła się do chłopaka, bo nie miała nic przeciwko takiemu opiekunowi. Była zresztą pewna, że potrafi zapanować nad końmi.

- Przepraszam, że pozwoliłem pani pojechać na tym diable wcielonym - powiedział Jeremiasz, kiedy wskoczył na miejsce obok Lucy. - Powinienem był panią ostrzec.

- Mam nadzieję, że twój pan nie złościł się za bardzo. To nie była twoja wina. Natychmiast zauważyłam, że koń jest niespokojny, a mimo to nie zawróciłam.

- Dobrze sobie pani z nim radziła - zauważył z podziwem chłopak, który zdążył ulec czarowi swej przyszłej pani. - Jego lordowska mość był bardzo zły, lecz postąpił uczciwie. Pan Brent wytargał mnie za ucho i daje mi najgorsze prace, ale i tak mogło skończyć się dużo gorzej.

- W przyszłości zwróć mi uwagę, jeśli wybiorę niewłaściwego konia - powiedziała Lucy i ruszyła w stronę parku. Nie zamierzała przejeżdżać przez las. Jeśli Jack ma sekret, to jej obowiązkiem jest go uszanować. Postanowiła przecież bardzo uważać, żeby nie doprowadzić do następnej kłótni.

Rozdział dziesiąty

Lucy cieszyła się przejażdżką po znajomych parkowych ścieżkach. Wyszło jednak na jaw, że orientacja czasem ją zawodzi. W pewnej chwili, bardzo z siebie niezadowolona, zorientowała się, że wyjechała na publiczny trakt.

- Czy wiesz, gdzie się znajdujemy? - spytała Jeremiasza.

- Tak, proszę pani. Jeśli pojedzie pani dalej tą drogą, przejedziemy przez wieś, a gdy przy kościele skęcimy w prawo, wkrótce znowu będziemy na gruntach jego lordowskiej mości.

- Dobrze, że ze mną jesteś. Inaczej musiałabym zatrzymać kariolkę i spytać kogoś o drogę.

Istotnie, zbliżali się do wsi, której budynki skupiły się po obu stronach drogi. Były wśród nich zajazd, piekarnia i kuźnia. Przy końcu stał również kościół z plebanią, dużym, solidnym budynkiem z ogrodem od frontu. Lucy przypomniała sobie plebanię, na której sama kiedyś mieszkała. Zgodnie ze wskazówką skęcila i wkrótce ujrzala las. Wydał jej się znajomy, a po kilku minutach upewniła się, że zatoczyła koło i zbliża się do stawu od drugiej strony. Zauważyła dom, w którym mieszkała Rosa z chłopcem.

Lucy zawahała się, czy nie spróbować objazdu, ale właśnie na drogę wybiegły dwa psy i musiała zatrzymać kariolkę. Chwilę później za psami pojawił się chłopiec, a za nim kobieta, która chwyciła go ze śmiechem i poderwawszy z ziemi, przytuliła. Lucy rozpoznała tę kobietę. Teraz nie dziwiła się zachowaniu Jacka.

Podala wodze Jeremiaszowi i wysiadła. Amelia ją spostrzegła i spojrzala w jej strone z wyraźnym niepokojem.

- Pochodź z końmi, Jeremiaszu - polecila Lucy. - To może potrwać dość długo.

Chłopak skinął głową, zeskoczył na ziemię i poprowadził konie drogą. Lucy uśmiechnęła się i czekała, aż Amelia do niej podejdzie.

- Co pani tu robi? - spytała zaskoczona lady Staunton. - Czy powinna pani powozić po poprzednich przejściach?

- Towarzyszy mi Jeremiasz. Nawet dobrze się stało, bo pomyliłam drogę w parku i musiałam pojechać przez wieś. - Poparzyła na Amelię, a potem na dziecko. Mimo różnicy w karnacji dostrzegła wyraźne podobieństwo. - Znalazłam się tu przypadkiem. Nie szpiegowałam pani, Amelio, i solennie obiecuję dochować sekretu. Nikomu nie pisnę nawet słówka.

- Mojego sekretu... - Amelia pobladła. - Pani się wydaje, że go poznała, ale prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Anthony rzeczywiście jest moim synem, ale bardzo długo go nie widziałam... - W oczach zalśniły jej łzy. Delikatnie popchnęła chłopca. - Idź do Rosy, mój mały.

Chłopiec popatrzył na nią tak, jakby chciał zaprotestować, ale właśnie w tej chwili Rosa wyszła przed dom. Nie próbowała jednak podejść. Mierząc Lucy wrogim spojrzeniem, poczekała, aż chłopiec znajdzie się przy niej, i natychmiast zaprowadziła go do środka.

- Gdyby Staunton się dowiedział, że tutaj jestem, odebrałby mi młodszego syna - powiedziała drżącym głosem Amelia. - Pani nawet nie wie, jaki on potrafi być okrutny. Słyszałam od Jacka o waszej kłótni z powodu tej dziewczyny. Błagał mnie, żebym dopuściła panią do sekretu, ale odmówiłam, bo bałam się tego, co pani może sobie pomyśleć albo powiedzieć.

- Nie potępiam pani - odrzekła bez wahania Lucy. - Dlaczego miałabym to robić? Nie znam pani historii, Amelio, i nie musi mi jej pani opowiadać. A do Jacka już nie żywię pretensji, bo wiem, że chodziło mu o panią.

- Opowiem pani wszystko, lecz nie teraz i nie tutaj. Proszę jechać dalej i pozwolić mi pożegnać się z synem. Minie wiele miesięcy albo lat, zanim go ujrzę. Może nawet nigdy go nie zobaczę.

- Przykro mi. Nie chciałabym dokładać pani strapień.

- Nie wyjawisz mi mojego sekretu? Proszę mi dać słowo, Lucy!

- Daję słowo...

Lucy przywołała stajennego, który na szczęście nie odszedł zbyt daleko.

- Jedziemy!

Kiedy wysiadła z kariołki przed domem, a Jeremiasz szykował się, by odprowadzić konie do stajni, zatrzymała go na chwilę.

- Pamiętaj, żebyś nie powtarzał niczego, co mogłeś dziś usłyszeć.

- Niczego nie słyszałem, proszę pani, i nie było niczego ciekawego do oglądania, tylko psy i dziecko.

Lucy uśmiechnęła się, szczerłość chłopca nie ulegała bowiem wątpliwości.

- Dziękuję - powiedziała. - Następnym razem masz u mnie gwineę.

- Mama się ucieszy, proszę pani. - Szeroko się uśmiechnął. - Czy będziemy jeździć kariołką, kiedy zostanie pani żoną jego lordowskiej mości? To lepsze niż przewracanie gnoju.

Lucy roześmiała się i weszła do domu. Jeremiasz niewątpliwie miał szansę zostać jej ulubieńcem.

Lucy przebrała się w śliczną muślinową suknię, a mniej więcej po godzinie ujrzała wracającą Amelię, wyszła jej więc na spotkanie. Razem skręciły do rozarium i wybrały ustronną ławeczkę.

- Wiem, że brała pani Anthony'ego za syna Jacka - zaczęła Amelia, nerwowo skubiąc białe rękawiczki. - Brat chronił mnie, bo kiedy urodziłam syna, zamierzałam go oddać, tak bardzo się wstydziłam.

- Jack chciał go zatrzymać? Amelia skinęła głową.

- Kiedy to się stało, miałam siedemnaście lat. Wówczas różne pomysły przychodziły mi do głowy, temperamentu mi nie brakowało. Moja matka umarła bardzo wcześnie i ojciec ożenił się ponownie. Nie lubiłam macochy, a ona mnie wręcz nienawidziła. Nie mogła znieść mojego widoku, więc często zostawałam w domu, gdy jechali z ojcem do Londynu albo do któregoś z rodzinnych

majątków. Tej posiadłości macocha nie lubiła, pewnie wyczuwała w nim zbyt silny wpływ mojej matki.

- To możliwe, sama go dostrzegam w wielu szczegółach. - Lucy rozejrzała się dookoła. - Ale mnie to się podoba. Cieszę się, że przede mną inna kobieta była tu szczęśliwa. Nieważne, proszę mówić dalej.

- Miałam guwernantkę, która zupełnie nade mną nie panowała, zresztą nawet nieszczególnie się starała. Kiedy skończyłam siedemnaście lat, ojciec ją zwolnił. Zamierzał wysłać mnie do przyjaciółki, która przemieniłaby mnie w dobrze ułożoną młodą damę, ale nie zdążył, bo umarł. W tym czasie Jack walczył w Hiszpanii, byłam więc zdana na łaskę macochy, która robiła wszystko, żeby uprzykrzyć mi życie. Wtedy poznałam kapitana George'a Garricka, który przedstawił mi się jako przyjaciel Jacka. Przywiózł mi od niego list i zapowiedział, że będzie mnie odwiedzał najczęściej, jak tylko się uda. - Amelia urwała z wyrazem rozmarzenia w oczach.

- Przyjemnie mi było w jego towarzystwie. Był elegancki, żartował, dawał mi drobne prezenty i kwiaty, a potem zaczęły się pieszczoty. Byłam młoda i niewinna, spodobały mi się jego pocałunki, a kiedy zaczął pozwalać sobie na więcej, nie próbowałam go powstrzymać. To działo się stopniowo, któregoś dnia na pocałunkach się nie skończyło. Oddałam mu się, bo go pokochałam. Kilka dni później wyjechał i więcej go nie zobaczyłam.

- Musiała pani bardzo to przeżyć - powiedziała współczująco Lucy.

- Nie wiedziałam, co robić. Macocha zagroziła, że wyśle mnie do zakładu dla panien z dziećmi, bo to jest właściwe miejsce dla takich jak ja.

- Jak mogła! - odruchowo wykrzyknęła Lucy, zdumiona i zarazem oburzona takim okrucieństwem. - Czy nie lepiej byłoby napisać do kochanka i opowiedzieć mu, co się stało?

- Sądziłam, że mnie porzucił. Dopiero potem dowiedziałam się, jaką rolę odegrała w tym macocha.

- Co ona jeszcze zrobiła?

- Jack przyjechał, zanim zdążyła narobić więcej zła. Nie uwierzył macosze, która powiedziała mu, że jestem zepsuta do cna i sama na siebie sprowadziłam nieszczęście. Wysłuchał mnie, odszukał przyjaciela, ale George zaręczył się z kim innym i nie chciał złamać danego słowa. Jack wpadł we wściekłość. Odbił się pojedynek, którego szczegółów nie znam, bo brat nigdy mi ich nie zdradził. W każdym razie wróciłam razem z nim do Hiszpanii i tam urodziłam dziecko. Mieszkałam z Rosą w domu na uboczu, a kilka miesięcy po narodzinach syna Jack przywiózł całą naszą trójkę do Anglii. Rosa zamieszkała z Anthonyem we wdowim domu, żebyśmy mogła syna odwiedzać. Przez rok bywałam u niego bardzo często... - Amelia urwała i popadła w zadumę.

- Co wydarzyło się potem? Może pani dalej opowiadać? Skinęła głową.

- Jack musiał wyjechać z Anglii, jego pułk stacjonował wtedy we Francji. Mimo gróźb macocha nie odważyła się odesłać mnie do zakładu, bała się Jacka. Jednak gdy go nie było, na każdym kroku rzucała mi kłody pod nogi, a gdy Staunton zaczął się do mnie zalecać, wręcz zmusiła mnie do małżeństwa.

- Nic pani do niego nie czuje?

- Początkowo nawet go lubiłam - odrzekła ze smutkiem Amelia. - Nie znałam jego prawdziwego charakteru. Macocha zapowiedziała, że jeśli odrzucę jego oświadczyzny, to już nigdy nie wyjdę za mąż, bo ona ujawni moje prawdziwe oblicze, a takiej kobiety nie przyjmie nikt w przyzwoitym towarzystwie.

- To straszne! Co za okrucieństwo!

- Nie bałam się jej, wiedziałam bowiem, że mam oparcie w Jacku. Myślałam jednak, że jeśli wyjdę za mąż, to się od niej uwolnię, a Staunton był wtedy całkiem atrakcyjnym mężczyzną, w dodatku zamożnym. - Amelia się wzdrygnęła. - Swój błąd zrozumiałam w noc poślubną, kiedy Staunton zorientował się, że nie jestem dziewicą. Nie będę pani opowiadać, jak to osiągnął, w każdym razie zmusił mnie, abym powiedziała mu o dziecku. Wtedy

ostrzegł, że jeśli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, to mnie zabije, a potem pobił mnie i zgwałcił.

Lucy miała łzy w oczach.

- Nie mogłam go opuścić, ponieważ się go bałam - ciągnęła Amelia. - Byłam bardziej jego niewolnicą niż żoną, a on nie dawał mi spokoju, nawet kiedy okazało się, że jestem przy nadziei. - Łzy popłynęły jej po twarzy. - Żałuję, że go nie opuściłam, zanim poczęłam dziecko, bo teraz kocham obu moich synów, a on kazał mi między nimi wybrać.

- To niewyobrażalne! - zawołała przejęta zgrozą Lucy.

- Niestety, prawdziwe. Potem spotkałam subtelnego, dobrego mężczyznę, którego pokochałam z wzajemnością. Nazywał się David Middleton. Chciał zabrać mnie od męża, wiedziałam jednak, że gdybym mu na to pozwoliła, Staunton odebrałby mi syna. Przeżywałam rozterki, a Anthony'ego bałam się odwiedzać. W końcu mąż wymusił na mnie, abym pojechała z nim do Indii. Przed wyjazdem przysięgam Davidowi, że go nie opuszczę. Tymczasem kilka miesięcy temu Davida zamordowano.

- To chyba nie...?

- Nie Staunton? - Dokończyła za nią Amelia. - Nie. On miałby na to za mało odwagi. Od Jacka wiem, że David zginął po kłótni przy grze w karty. I tak straciłam wszelką nadzieję. Póki David żył, liczyłam, że może jakoś się uwolnić od męża, ale teraz...

- Na pewno dotrzymam pani sekretu, Amelio - obiecała Lucy.

- Dziękuję. Wiem, że powinnam się zbuntować. Anthony jest moim synem, a tymczasem Jack udaje, że to jego nieślubne dziecko. Powinnam była pozwolić, żeby przynajmniej, pani wyjawiał prawdę, zachowałam się ogromnie egoistycznie. Proszę mi wybaczyć, Lucy.

- Niech się pani nie martwi. Gdyby Jack chciał adoptować pani syna i wziąć go do naszego domu, nie miałabym nic przeciwko temu. Owszem, byłam zazdrosna, kiedy podejrzewałam, że Rosa jest jego kochanką, ale...

- Wielkie nieba! Usłyszała to pani od niej? - Amelia wpadła w złość. - To żalotne. Moim zdaniem Jack powinien ją zwolnić i znaleźć kogoś innego. Jej już nie można ufać.

- Proszę nie wyrzucać jej z mojego powodu! - zaprotestowała Lucy. - Teraz wiem, jak niemądrze się zachowałam, i Rosa nie będzie w stanie mnie urazić.

- Niech więc na razie wszystko zostanie po staremu. Chciałabym odejść od Stauntona, ale przypuszczam, że sprowadziłby mnie z powrotem. Nie zniosłabym, gdyby miało to się odbić na którymkolwiek z moich synów. Właśnie z tego powodu tak rzadko tu przyjeżdżam.

- Czy gdyby Jack go adoptował, pani mąż pozwalałby jej czasem nas odwiedzać?

- Nie wiem. Jeśli ludzie uwierzyliby, że Anthony naprawdę jest synem Jacka, a brat oficjalnie go uznał...

- Musi pani poprosić o to Jacka. Ja też z nim porozmawiam, bo wydaje mi się, że to jedyny sposób na ukrócenie tyranii pani męża.

- Pani jest wielkoduszna. - Amelia ujęła ją za rękę. - Cieszę się, że Jack panią pokochał. Wydawało mi się, że on nigdy się nie ożeni.

- Dziękuję za powierzenie mi sekretu - powiedziała Lucy i przesłała Amelii pokrzepiający uśmiech.

- Powinna była zrobić to znacznie wcześniej.

- Chodźmy do domu. Chyba panowie nie zdążą na obiad, ale panie na pewno już czekają.

Podczas obiadu Amelia prawie się nie odzywała, a zaraz potem poszła do pokoju Davida. Tymczasem służba wyniosła krzesła na dwór, aby damy mogły skorzystać z pięknej pogody. Chętnych jednak nie było. Jo leżała w łóżku, Marianne i pani Horne zajęły się szyciem ubranek dla dziecka, a Lucy postanowiła pospacerować. Ze względu na odległość bała się iść nad staw,

postanowiła zacząć od ogrodu, gdzie mogła usiąść na ławce, gdyby noga dała o sobie znać.

Przeszła pod różaną pergolą, za którą zaczynał się ogród, otoczony równo przyciętym żywopłotem. Miejsce wyglądało bardzo tajemniczo. Lucy przystanąła nad sadzawką, podziwiając siadające na liliach wodnych ważki. Po pewnym czasie zorientowała się, że ktoś ją obserwuje.

Odwróciła się i zobaczyła Rosę. Hiszpanka była sama, wpatrywała się w nią nienawistnie, chowając ręce za plecami.

- Co pani tu robi? - spytała Lucy, nagle przestraszona. Zachowanie Rosy wydało jej się bardzo podejrzane. - Gdzie jest Anthony? Pani jest jego piastunką i powinna być przy chłopcu.

- Śpi - odparła Rosa. - Nie zbudzi się przynajmniej przez kilka godzin. Doprawiłam mu mleko.

- Jak pani mogła?! To karygodne! Mam rozumieć, że to nie pierwszy raz? - Wyraz twarzy Rosy wystarczył za odpowiedź. - Pani nie powinna opiekować się dzieckiem. Powiem Jackowi, żeby przeniósł chłopca do dworu, a panią oddalił. Na nic innego pani nie zasługuje.

- Ukradłaś mi go - syknęła Rosa, zbliżając się do Lucy.

Wydawała się w tej chwili niespełna rozumu. - Zabierają mi wszystko, co kocham. To nieuczciwe. Dlaczego masz wziąć to, co mnie się należy? To ja jestem matką tego dziecka. Byliśmy z Jackiem szczęśliwi, póki ciebie nie poznał.

- Pani nie jest matką Anthony'ego - stwierdziła Lucy - a lord Harcourt nigdy nie był jej kochankiem. To czysty wymysł, Roso, pani jest tylko piastunką chłopca. Nie może dłużej pani opiekować się nim, ponieważ jest chora.

- Kłamiesz! - Rosa poderwała nagle prawe ramię i Lucy dostrzegła błysk w powietrzu. Oszalała piastunka rzuciła się na nią z nożem. - Ukradłaś mi go! Kiedy cię zabiję, on do mnie wróci...

- Nie! - krzyknęła Lucy i wyciągnęła ramiona przed siebie. Zdołała chwycić Rosę za nadgarstek i obie zaczęły się mocować. - Pomocy! Pomocy!

Wtem zza żywopłotu wyskoczył jakiś mężczyzna i chwycił Rosę od tyłu. Zamknięta w mocnym uścisku Hiszpanka miotła się i wiła, przez cały czas ciskając obelgi w stronę Lucy.

- Lucy...

Odetchnęła z ulgą, słysząc znajomy głos.

- Niech pan mu pomoże, Jack. Ona ma nóż.

Nagle Rosa wyrwała się z uścisku, ale Jack zastawił jej drogę. Zamachnęła się na oślep i ugodziła Jacka w ramię. W tym momencie mężczyzna, który wcześniej próbował ją powstrzymać, złapał ją ponownie. Tym razem wykręcił jej rękę, wyjął broń z dłoni i wrzucił do sadzawki.

- Przestań, Roso - powiedział spokojnie. - To nie twój kochanek. Jesteś moja i tylko moja. Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Szukałem cię.

Rosa poderwała głowę. Widać było, że poznała mężczyznę, bo nagle opuściła ją cała chęć walki.

- Jose - jęknęła i powiedziała coś szybko po hiszpańsku. Zrozumiawszy, że zagrożenie minęło, Jack podszedł do

Lucy i czule ją objął.

- Dzięki Bogu, że ten człowiek był blisko - powiedział. - Szukałem go. Już wiem, kto to jest.

- Kochanek Rosy. Sam to przed chwilą powiedział.

- Tak przypuszczałem. Kiedy Rosa do nas przyszła, powiedziała nam, że ojciec nie zgodził się oddać jej ręki ukochanemu. Sądziła, że wstąpił do wojska i zginął we Francji. Rosa uciekła z domu, a my zatrudniliśmy ją jako piastunkę Anthony'ego. Gdy wracaliśmy do Anglii, ubłagała nas, żeby ją zabrać. Zgodziliśmy się, ponieważ rzeczywiście nie miała gdzie się podziać. Długo wszystko było w najlepszym porządku, ale potem... Cóż, od dość dawna wiem, że Rosa nie może dalej opiekować się Anthonym.

- Rosa jest moja - powiedział Jose i Lucy z Jackiem skierowali na niego spojrzenia. Rosa stała ze spuszczoną głową, oczy miała mętne i wydawało się, że niewiele rozumie z tego, co się dzieje. - Muszę ją stąd zabrać, ona chora. Wrócimy do Hiszpanii i weźmiemy ślub.

- Próbowała zabić moją narzeczoną - powiedział Jack. - Zgodnie z prawem, powinna iść pod sąd za usiłowanie zabójstwa.

- Nie, Jack. - Lucy dotknęła jego ramienia. - Niech Jose ją zabierze. Ona mnie nie skrzywdzi, bo Jose jej na to nie pozwoli, a mam wobec niego dług wdzięczności. Już drugi raz przyszedł mi z pomocą wtedy, kiedy bardzo jej potrzebowałam.

- To prawda - przyznał Jack. Nie ulegało zresztą wątpliwości, że Rosa straciła bojowego ducha. - Musi pan bardzo ją kochać, bo inaczej nie wybrałby się pan w tak daleką podróż, aby ją odnaleźć.

- Szukałem Rosy wiele miesięcy - odrzekł Jose. - Widzę ją i pana koło domu i myślę: kochanek. Ale potem widzę pana i ta dama i widzę miłość. Rosa chora. Wrócimy do Hiszpanii.

- Zabieraj ją więc - zdecydował Jack. - Tylko pilnuj, żeby tutaj nie wróciła, bo wtedy nie będę taki pobłażliwy.

- Jack, ramię trzeba opatrzyć, krwawi. - Lucy pociągnęła go ku domowi, a Jose z Rosą się oddalali. - Poza tym Anthony jest bez opieki. Ona dała mu coś na sen, trzeba go przenieść do dworu, żeby nic mu się nie stało.

Jack spojrzał na nią czule.

- Anthony już jest w domu pod opieką Millie. Poszedłem do wdowiego domku, aby powiedzieć Rosie, że znalazłem dla nich dobre miejsce, ale zastałem tylko chłopca. Spał jakimś dziwnym, nienaturalnym snem. Zrobiłem więc to, co dawno już powinienem, i przenieśliśmy go do dworu.

- Cieszę się. Możesz go adoptować, Jack, i będziemy go wychowywać w naszej rodzinie.

- Naprawdę byś tego chciała?

- Naturalnie. Obiecałam to Amelii. Wszystko mi opowiedziała.

Zobaczyłam ją z dzieckiem i uznałam, że adopcja jest najlepszym wyjściem. Nie pojechałam tam specjalnie. Jeremiasz mnie pokierował, a ja nie wiedziałam, że będziemy mijać wdowi dom.

- Nie ma powodu, żebyś nie jeździła tamtą drogą. Cieszę się, że poznałaś prawdę, Lucy. Cierpiałem z powodu tych kłamstw.

- Właściwie nie kłamałeś, raczej zachowywałeś milczenie. Doskonale teraz rozumiem dlaczego. Obiecałam twojej siostrze, że nigdy nikomu nie wyjawię jej sekretu.

- Amelia sama postanowiła go ujawnić. Kiedy dowiedziała się, co zaszło, przysięgła, że więcej nie zostawi syna z opiekunką. Postanowiła odejść od męża. Powiedziałem jej, że może zamieszkać z obydwojema swoimi synami we wdowim domu, żeby była blisko nas.

- To wspaniale. Czy mąż pozwoli jej zatrzymać Davida? Przecież prawo jest po jego stronie, a jeśli Amelia odmówi, może ją zmusić do wydania dziecka.

- Tego, co teraz powiem, proszę, nie powtarzaj nikomu, nawet Amelii. Drew i ja przeprowadziliśmy trudną rozmowę. Wcale nie pojechaliśmy kupować koni, tylko spotkaliśmy się z ojcem Anthony'ego, który chciałby wynagrodzić Amelii krzywdę sprzed lat.

- Jak to możliwe? - spytała Lucy. - Przecież zostawił ją na łasce macochy i tylko dlatego, że przyjechałeś z Hiszpanii, nie odesłano jej do zakładu.

- To prawda, ale George nie ma dzieci. W swoim czasie zostawił Amelię, ponieważ powiedziano mu, że jest przyrzeczona innemu. Kiedy go odnalazłem, był już po słowie z majątną dziedziczką i nie chciał zerwać zaręczyn. Ożenił się z nią dla pieniędzy i potem gorzko tego żałował, na szczęście dla niego rok temu bezdzietnie zmarła. O dziecku Amelii George dowiedział się dopiero przed kilkoma miesiącami. Usłyszał przypadkiem, że Staunton znęca się nad żoną, a gdy wyszło na jaw dlaczego, ruszyło go sumienie. Od tej pory szuka sposobu na uwolnienie Amelii od męża i chyba go w końcu znalazł.

- Myślisz, że ten sposób będzie skuteczny? Jak wyrzucić nacisk na takiego człowieka jak lord Staunton?

- O śmierć Davida Middletona oskarżyłem sir Fredericka Collingwooda. Rzeczywiście David zginął z jego ręki - wyjaśnił Jack. - George twierdzi jednak, że Collingwooda kupił Staunton. Collingwood miał wobec niego dług, który niechybnie zaprowadziłby go do więzienia, gdyby tylko Staunton złożył skargę. Najwidoczniej doszli do porozumienia. Śmierć Davida za weksle. Wygląda na to, że w swoim czasie Collingwood zastawił cały majątek i byłby zrujnowany, gdyby Staunton chciał uruchomić te weksle.

- Czy można tego dowieść?

- Collingwood siedzi w więzieniu i czeka na proces. George ma pewien wpływ na sędziego, który będzie przewodził procesowi. Ten sędzia obiecał mu, że Collingwood zostanie skazany na kolonię karną, a nie na powieszenie, jeśli się przyzna, opisz dokładnie, co zrobił, i oskarży Stauntona.

- Amelia nic o tym nie wie? - Lucy spojrzała na niego z podziwem.

- Sprawa jest w toku. Nie chcę budzić złudnych nadziei, ale jeśli Collingwood złamie dane słowo, to znajdę inny sposób, żeby pozbyć się Stauntona. Skoro wreszcie siostra postanowiła go opuścić, nie mogę jej zawieść.

- Och, Jack. - Lucy objęła go za szyję i pocałowała. - Jesteś cudowny! Cieszę się, że masz do mnie zaufanie.

- Mam nadzieję, że pani Horne nie sprzeciwi się naszemu ślubowi z powodu chłopca - powiedział Jack. - Jeśli będzie inaczej, niewykluczone, że uciekniemy, bo naprawdę nie mogę dłużej czekać.

- Rano zadał mi pan pytanie, Jack - oznajmiła pani Horne, gdy wszyscy zgromadzili się w salonie przed kolacją. - Muszę przyznać, że długo biłam się z myślami, a gdy sprowadził pan tu po południu Anthony'ego, byłam po prostu wstrząśnięta. Jednak Amelia uznała za stosowne wyjawić mi prawdę. To zmienia sytuację.

- Czyli nie musimy czekać pełnych trzech miesięcy? - spytał Jack, przesyłając Lucy szelmowskie spojrzenie. - To dobrze, bo oboje chcemy się pobrać, gdy tylko skończą się zapowiedzi.

- Nie widzę przeszkód - powiedziała ciepło pani Horne. - Zachował się pan bardzo szlachetnie, biorąc winę na siebie i osłaniając siostrę. Wiele mówi o pana charakterze to, że nie próbował pan się bronić, choć bez trudu mógł ukrećić łeb plotkom.

- Za nic nie zaszkodziłbym siostrze. Amelia sama doszła do wniosku, że przerywa milczenie, nie próbowałem na nią w żaden sposób wpłynąć. To bardzo odważna decyzja, ponieważ wiem, że Staunton będzie się na niej mścił.

- Nie możesz na to pozwolić, Jack - odezwała się Lucy. - Trzeba powstrzymać Stauntona. Amelia ma prawo do odrobiny szczęścia.

- To prawda. Zamierzam dopilnować, by dostała to, na co zasługuje. Zamieszka we wdowim domu, ale dopiero wtedy, gdy będę miał pewność, że nic jej nie grozi.

- Naturalnie - potwierdziła natychmiast Lucy.

- Jesteście dla mnie zbyt dobrzy - orzekła Amelia ze łzami w oczach. - Jack od dawna zachęcał mnie do opuszczenia męża, ale nie mogłam się zdecydować na ten krok i odmawiałam sobie radości widywania Anthony'ego. Teraz zmieniłam zdanie. Nie dopuszczę, by cokolwiek rozdzieliło mnie z którymkolwiek z synów.

- Nie będzie takiej konieczności - zapewnił ją Jack. - Jeśli Staunton spróbuje stwarzać problemy, to sobie z nim poradzimy.

Na tym temat się wyczerpał i wszyscy zaczęli rozmawiać o zbliżającym się ślubie. Lucy z mamą planowały wyjazd do domu w następnym tygodniu, po przyjęciu wydanym dla sąsiadów. Jack postanowił odwiedzić je do Sawlebridge i zostać tam kilka dni, potem zaś wrócić, aby przypilnować odnawiania dworu. W końcu cała rodzina miała zgromadzić się w Sawlebridge na uroczystościach weselnych.

Gdy damy opuściły pijących porto panów, doszły zgodnie do wniosku, że potrzebują nowych kreacji. W największej potrzebie była naturalnie Jo, która szybko przybierała w talii i nie mieściła się w większość swoich sukni.

- Chciałabym sama uszyć sobie suknię ślubną - oznajmiła

Lucy. - Pamiętacie, jak na plebani Marianne przygotowywała wykroje, a my je zszywałyśmy?

- Pamiętamy, pamiętamy - powiedziała Marianne. - Czy nie wolałabyś sukni zamówionej u krawcowej? Przyzwyczyłaś się już do modnych strojów uszytych przez modniarkę z Londynu.

- Suknia ślubna to coś wyjątkowego, a nic nie może być bardziej wyjątkowe niż kreacja stworzona siostrzanym wysiłkiem.

- Skoro tak... Tak się składa, że kupiłam ci w prezencie ślubnym bardzo piękny jedwab w kolorze kości słoniowej. Pomyślałam, że możesz go dać krawcowej do uszycia, ale jeśli sobie życzysz, to jutro przygotuję wykroje.

- Naturalnie. Właśnie o tym marzę, Marianne. Ty skroisz, Jo trochę poszyje przed wyjazdem, a ja dokończę w domu.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - powiedziała Jo. - Ha! na tydzień lub dwa pojedzie do domu ojca, uważa jednak, że ponieważ do twojego ślubu już niedaleko, lepiej będzie, jeśli ja od razu pojedę z tobą i mamą do domu, żeby za dużo nie podróżować. Będziemy więc mogły razem zająć się szyciem i nacieszyć się swoim towarzystwem. A czas do narodzin dziecka spędzę potem w Beverley.

- To wspaniale, Jo! - wykrzyknęła Lucy. - Będziemy mogły omówić hafty i inne zdobienia.

- Kilka tygodni temu poprosiłam Ellen, żeby zrobiła ci przód do sukni z koralików - oznajmiła Jo. - Sama wiesz, że moja szwagierka jest w tym znakomita. Wręcę ci go, kiedy jutro zaczniemy projektować całość.

- A ja mam gdzieś odłożoną śliczną koronkę - włączyła się do rozmowy pani Horne. - Znajdę ci ją, bo może będziesz chciała wykończyć nią halkę albo rękawy.

- Może też nadać się na nakrycie głowy - uznała Lucy. - Wiem, że Jack poprosił Drew na świadka. Sądysz, Jo, że Hal mógłby poprowadzić mnie do ołtarza?

- Z pewnością poczuje się zaszczycony - odrzekła Jo i w tej chwili nadeszli panowie. - Sama go zapytaj.

Hal nie dał się dwa razy prosić, a w miarę upływu wieczoru Lucy uśmiechała się coraz szerzej. Wiedziała, że właśnie taką rodzinną uroczystość sobie wymarzyła. Na drużny zaprosiła Marianne i Amelię, której synkowie mieli odegrać rolę paziów. Andrea była jeszcze za mała, a Jo nie mogła długo stać.

Wyglądało na to, że ślubny temat odpowiada również panom, zaczęli bowiem rozmawiać, kogo zaprosić, a kogo należy pominąć. Jack spytał o ulubione kwiaty, a Drew powiedział parę słów na temat stosownego powozu, po czym obiecał przywieźć Marianne z dwudniowym wyprzedzeniem, żeby mogła ocenić kreację Lucy i zaproponować ostatnie poprawki.

Wreszcie Marianne usiadła do fortepianu, a Lucy zaśpiewała z Jackiem w duecie. Na tym wieczór dobiegł końca. Jack zdążył jeszcze odciągnąć Lucy do biblioteki. Tam czule ją pocałował, a pragnienie, jakie kryło się w tym pocałunku, przyprawiło ją o dreszcz emocji.

- Bardzo się cieszę, że twoja mama zgodziła się na nasz ślub - powiedział, gdy pocałunek dobiegł końca. - Kocham cię i nie mogę się doczekać, kiedy będziesz moja.

- Jestem twoja. - Lucy ostrożnie położyła mu rękę na ramieniu, pamiętała bowiem o zabandażowanej ranie. - Boli cię, Jack?

- To zwykłe draśnięcie, nie martw się, kochanie. Miewałem dużo gorsze rany.

- Domyślam się. Marianne opowiadała mi, że Drew długo nie mógł zapomnieć o tych wszystkich koszmarach, które przeżył w Hiszpanii. Z tobą pewnie było podobnie.

- Chyba tak. - Rzeczywiście widział różne przerażające sceny, o których nie opowiedziałby nikomu, a na pewno nie żonie, ale nie chciał, żeby czuła się odrażona. - Wojna jest straszna, Lucy, więc takie wspomnienia trudno wyrzucić z pamięci, ale to już się skończyło, trzeba myśleć o czym innym. Lepiej zająć się organizacją ślubu i układaniem sobie życia.

- Masz rację - przyznała Lucy i pogłaskała Jacka po policzku. - Nie zapominaj o tym, że kocham cię wystarczająco, by wysłuchać wszystkiego, co chcesz mi powiedzieć.

- Na pewno będę pamiętał. - Czule ją pocałował. - Połóż się, kochanie. Jutro pojedziemy na przejażdżkę, jeśli będziesz chciała.

- Bardzo chętnie. Lubię powozić sama, ale jeszcze bardziej lubię jeździć z tobą. A jeśli będę bardzo grzeczna, to może pozwolisz mi spróbować powożenia twoimi końmi.

- Może, ale rzeczywiście musisz być wyjątkowo grzeczna - przyznał żartobliwym tonem Jack. - Uciekaj na górę, kochanie, bo porwę cię na ręce i zaniosę do mojej sypialni.

Lucy roześmiała się i powiedziała „dobranoc”. Tego wieczoru położyła się spać bardzo szczęśliwa. Wyglądało na to, że wszystkie kłopoty się skończyły. Ślub został zaplanowany. Obaj synowie Amelii byli w pokoju dziecięcym, a siostrę Jacka czekała zmiana na lepsze. Czego można chcieć więcej?

Rozdział jedenasty

Jack dotrzymał słowa i nazajutrz po śniadaniu wziął Lucy na przejażdżkę po parku. Wybrali się do domku myśliwskiego, aby obejrzyć szczeniaki. Lucy chętnie wzięłaby je do Sawlebridge, wiedziała jednak, że ucierpiałyby na tym podłoga w salonie ciotki Berthy.

Po odjeździe z królestwa Briggsa Jack oddał na kwadrans wodze Lucy i bardzo ją pochwalił. Utwierdził się w przekonaniu, że przygotował dobry prezent ślubny, należy jej się bowiem nowy zaprzęg. Nie zamierzał się do tego ograniczyć. Jubiler pracował nad rodową biżuterią, aby pasowała na nową panią, a on planował wziąć Lucy w kilkutygodniową podróż poślubną do Paryża.

Jack chciał rozpieszczać żonę. Przez ostatnich kilka lat niewiele czasu poświęcał na przyjemności, a ponieważ w majątku działało się dobrze, miał pieniędzy aż nadto. Czuł się niewymownie szczęśliwy.

Popołudnie było wyjątkowo przyjemne, dlatego wyniesiono krzesła na trawnik przed domem, a Lucy, Amelia i Hal postanowili zagrać w krykieta. Gra była już w zaawansowanej fazie, gdy piłka poleciała w zarośla i Lucy zaczęła jej szukać. Nie było to łatwe, bo dookoła rosło wiele kolczastych róż. Lucy cierpliwie zaglądała w różne zakamarki, a gdy była już bliska rezygnacji, niespodziewanie stanęła oko w oko z obcym mężczyzną.

- O! - wykrzyknęła. Dżentelmen był kilka lat starszy od Jacka i Drew, na pierwszy rzut oka raczej niesympatyczny. - Przestraszył mnie pan, panie... Przepraszam, nie wiem, z kim mam przyjemność.

- Kim pani jest? - odparł ostro mężczyzna. - Pewnie narzeczoną pana tych włości, bo słyszałem, że Harcourt zakłada sobie kajdany. Niech tam, życzę, żeby się pani nim nacieszyła, bo będzie to uciecha krótkotrwała, jeżeli Harcourt nie przestanie wtrącać się do moich spraw.

Lucy wycofała się na otwartą przestrzeń z przykrym przeświadczeniem, że sielskie popołudnie zostało nieodwracalnie zniszczone. Biegiem dołączyła do grających w krykieta.

- Co się stało? - spytał Jack, który natychmiast zauważył niepokój Lucy.

- Człowiek w zaroślach - rzuciła. - Groził ci.

- Mnie? - Jack ruszył w stronę, z której nadbiegła Lucy, ale przystanął, gdy ujrzał wyłaniającego się zza żywopłotu mężczyznę. - Do diabła! Miał przyjechać dopiero za kilka dni.

Lucy zauważyła, że siostra Jacka śmiertelnie zbladła, i w jednej chwili zrozumiała, kim jest intruz i czego dotyczyła jego groźba. Szybko podeszła do Amelii i objęła ją opiekuńczym gestem.

- Niech się pani nie martwi - szepnęła. - Jack nie pozwoli mu odjechać z panią. Nikt z nas na to nie pozwoli.

- Staunton - odezwał się Jack. - Nie oczekiwałem pana tak wcześnie. Dostał pan mój list?

- Mieliśmy dobrą pogodę i zacumowaliśmy w Portsmouth kilka dni przed terminem - odrzekł lord Staunton. - Nie dostałem żadnego listu, ale ktoś mnie poinformował, że prawdopodobnie tutaj znajdę żonę. - Spojrzał wściekły na Amelię.

- Natychmiast wyjeżdżamy, szanowna pani. Proszę przyprowadzić syna i opuszczamy to miejsce. Pani rzeczy służba dośle później.

Amelia, cała roztrzęsiona, mimo wszystko dumnie uniosła głowę.

- Nie wyjadę z panem, Staunton. Nie zamierzam dłużej z panem mieszkać.

- Nie? - Przeszył ją morderczym spojrzeniem. - Ma pani bez wątpienia nadzieję, że brat ją ochroni. Może pan zatrzymać tę kłamliwą sukę, Harcourt, jeśli chce zostać oskarżony o uprowadzenie. Była skompromitowana, zanim ją tknąłem, więc mało mnie obchodzi jej los. Syna przyprowadzi mi pan natychmiast. Należy do mnie i dzisiaj ze mną odjedzie.

- Nie! - wykrzyknęła Amelia i spojrzała błagalnie na brata. - Odmawiam wydania dziecka. Będzie się pan nad nim znęcał tak samo, jak nade mną. Nie pozwolę, żeby dostał się w pańskie ręce.

Staunton zrobił krok w jej kierunku, ale Jack, Hal i Drew jednocześnie ruszyli ku niemu i Staunton przystanął niezdecydowany.

- Możecie mi teraz przeszkodzić - rzekł z grymasem pogardy. - Prawo jest jednak po mojej stronie. Odzyskam syna, a pana zniszczę, Harcourt.

Jack stanął przed nim i spojrzał na niego lekceważąco.

- Może pan robić, co mu się podoba, Staunton, ale przypuszczam, że zmieni pan poglądy na wiadomość, że Collingwood siedzi w więzieniu i czeka na proces, oskarżony o zamordowanie Davida Middletona. Podpisał złożone przed sędziami pod przysięgą zeznanie, zgodnie z którym pan zapłacił mu za popełnienie tej zbrodni. To znaczy, że pan i tylko pan był jej inicjatorem.

Staunton zbladł, ale nadal mierzył Jacka groźnym spojrzeniem.

- Pan ma się za spryciarza, Harcourt, ale proszę pamiętać, że w czasie, gdy zabito Middletona, nie było mnie w Anglii.

- Dopilnował pan tego, przyjmując stanowisko tymczasowego ambasadora Kompanii Wschodnioindyjskiej w Indiach, ale kiedy ujawnię pańskie czyny, w tym groźby wobec mojej siostry, oskarżenie zyska na wiarygodności. Może nie da się go udowodnić w sądzie, ale skandal pana zniszczy, a każdy sędzia, który usłyszy, jak pan bił i upokarzał żonę, orzecze rozwód.

- I pan zaryzykuje taki skandal? - spytał kpiąco Staunton. - Może i nie będę mógł się pokazać w towarzystwie, ale czy sytuacja tej suki, którą poślubiłem, stanie się lepsza?

- Zawsze będziemy przyjmować Amelię i darzyć ją miłością - oznajmiła Lucy. - Ci, którzy ją kochają, nie przestaną jej wspierać. Sądzę też, że gdy jej historia stanie się powszechnie znana, inni również wykażą więcej zrozumienia, niż pan sądzi.

- Kto panią pytał o zdanie?! - wykrzyknął Staunton. - O ile mi wiadomo, jest pani zwykłą córką wiejskiego proboszcza i nie ma pani żadnej pozycji. Pani opinia jest bez znaczenia.

- Niech pan będzie taki dobry i opuści teren mojej posiadłości - rzekł ostrym tonem Jack. - Gdzie pański powóz, Staunton?

- Przyjechałem konno, a odjadę, kiedy będę chciał... i zabiorę z sobą syna.

- Odjedzie pan natychmiast. Albo zrobi pan to dobrowolnie, albo każe swoim ludziom eskortować pana do granicy posiadłości.

- Ja się tym zajmę, Jack - wtrącił Drew. - Słyszałem, że lord Harcourt zażądał, aby opuścił pan jego posiadłość, lordzie Staunton. Jako sędzia pokoju oświadczam, że jeśli nie wykona pan jego polecenia, aresztuję pana i odeślę do więzienia, gdzie będzie pan oczekiwał na rozpoczęcie procesu. Został pan oskarżony o współudział w morderstwie i pozycja społeczna nie uchroni pana przed odpowiedzialnością. Osobiście radzę panu opuścić to miejsce i uporządkować swoje sprawy, ponieważ tak czy owak zgodnie z procedurami aresztowania pan nie uniknie.

- Lepiej trzymajcie ręce z dala ode mnie! - zaperzył się Staunton, purpurowiejąc na twarzy. Markiza Marlbecka jednak nie można było zlekceważyć. Wraz z Jackiem Harcourtem byli potężnymi przeciwnikami. - Czego pan ode mnie chce, Harcourt?

- Zrezygnuje pan z praw do syna i zgodzi się na rozwód z Amelią.

- Nigdy! Prędzej oboje zginą! - Staunton wiedział, że przegrywa, ale nie chciał się poddać. - Odchodzę, ale to jeszcze nie koniec! Jeszcze się z wami policzę. - Przesłał jadowite spojrzenie Amelii. - Z tobą później porozmawiam.

Drew zerknął na Jacka.

- Mam się nim zająć od razu? Jeśli chcesz, wezmę go do najbliższego więzienia i posiedzi do procesu.

Staunton już się oddalał. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, zaczął biec i wkrótce znikł za krzakami.

- Powinniśmy unikać prywaty - powiedział Jack, marszcząc czoło. - Dowody są wątpliwe, Drew, ponieważ mamy tylko zeznanie jednego człowieka, który przedtem przyznał się do popełnienia morderstwa. George Garrick usłyszał tę historię, bo Collingwood za dużo wypił, ale jej wiarygodność w sali sądowej mogłaby zostać zakwestionowana. Mam jednak nadzieję, że po przemyśleniu sprawy Staunton odzyska rozsądek. Przecież nie chce zostać skompromitowany, nie mówiąc o gorszych konsekwencjach. Na tym opieram swoją nadzieję. - Przeniósł wzrok na siostrę, która, bardzo blada, ścisnęła za rękę Lucy. - Cokolwiek się zdarzy, Amelio, nie pozwolę mu zabrać stąd ani ciebie, ani chłopca, możesz być pewna.

- Przecież on zapowiedział, że cię zniszczy. - Amelia była wstrząśnięta. - Czy on naprawdę zapłacił za zabicie Davida?

- Wolałbym, żebyś się tego nie dowiedziała - odrzekł Jack, zerkając na nią niepewnie. - Wybacz mi, sam usłyszałem o tym od George'a dopiero niedawno.

- To taki zły człowiek... - Amelia zadrżała i Lucy znów otoczyła ją ramieniem. - Nie chciałabym, żeby skrzywdził ciebie albo Lucy.

- Nie ma o czym mówić - stwierdziła zdecydowanie pani Horne. - Mężowi nie wolno robić tego, czego on się dopuszczał. Jack ma rację, że mu się przeciwstawił. Jeśli zaś o skandal chodzi, musimy się pogodzić z tym, że wybuchnie, myślę jednak, że kiedy minie pierwsza fala, sama się pani zdziwi, Amelio, ile kobiet pani współczuje. Nie jest pani przecież jedyną źle traktowaną żoną. Rozwód to ostateczność, ale czasem nie można go uniknąć. Może nie będzie pani przyjmowana w najelegantszym towarzystwie, ale przyjaciele na pewno pani nie opuszczą.

- Jesteście wszyscy tacy dobrzy. - Amelia zalała się łzami.

- Chodźmy do domu - zaproponowała Lucy. - Musi pani się położyć. I proszę się nie bać. Przyjaciele są zdecydowani panią chronić.

Gdy inne damy poszły za ich przykładem, Jack spojrzał na Drew.

- Nie chciałem tego mówić przy paniach, ale Staunton jest niebezpieczny. Polecę moim ludziom wzmóc czujność, bo niedobrze by było, gdyby znów pojawił się tutaj niespodziewanie.

- Będziesz musiał coś z nim zrobić, Jack - orzekł Hal. - Ten człowiek nie ma dość odwagi, by samemu popełnić zbrodnię, ale na pewno może kogoś wynajść. Póki chodzi wolno, nikt z was nie jest bezpieczny.

- Raz zlecił morderstwo - zwrócił uwagę Drew. - Chcecie, żebym wystawił nakaz aresztowania?

- Wolałbym poczekać, może uda się uniknąć skandalu - powiedział Jack. - Collingwood podpisał zeznanie, ale jeśli ktoś z nim się porozumie, może je odwołać. Wciąż mam nadzieję, że Staunton odzyska trzeźwość myślenia. Przecież może zwrócić wolność Amelii, zrzec się praw do chłopca i ułożyć sobie życie.

- Tylko czy to zrobi? - strapił się Drew. - Może próbować ci szkodzić.

- To się okaże. Nie mogę zamknąć posiadłości, bo prowadzi przez nią droga, ale stanowczo każę swoim ludziom uważać na Stauntona. Zapowiem im, że gdyby spostrzegli coś podejrzanego, mają prawo strzelać.

Tego wieczoru kolacja przebiegała w minorowym nastroju. Amelia zeszła na dół, Jack bowiem zdołał ją przekonać, że w rezydencji jest całkiem bezpieczna. Nie było jednak mowy o przeprowadzce do wdowiego domu, zanim sprawa ze Stauntonem się nie skończy.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedziała bratu. - Co będzie, jeśli on nie zostawi mnie w spokoju? Jeśli pozwie cię za uprowadzenie? Może cię to drogo kosztować.

- Jeżeli będę musiał zapłacić za twoją wolność, to zapłacę - odparł Jack i uśmiechnął się do siostry. - Wtedy wnieśliśmy pozew rozwodowy z uwagi na okrucieństwo męża. Rozwód jest trudny do przeprowadzenia, więc w przeszłości damy unikały go jak ognia, ale pani Horne ma rację, Amelio. Ludzie

rzeczywiście zaczynają inaczej patrzeć na złych mężów. Powinniśmy wygrać nie tylko sprawę, ale i zyskać ogólną sympatię.

- Może... - Amelia odwróciła wzrok i splotła ręce za sobą. - Nie powiedziałam ci tego, Jack, ale Staunton... on podejrzewa, że David nie jest jego synem.

- Rozumiem. - Jack skinął głową. - To byłby w jego rękach bardzo mocny argument. Czy on ma podstawy tak sądzić?

Amelia pokręciła głową.

- David to jego syn, choć wolałabym, żeby było inaczej. David Middleton mnie kochał, ale nigdy nie został moim kochankiem. Dostałam bardzo bolesną nauzkę, Jack.

- To znaczy, że prawo jest po naszej stronie. Nie trać wiary, Amelio, na pewno cię nie zawiodę.

Jack nie miał tyle pewności, ile demonstrował przed siostrą, wiedział bowiem, że sprawa sądowa może różnie się potoczyć. Ojcostwo Stauntona było nie do udowodnienia i oczywiście można było chcieć w nim widzieć zdradzonego męża. Na rozwód istniały duże szanse, ponieważ świadków złego traktowania Amelii nie brakowało, ale Staunton prawdopodobnie uzyskałby prawo do opieki nad synem.

- Chciałbym znaleźć inny sposób uwolnienia jej od męża - wyjawiał przyjaciółom Jack, gdy panie zostawiły ich przy portu. - Wiem na pewno, że podzegał do morderstwa, George Garrick zdobył dla nas zeznanie, ale nie jestem pewien, czy to wystarczający argument dla sądu.

- Jest jedna pewna droga, Jack - powiedział Drew. - Ma jednak swoją cenę. Musiałbyś przez pewien czas pomieszkać za granicą.

- Myślisz o zabiciu go w pojedynku? Zastanawiałem się nad tym. W ostateczności... - Wzruszył ramionami.

- Wiesz, że na nas możesz polegać - zapewnił Hal. - Wystąpię jako twój sekundant, a Drew będzie pilnował przestrzegania zasad.

- To dla mnie naprawdę ostateczność - podkreślił Jack. - Zabijałem na wojnie, zabijałem w obronie własnej, ale nigdy w pojedynku. Wolałbym, aby osądzono go zgodnie z prawem.

- Może się okazać, że nie znajdziesz innego wyjścia - ostrzegł Drew. - W razie czego dopilnuję zatuszowania sprawy - obiecał. - Masz wpływowych sprzymierzeńców, Jack, z regentem włącznie. Do więzienia nie pójdziesz, chociaż, jak powiedziałem, musisz liczyć się z wyjazdem za granicę.

Jack skinął głową. Nie odpowiadało mu to rozwiązanie. Wiedział, że Lucy chce mieć dom i często widywać rodzinę. Naturalnie pogodziłaby się z losem, ale cena związanego z wyjazdem rozczarowania mogłaby być zbyt wysoka. Jack jednak zdawał sobie sprawę, że jeśli zawiodą inne środki, będzie musiał taką decyzję podjąć.

Lucy bardzo zdziwiła się postawą swojej matki, która tak zdecydowanie wystąpiła w obronie Amelii. Następnego ranka usłyszała jednak od niej, że Amelia już swoje wycierpiała i poniosła karę za nierozwagę.

- Była naiwna, że pozwoliła się uwieść temu mężczyźnie, ale winę ponosiła również jej macocha, która dała pasierbicy zbyt wiele swobody. Gdyby Amelię właściwie wychowywano, nigdy nie doszłoby do takiej sytuacji.

- Czasami trudno nie ulec pokusie - powiedziała szczerze Lucy. - Amelia była zakochana w panu Garricku i sądziła, że wezmą ślub.

- To prawda, i nawet jej współczuję - przyznała pani Horne. - Nie zmienia to faktu, że postąpiła nierozważnie. Łatwo zakochać się po uszy, ale gdyby wykazała więcej rozsądku, poczekałaby, aż będzie miała obrączkę na palcu.

- To prawda - przyznała Lucy, choć doskonale rozumiała Amelię. Wiedziała bowiem, że gdyby Jack miał mniej skrupułów, to byłaby już jego żoną pod każdym względem, choć w świetle prawa wyglądałoby to inaczej.

Kiedy godzinę później Lucy wyjrzała przez okno, zobaczyła Amelię, idącą z koszem do rozarium. Najwyraźniej zamierzała naciąć kwiatów do

wazonów. Wieczorem mieli przyjechać goście, trzeba więc było zadbać o wygląd domu. Lucy szybko zeszła na dół, żeby dołączyć do Amelii.

Gdy dotarła na skraj rozarium, usłyszała krzyk. Podbiegła kilka kroków i ujrzała Amelię mocującą się z mężem, który zaciskał dłonie na jej szyi.

Lucy ogarnęło przerażenie. Nie było czasu na wzywanie pomocy ani tym bardziej szukanie kogoś z mężczyzn. Rozejrzała się dookoła i jej wzrok padł na szpadel pozostawiony przy kępie róż. Chwyciwszy narzędzie, wykonała zamach i z całej siły uderzyła Stauntona szpadlem w głowę. Ten jęknął i puściwszy żonę, osunął się na ziemię. Amelia krztusiła się przez chwilę z dłonią na gardle, w końcu i ona upadła.

W tym momencie nadszedł ogrodnik, chcąc zapewne dokończyć pracę. Tymczasem lord Staunton zdołał się podźwignąć i wolno zbliżał się do Lucy.

- Ty suko! - zawołał. - Teraz dam ci nauczkę. Harcourt chce mi zabrać to, co należy do mnie, ale ja pozbawię go tego, co dla niego najcenniejsze.

- Nie podchodź człowieku! - krzyknęła Lucy, szykując szpadel do następnego uderzenia. Zaczęła wołać: - Pomocy! Pomocy!

Ogrodnik, który w pierwszym odruchu podbiegł do omdlałej Amelii, zerwał się na równe nogi, niezdecydowany, czy ruszyć po pomoc, czy załatwić sprawę samemu. Nagle Staunton rzucił się na Lucy, próbując wyrwać jej szpadel, czym ułatwił decyzję ogrodnikowi. Młody człowiek wykonał tygrysi skok i powalił Stauntona na ziemię.

Zmagali się, dość szybko jednak ogrodnik usiadł okrakiem na przeciwniku i chwycił go za gardło. Tymczasem zjawily się posiłki. Nadbiegł Jack, za nim Drew.

- Dobra robota, Nat - pochwalił ogrodnika Jack, podchodząc do Lucy. - Możesz już go puścić. Wyświadczyłeś mi dzisiaj wielką przysługę.

Drew ukląkł przy Amelii, która powracała do przytomności. Usiadła, wciąż się krztusząc.

- Chciał mnie udusić - wycharczała.

- Już po tobie, Staunton. - oznajmił Drew i pomógł Amelii wstać.

Jednocześnie ogrodnik ustawił w pionie Stauntona, który najwyraźniej miał dość. - Zostaniesz aresztowany za usiłowanie zabójstwa żony.

- Chciał rzucić się na pannę Horne - powiedział Nat. - Zauważyłem to i przewróciłem go na ziemię. Najpierw dusił lady Staunton. Mogę to potwierdzić pod przysięgą przed każdym sądem.

- Dziękuję ci, Nat. - Jack spojrzał na męża siostry. - Mamy już wszystko, co było potrzebne, Staunton. Za to, co zrobiłeś dzisiaj, zawisniesz niechybnie. Nie potrzebujemy zeznania Collingwooda.

- Idź do diabła! - wykrzyknął Staunton i wy dobył pistolet.

Wycelował w Lucy, nie zdążył jednak pociągnąć za spust, bo nagle zacharczał, a jego twarz przybrała ciemnoczerwony kolor. Skurcz wstrząsnął jego ciałem, z ręki wypadł mu pistolet, który ogrodnik zręcznym kopnięciem posłał w krzaki.

- Idźcie wszyscy...

Upadł na ziemię w konwulsjach, tocząc z ust ślinę przemieszaną z krwią. Po chwili znieruchomiał. Jack przykląkł i sprawdził mu puls.

- Nie żyje - stwierdził krótko. - Pewnie trafiła go apopleksja, a może nie wytrzymało serce...

Amelia podeszła do ciała, wciąż trzymając dłoń na szyi.

- Doktor już dawno powiedział mi, żeby zmienił sposób życia, ale on nie chciał słuchać - powiedziała z wysiłkiem.

- Mogła mu zaszkodzić bójka - zauważył ogrodnik. - Solidnie mu przyłożyłem. Przepraszam pana, nie chciałem go zabić. - Najwyraźniej nie był pewien, czy nie poniesie konsekwencji.

- Jego wina - orzekł Drew. - Był mało sprawny i nie dbał o zdrowie. Musimy sprowadzić doktora, ale jestem gotów się założyć, że stwierdzi śmierć z powodów naturalnych.

- Bez wątpienia. - Jack zwrócił się do młodego ogrodnika: - Nat, nigdy nie zapomnę ci tego, że uratowałaś życie mojej narzeczonej. Jestem ci głęboko wdzięczny. A lord Staunton zmarł oczywiście z przyczyn naturalnych, pan markiz ma rację. Musimy go zanieść do domu. Idź po kogoś do pomocy, ale nie opowiadaj ani słowa o tym, co tutaj zaszło. Najlepiej, żeby pozostało to w tajemnicy.

- Ma się rozumieć, milordzie. Jak pan sobie życzy. - Nat spojrział na Drew. - Dobrze się stało, że milord był tutaj jako świadek.

Lucy podeszła do Amelii i podała jej chusteczkę, Amelia bowiem nie była w stanie znaleźć własnej.

- Już po wszystkim, moja droga - powiedziała łagodnie.

- On już cię nie skrzywdzi. Gardło na pewno panią boli, ale to przejdzie. Proszę myśleć o tym, co nastąpi, a nie o tym, co się stało. Zaraz zaprowadzę panią do domu, a mama zaparzy jej ziółek. Jack i Drew wszystkim się zajmą.

Amelia skinęła głową i wspierając się na Lucy ruszyła ku domowi. Ogródnik poszedł po służbę, a Drew został na miejscu z Jackiem.

- To doprawdy wymarzony zbieg okoliczności - stwierdził Drew, gdy nikt nie mógł ich usłyszeć. - Dobrze, że zostałem tu dostatecznie długo, aby pomóc. Ludzie na pewno będą gadać, ale jestem przekonany, że przetrwamy, i nikt się nie dowie, co tu naprawdę zaszło.

- On może mieć jakieś siniaki.

- Nabawił się ich, kiedy wczoraj spadł z konia. Dlatego dzisiaj przyszedł przez park, a nie od frontu, jak powinien.

- Będę wdzięczny, jeśli dochowasz sekretu. Im mniej osób o tym wie, tym mniejszy będzie skandal. Amelia twierdzi, że nie chce pokazywać się w towarzystwie, ale może któregoś dnia zmieni zdanie, a jej syn nie musi wiedzieć, jaki był jego ojciec.

- Zgadzam się. Wczoraj lord Staunton niefortunnie upadł z konia i to spowodowało dzisiejszy atak. Doktor na pewno chętnie potwierdzi moją diagnozę.

- Dziękuję, przyjacielu. Bardzo mi pomogłeś.

- Wyświadczyłeś mi dość przysług w przeszłości - Drew również się uśmiechnął, choć dość posepnie. - Mogłem się w małym stopniu zrewanżować. Poza tym Marianne nie wybaczyłaby mi, gdyby trzeba było przełożyć ślub.

Tego wieczoru, zgodnie z planem, odbyło się przyjęcie dla sąsiadów. Amelia nie przyszła, a Jack uzasadnił to żałobą po mężu, który zmarł nagle wskutek ataku apopleksji. Goście wyrazili współczucie i tylko najbliższa rodzina wiedziała, że Amelia ledwie mówi, tak bardzo boli ją gardło.

Całą uwagę skupiała na sobie przyszła oblubienica, która tak oczarowała sąsiadów, że nawet szczególnie nie interesowali się śmiercią Stauntona. Większość wysoko oceniła decyzję Jacka, by nie odwoływać kolacji, i ze zrozumieniem odniosła się do wyjaśnienia, że było za późno na zawiadomienie wszystkich.

Gdy po posiłku, kartach i tańcach goście wyszli, rodzina zasiadła do rozmowy. Ustalono, że nazajutrz rano pani Horne, Jo i Lucy wyruszą do Sawlebridge pod opieką Hala, tak jak wcześniej ustalono. Marianne i Drew pojedą do domu, jakby nic nie zaszło, a Jack będzie towarzyszył siostrze do wiejskiej rezydencji męża, gdzie w najbliższym czasie miał się odbyć pogrzeb.

- Przywiozę Amelię, gdy tylko będzie to możliwe - zapewnił panią Horne Jack. - Jej syn odziedziczy majątek, a ona będzie miała stałą pensję jako wdowa po lordzie Stauntonie. Później zdecyduje, czy chce zamieszkać u nas, czy w posiadłości zmarłego męża.

- Ona bardzo to wszystko przeżyła - powiedziała Lucy. - Na szczęście ma w tobie wsparcie, Jack. Może będzie chciała побыć trochę sama.

- Wydaje mi się, że Amelia chętnie przyjedzie na nasz ślub, choć wystąpi w żałobie.

- Może ubrać się na szaro, a nie na czarno - podsunęła pani Horne. - Nie sądzę, by ktokolwiek miał do niej pretensje.

- Jestem tego samego zdania - przyznał Jack i rozejrzał się dookoła. - Bardzo dziękuję wam wszystkim za serdeczność, jaką okazaliście mojej siostrze. Jestem bardzo szczęśliwy, że wchodzę do takiej wielkodusznej rodziny.

- Wszyscy kochamy Amelię - powiedziała pani Horne, która doszła tymczasem do wniosku, że Jack jest wymarzonym kandydatem na męża Lucy. - Chciałabym udać się na spoczynek. Jutro od rana czeka nas męcząca podróż. Jo, ty też powinnaś się położyć. A i ty, Lucy, nie siedź za długo.

- Nie będę, mam - obiecała.

Wszyscy opuścili pokój, a Lucy podeszła do Jacka.

- Cieszę się, że całą tę okropną sprawę uda się załatwić niemal po cichu. Równie dobrze mogło mu zaszkodzić moje uderzenie szpadlem w głowę, a nie bójka z Natem.

- Przede wszystkim była to wina jego stanu zdrowia. Za dużo pił i był otyły. Amelia mówiła mi, że kilka razy ostrzegano go, by odstawił alkohol. Zachowałeś przytomność umysłu, kochanie, ale na szczęście Nat w porę nadszedł. Mogłoby się to bardzo źle skończyć.

- Cały czas miałam szpadel w rękach i nie zawahałabym się użyć go ponownie - powiedziała Lucy. - Naturalnie jestem bardzo wdzięczna Natowi. - W jej oczach pojawił się błysk przekory. - Nie możesz mnie strofować, Jack. Dobrze wiesz, że jestem impulsywna, ale jak widać czasem się to przydaje, prawda?

- Mam nadzieję, kochanie, że w przyszłości będziesz się zachowywać rozważnie. Nie chciałbym, żeby stała ci się jakaś krzywda.

- A czy myślałeś o swoim bezpieczeństwie w Londynie wtedy, gdy wyciągałeś dziecko spod powozu? Mogłeś sam wpaść pod koła.

- Widziałaś to? - zdziwił się Jack. - Nic nie mówiłaś.

- Nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie. Jednak właśnie wtedy doszłam do wniosku, że chcę cię poślubić. Nawet nie dlatego, że tak bohatersko uratowałeś tego chłopca. Spodobało mi się, jak go potem pocieszałeś. Myślę, że będziesz wspaniałym ojcem dla naszych dzieci.

- Naprawdę? - Jack mimo woli się uśmiechnął. - A jakim będę mężem?

- Och, najlepszym możliwym. - Lucy przybrała przekorną minę. - Z niecierpliwością czekam, aż tego dowiedziesz, Jack.

- Ty przewrotny diabluku! - Pocałunek, który wymienili, omal nie zachwiał ich postanowienia, by dotrzeć do poślubnej nocy.

- Och, jak cudownie wyglądasz - zachwyciła się Marianne, układając fałdy obszernej spódnicy. - Twoja suknia ślubna wygląda jeszcze piękniej niż wtedy, gdy ją sobie wyobrażałam, robiąc wykrój.

- Jest dokładnie taka, jak chciałam. - Lucy nie kryła entuzjazmu. - Bardzo mi się podoba przód. Ellen przeszła samą siebie.

- Mam dwie suknie, które mi zdołała, i ile razy włożę jedną z nich, ludzie pytają, czyje to dzieło. Nie zdradzam tego, bo talenty Ellen i tak są tylko dla najbliższych znajomych.

- Ona nie musi pracować - powiedziała Jo. - W każdym razie Ellen bardzo się ucieszyła, że zaprosiłaś ją na ślub, a Beverley senior koniecznie chciał, żeby cię odwiedziła. Ostatnio czuje się dużo lepiej i wydaje mi się, że postanowił doczekać narodzin mojego syna.

- Chyba rzeczywiście będziesz miała chłopca - orzekła Marianne. - Ładnie wyglądasz, inaczej niż ja, kiedy chodziłam w ciąży z Andream. Co do mnie, liczę na chłopca następnym razem, chociaż Drew twierdzi, że to nie ma znaczenia i że uwielbia nas obie.

- Hal mówi dokładnie to samo - przyznała Jo i odsunęła z twarzy kosmyk płomiennie rudych włosów. - Ponieważ jednak dziadek Beverley wolałby chłopca, więc niech będzie chłopiec.

- Ależ mamy szczęście - ucieszyła się Lucy i uściskała siostry. - Kiedy papa umarł i musiałymy opuścić plebanie, myślałam, że nigdy w życiu nic dobrego nam się nie zdarzy.

- Marzenia się spełniają - powiedziała Marianne i pocałowała siostrę. - Bardzo się cieszymy twoim szczęściem, najdroższa. Jack jest dobrym człowiekiem, więc na pewno wam się powiedzie.

- Ja też jestem tego pewna. - Lucy ucałowała obie siostry, a potem spojrzała na Amelię, która prezentowała się bardzo elegancko w perłowszarej sukni i słomkowym kapelusiku z dobranymi kolorystycznie wstążkami. - Czy już czas?

- Twoja mama prosiła, żebym ci powiedziała, że powozy czekają. - Amelia przyjrzała jej się z wyraźnym uznaniem. - Świetnie ci w tej sukni, Lucy. Doskonale to wymyśliłaś, żeby nie dawać jej do szycia żadnej modnej krawcovej. Jest prosta, a tak znakomicie leży.

- Dziękuję. - Lucy pocałowała i ją. - Chodźmy więc, żeby Jack nie czekał w kościele.

Gdy organista zaczął grać, Jack odwrócił się i ujrzał zbliżającą się oblubienicę. Zachwycił go jej wygląd, najbardziej jednak podobało mu się to, że wokół niej dostrzega aureę szczęścia. Suknię miała skromną, w kolorze ecru, z obszerną spódnicą, rękawami rodem ze średniowiecza i pięknym haftem, mieniącym się koralikami na staniku.

Również fryzura nie była przesadnie wymyślna, jasne włosy opadały na ramiona, tu i ówdzie zdobione wpiętymi kwiatami. W dłoniach trzymała bukiet białych róż, przewiązanych srebrnymi wstążkami, a na szyi miała sznur pereł.

Pomyślał, że nawet w sukni od największych krawcowych Paryża i Londynu, ozdobionej brylantową biżuterią, nie wyglądałaby tak wytwornie. Wiedział zresztą, że jego wybranka jest tak piękna, że nie potrzebuje ozdób. Z

zachwytem stanął u jej boku. Był absolutnie pewien, że jest to jedyna kobieta, którą mógłby poślubić.

Lucy podała bukiet siostrze i rozpoczęła się ślubna ceremonia. Trudne dni były za nimi, w słowach przysięgi zawierała się obietnica wspólnego szczęścia.

Lucy stała przy oknie w domu, do którego przywiózł ją Jack. Należał do jego przyjaciela i był oddalony zaledwie o kilka mil od siedziby jej babki. Mieli go tej nocy tylko dla siebie, a usługiwała im służba, którą sami przywieźli. Nazajutrz mieli przepłynąć kanał La Manche i wyruszyć w podróż po Francji.

Patrzyła więc na niebo i wspominała ostatnie godziny. Przyjęcie weselne nie było huczne, chciała bowiem, aby uczestniczyli w nim tylko bliscy przyjaciele i rodzina, przesłano im jednak mnóstwo prezentów, a niektóre pochodziły od ludzi, których Lucy nie знаła.

- Kiedy wrócimy, wydamy bal w Londynie - obiecał Jack. - Zaprosimy tam wszystkich tych modnych ludzi, którzy nie byli na weselu, żeby podziękować im za dary.

- Miło z ich strony, że o nas pamiętali - powiedziała Lucy.

- Na przykład lorda Kilvertona widziałam raz w życiu. Nie spodziewałabym się takiego pięknego kompletu dwunastu srebrzonych podkładek pod kieliszki.

- Och, Kilverton ma u mnie dług wdzięczności - odparł z uśmiechem Jack. - Myślę jednak, że prezent był bardziej dla ciebie, bo jeszcze w Londynie Kilverton pochwalił mnie za wybór tak ujmującej panny.

Przypomniała sobie ten komplement, gdy nieco później ujrzała Jacka wchodzącego do sypialni. Był bosy, miał na sobie długi czarny szlafrok przetykany złotogłowiem, a wilgotne włosy wskazywały, że właśnie się wykapał.

- O czym myślisz? - spytał, podchodząc do żony.

- Tyle razy się zastanawiałam, czy kiedykolwiek nadejdzie ta chwila. A teraz wreszcie się doczekałam. Jestem szczęśliwa. I twoja.

Wtuliła się w niego, gdy ją całował. Teraz mogła wreszcie poddać się pragnieniu bez żadnych ograniczeń.

- Kocham cię, Jack.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóża. Zsunął z siebie szlafrok i Lucy mogła pierwszy raz przyjrzeć się jego pięknie rzeźbionym mięśniom. A on zdjął z niej cienką koszulę nocną i zaczął wędrować dłońmi po jej ciele. Za nimi wolno posuwały się usta, które czuлыми pieszczotami budziły jej zmysły. Powoli i z wielkim oddaniem pieścił jej piersi, potem brzuch i uda. Gdy wreszcie znalazł się w jej wnętrzu, Lucy powitała go z entuzjazmem, a pocałunki pomogły jej zlekceważyć ulotny ból. Spleceni w miłosnym uścisku odszukali rytm punktowany okrzykami rozkoszy.

Potem leżeli bardzo blisko siebie, nasyчени i bardzo szczęśliwi. Lucy zasnęła w ramionach męża z poczuciem, że nigdy nie przestanie być jego częścią. Jack głaskał ją po plecach i nasłuchiwał równego oddechu. Wkrótce i jego zmorzył sen. Zbudzili się jednak przed świtem i znów zaczęli wymieniać pieszczoty, znajdując w miłosnej grze coraz więcej radości. Oboje wiedzieli, że wiele odkryć jest jeszcze przed nimi.

Gdy Lucy ocknęła się rano, stwierdziła, że leży w łóżu sama. Sprawdziła dotykiem, miejsce Jacka było zimne, zastanowiło ją więc, dokąd poszedł. Sądziła, że zostanie z nią do rana, a przecież było jeszcze wcześnie. Jednak gdy chciała wstać, pojawił się w drzwiach garderoby, ubrany w strój do konnej jazdy, i powitał ją pięknym uśmiechem.

- Zbudziłem cię, kochanie? Spałaś, kiedy wychodziłem, a mam dla ciebie niespodziankę.

- Och, Jack, dałeś mi już tyle prezentów. A co to jest? Podał jej rękę.

- Podejdź do okna, to zobaczysz.

Lucy wstała. Była całkiem naga, ale nie czuła wstydu. Wiedziała przecież, że Jack poznał każdy skrawek jej ciała. Na widok pięknego powoziku zaprzęzonego w parę karych koni wydała okrzyk radości.

- Ojej, to dla mnie? - Spojrzała z niedowierzaniem na męża. - To są chyba konie pełnej krwi. I jaki elegancki powóz!

- Moja żona musi mieć to, co najlepsze. Dowiodłaś mi, że umiesz powozić, a nigdy w życiu nie spotkałem kobiety, która dorównywałaby ci odwagą, Lucy.

- Rozpieszczasz mnie, Jack. - Uściskała go z całej siły. - Zaraz się ubiorę i zejdę na dół, bo już nie mogę się doczekać, kiedy siądę na koźle.

- Przywołaj służącą, kochanie, ja poczekam na dole.

Uśmiechał się pod nosem, wiedział bowiem, że żaden inny podarek nie sprawiłby żonie takiej radości, jak właśnie ten.

Nie do wiary. W ciągu zaledwie kilku tygodni przestało mu się wydawać, że życie nie ma mu nic do zaoferowania, a przyszłość rysuje się szaro i beznadziejnie. Z taką żoną u boku nie groziło mu już poczucie pustki. Gdy była przy nim Lucy, miał wszystko, czego tylko mógł zapragnąć, na wyciągnięcie ręki.

